

SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO

ISSN 2719-9096

NR 4 (12) / 2023

O S T O J A

BERLIN – WARSZAWA – WILNO

CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE



Obudźmy Nadzieję

KONCERT
CHARYTATYWNY

NA RATUNEK
DZIECIOM
W STREFIE GAZY

31.01.2024

Centrum Sportu i Kultury
Garwolin, ul. Nadwodna 1

g. 18.00 THE PRESENT
- film palestyński

g. 19.00 KONCERT

*If I must die,
you must live to tell my story...*

Refaat Aleroer

ORGANIZATORZY:

FUNDACJA
Sztafeta



PATRONAT HONOROWY:



WSPÓŁPRACA:



Palestinian Association
of medicine in Poland

BENEFICJENCI:



MÉDECINS SANS FRONTIÈRES
LEKARZE BEZ GRANIC



Szczegółowe informacje oraz bilety na www.csik.garwolin.pl

Moralny kompas świata

■ IRENEUSZ ST. BRUSKI



Jesteśmy świadkami kolejnej odsłony wojny na palestyńskiej ziemi. Jej skutki są przerażające! Nie ustaje konflikt, jaki rozgrywa się na wschód od Polski – tragiczna i niszcząca wojna na Ukrainie. Do tego dochodzi „wojna rolnicza” – oligarchów ukraińskich lub innych podmiotów, mających na Ukrainie swoje holdingi – w pierwszej kolejności wymierzona w życzliwego sąsiada zza Bugu. Na to nakłada się, jakże przedziwne, zachowanie władz ukraińskich wobec Polski.

To wszystko, co dzieje się na zewnątrz naszych granic, dopełnia kolejna odsłona „wojenki wewnętrznej”... w której paliwa dolewają przedstawiciele partyjnych klanów. Kłamstwo, obłuda i fałsz, aż po bezsensowną zawiść i bezpardonowe próby unicestwienia przeciwnika politycznego z zagubieniem troski o Ojczyznę. Podsyca to wszystko jad sączący się z mediów, aby jeszcze bardziej skłócić Polaków i osiągnąć swoje cele.

Bolesny ten koniec roku!

A przecież ostatnie tygodnie roku, to niezwykły czas... czas Bożego Narodzenia. Czas – jak często mówimy – Pokoju i Miłości.

„Ostoja” nawiązuje do tego okresu obrazem niecodziennego Żłóbka. Powstał na Zachodnim Brzegu, w ewangelicko-luterańskim kościele

Bożego Narodzenia w Betlejem. – Gdyby Jezus narodził się dzisiaj, narodziłby się pod gruzami w Gazie – powiedział pastor Munther Isaac do zgromadzonych w tej świątyni wiernych w uroczystość Narodzenia Pańskiego.

Ten palestyński teolog zwraca uwagę, że orędzie Bożego Narodzenia nie dotyczy Świętego Mikołaja, choinek, prezentów, świątelek: „Mój Boże, jak przekreśliśmy znaczenie tych Świąt, jak je skomercjalizowaliśmy. A przecież przesłanie Bożego Narodzenia jest takie, iż Jezus, który cudem

przeżył masakrę, narodził się wśród okupowanych i zepchniętych na margines. Przyszł jako solidarny z nami w naszym bólu”.

Pastor, który tak jak wielu, uważa, iż świat zachodni jest współwinny izraelskiego bombardowania Gazy, przesiedlenia 2 000 000 ludzi i zabicia ponad 20 000 (dane z 23 grudnia 2024). Jest współwinny ludobójstwa... „Niech będzie jasne: milczenie jest współdziałaniem, a puste wezwania do pokoju bez zawieszenia broni i zakończenia okupacji oraz płytkie słowa empatii bez akcji bezpośredniej – wszystko to jest obrazem współdziałania!” – podkreśla z mocą M. Issac.

Władze Izraela, a za nimi media, często mówią, iż „działania Izraela wypływają z samoobrony”... Można zapytać: W jaki sposób bezpardonowe zabicie ponad 9 tysięcy dzieci jest samoobroną?!



narodziłby się „pod gruzami”. Artystka ma nadzieję, że jej dzieło spowoduje pogłębioną refleksję u odbiorców nad tym, w jaki sposób nasze myślenie i działania – lub ich brak – przyczyniają się do spirali przemocy, której jesteśmy świadkami w Strefie Gazy.

Przesłanie to połączone zostało (za pośrednictwem strony internetowej Red Letter Christians) ze zbiórką na rzecz pokoju w Gazie. Świat bowiem nie może milczeć, gdy Palestyńczycy stoją w obliczu śmierci, głodu i chorób. Po ludobójstwie Ormian (1915-1917), Greków Pontyjskich i Asyryjczyków (1914-1924), Polaków na Kresach Wschodnich (1939-1947), Żydów w hitlerowskich Niemczech, czyż to, co dzieje się na palestyńskiej ziemi nie stanowi oblicza współczesnego holokaustu...

Gaza jest dzisiaj – na progu *Anno Domini* 2024 – swoistym moralnym kompasem świata! ■

” * * *

*trzeba nam dużo prostych słów
jak
chleb
miłość
dobroć
aby ślepi w ciemności
nie zgubili
właściwej drogi*

*trzeba nam dużo ciszy ciszy
i w powietrzu i w myśli
abyśmy usłyszeli głos
cichy nieśmiały głos
gotębi
mrówek
ludzi serc*

*i ich bolesny krzyk
pośród krzywd
pośród tego wszystkiego
co nie jest
ani miłością
ani dobrocią
ani chlebem*

Helina Poincubuska

Ból panuje w Izraelu i Palestynie, Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu. Ten ból sięga wieków, jeśli nie tysiąceci wstecz. Gaza, jaką znamy, już nie istnieje. Palestyńczycy na Zachodnim Brzegu w te Świąta zadają sobie pytanie: Czy podobny los może spotkać nas, którzy mieszkamy w Betlejem?...

Aranżację Żłóbka w Betlejem dopełnia, prezentowana obok, ikona zatytułowana *Christ in the Rubble* (Chrystus w gruzach). Amerykanka Kelly Latimore tworząc to dzieło, pragnie przekazać światu prorocze przesłanie, iż gdyby Jezus urodził się dzisiaj,

w numerze

- 3 Bryll: Anioł miał nowinę...
- 4 800 lat temu w Greccio
- 5 Franciszek PP: „Nie” wojnie
– „Tak” pokojowi
- 6 Bojarczyk: Konflikt między Izraelem
a Palestyną
- 10 Strefa Gazy – nigdzie nie jest bezpiecznie
- 14 Przed Międzynarodowym Trybunałem
Sprawiedliwości
- 16 Optymista ze strefy zgniotu. Rozmowa
z Józefem Dudą
- 22 Pożegnanie o. Mieczysława Alberta Krąpca
- 23 Filus: Żywe dziedzictwo
- 26 Krąpiec: Czym jest filozofia klasyczna?
- 30 Goljat: Heliocentryzm. Kopernik, Kepler i inni
- 34 Prandota: Przestępca na wczasach
- 42 Paszkiewicz-Jägers: Dwie niemieckie kartki
- 46 Malarstwo Skolimowskiego w Berlinie
- 49 Bartkowski: Moja pierwsza praca... w filmie
- 54 Bruski: Polonez na liście UNESCO
- 58 Stanisławska: W hołdzie Parnellowi
- 60 Sztumski: Dziadek do orzechów
- 62 Kociołkowska: Czy w niebie tańczą – cz. III
- 64 Trusczyński: Pochowany jak trzeba
- 66 *In memoriam*. Stanęli po stronie Polski
- 68 Kabaret Małgorzaty Todd
- 69 Todd: Mam Teatr
- 70 Królikowska-Avis: Co powinniśmy wiedzieć
o Zielonej Granicy?
- 72 Przychodzki: Darter też człowiek...
- 74 Piórem Elżbiety Królikowskiej-Avis:
Są przywileje, ale są i obowiązki marszałka
- 76 25-lecie Towarzystwa im. Hipolita
Cegielskiego
- 77 Mieczkowski: Zawierania na finiszu roku...
- 78 Płażyński: O rosyjskim lobbingu
- 79 Sajnog: Bankiet
- 80 Na ratunek dzieciom w Strefie Gazy
- 80 Pomoc mieszkańcom Strefy Gazy

NA OKŁADCE

I strona: *Żłóbek w Betlejem*, The Lutheran Church of Bethlehem, 2023 / Fot. Bobert789 ©

IV strona: Jerzy Skolimowski, *Vantage Point*, akryl na drewnie, 2001 ©



4



6



14



21



28



58



60



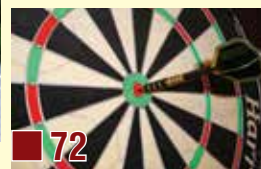
40



76



54



72

SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO
OSTOJA
BERLIN – WARSZAWA – WILNO

ISSN 2719-9096

CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

- ☐ **REDAKTOR NACZELNY:** Ireneusz St. Bruski, tel. +48 531 507 527
11-041 Olsztyn, ul. Kardynała Hozjusza 12/3, e-mail: ostoja-redakcja@wp.pl
- ☐ **KOLEGIUM REDAKCYJNE:** Ernest Bryll, Dobrochna Bugiera (DTP), Bożena Kociołkowska, Radosława Pieniężna-Grabowska, Peter Raina, Kazimierz Świągocki, Stefan Trusczyński
- ☐ **STAŁA WSPÓŁPRACA:** Andrzej Bartkowski, Marzena Burczycka-Woźniak, Wojciech Goljat, Elżbieta Królikowska-Avis, Anna Mieszczanek, Jerzy L. Okuniewski, Jakub Pańków, Joanna Paszkiewicz-Jägers, Mirosław Prandota, Lech L. Przychodzki, Zbigniew Sajnog, Andrzej Sikora, Krystyna Stasiewicz, Konrad Sutarski, Jan Tetter, Małgorzata Todd
- ☐ **DRUK:** BookPress
- ☐ **WYDAWCA:** Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza, 00-722 Warszawa, ul. Podchorążych 41/7
- ☐ **KONTO:** Bank Pekao S.A. nr 92 1240 5598 1111 0011 0708 8906

W związku z nieprzyznaniem przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego dofinansowania czasopisma „Ostoja. Sztuka • Literatura • Społeczeństwo”, niniejszym kierujemy prośbę do naszych niezawodnych Czytelników o wsparcie druku kolejnych edycji pisma. Darowizny można przekazywać na konto Wydawcy „Ostoi”: Bank Pekao S.A. nr 92 1240 5598 1111 0011 0708 8906; tytuł przelewu: „Darowizna na cele statutowe”.

Anioł miał nowinę...

*Anioł miał nowinę. Dla nas. Lecz zadyma
Taka się zaczyna, że cóż – nie utrzymał
Nie jest zwiastowana bo została sama
Goła z palców anioła wyrwana*

*Może i przeżyła mocno połamana
Ta wieść niepoznana
Gdzieś
Ale jak
Zawołać. Postaniec
Język ma wyrwany
Skrzydła poskręcane*

Na nie – Czy na tak

ERNEST BRYLL

2017

FOT. © INSSPIRITO

800 lat temu w Greccio

W liliowej Umbrii czy w tęczowej Granadzie, za kołem polarnym czy w indiańskiej chacie, w słonecznej Prowansji czy w krakowskim śniegu, wystrugana czy ulepiona, szopka bożonarodzeniowa wywodzi się z grotki niedaleko wioski Greccio.

Kluczową rolę w tradycji budowania szopek odegrał św. Franciszek z Asyżu (1181-1226), włoski duchowny katolicki, średniowieczny mistyk i stygmatyk, założyciel zakonu żebraczego.

Równo 800 lat temu, 24 grudnia 1223 roku zorganizował on w Greccio, w środkowej Italii, pierwszą na świecie żywą szopkę bożonarodzeniową. Przedstawiała ona wnętrze stajenki betlejemskiej w naturalnej skali, wraz z osobami i żywymi zwierzętami.

W znajdującej się na wysokości 750 m n.p.m. włoskiej miejscowości Greccio mieścił się klasztor franciszkański. Miejsce pod jego budowę zostało подарowane Franciszkowi przez szlachcica Jana Wetlinę. To tam, w pobliskiej grotce, Święty po raz pierwszy zbudował szopkę z okazji wigilii Bożego Narodzenia.

Franciszek pragnął w ten sposób przybliżyć prostym ludziom tajemnicę zbawienia. Grotę wypełniono sianem. Braciszki złożyli na nim wyrzeźbioną w drzewie figurkę Jezusa, a obok niego ustawili żywego woła i osła. W postacie Świętej Rodziny wcielili się mieszkańcy Greccio. Odegrali oni na żywo scenę narodzenia.

Pięć lat od tego wydarzenia, Tomasz Celano, pierwszy biograf Świętego, pisał: „Nastał dzień radości, nadszedł czas wesela. Z wielu miejscowości zwołano braci. Mężczyźni przygotowali świece i pochodnie dla oświetlenia nocy, co promienistą gwiazdą oświetliła niegdyś wszystkie dnie i lata. Wreszcie przybył święty Boży i znalazłszy wszystko przygotowane, ujrzał i ucieszył się. Mianowicie nagotowano źłóbkę, przyniesiono siano, przyprowadzono woła i osła. Uczczono prostotę, wysławiono ubóstwo, podkreślono pokorę, i tak Greccio stało się jakby nowym Betlejem.

Noc stała się widna jak dzień, rozkoszna dla ludzi i zwierząt. Przybyły rzesze ludzi, ciesząc się w nowy sposób z nowej tajemnicy. Głosy rozchodziły się po lesie, a skały odpowiadały echem na radosne okrzyki. Bracia spieszyli, oddając Panu należne chwalby, a cała noc rozbrzmiewała okrzykami wesela. Święty Boży stał przed źłóbką, pełen westchnień, przejęty czcią i ogarnięty przedziwną radością. Ponad źłóbką kapłan odprawiał uroczystą Mszę Świętą, doznając nowej pociechy.



Giotto di Bondone, *Źłóbkę w Greccio* z cyklu: *Sceny z życia św. Franciszka*, Bazylika Papieska Świętego Franciszka w Asyżu, ok. 1291-1294 FOT. DP

Święty Boży ubiera się w szaty diakońskie, był bowiem diakonem, i donośnym głosem śpiewa świętą *Ewangelię*. A jego głos mocny i słodki, głos jasny i dźwięczny, wszystkich zaprasza do najwyższych nagród. Potem głosi kazanie do stojącego wokół ludu, słodko przemawiając o narodzeniu ubogiego Króla i małym miasteczku Betlejem. [...]



A pewien notliwy mąż miał dziwne widzenie. Widział w źłóbkę leżące dzieciątko, bez życia, ale kiedy Święty Boży zbliżył się doń, ono jakby ożyło i zbudziło się ze snu. To widzenie nie jest nieodpowiednie, gdyż w wielu sercach dziecię Jezus zostało zapomniane. Dopiero Jego łaska, za pośrednictwem sługi Świętego Franciszka, sprawiła, że zostało w nich wskrzeszone i utrwalone w kochającej

pamięci” (*Vita prima – Żywot pierwszy świętego Franciszka*, 1229).

Gdy w 1225 roku zmarł św. Franciszek, jego zakon kontynuował zwyczaj budowania szopek. Okazało się, że ten prosty sposób prezentowania treści ewangelicznych w szczególny sposób trafia do wiernych.

Początkowo szopki powstawały tylko przy klasztorach franciszkańskich, jednak z czasem tradycja ich budowania rozprzeczniła się w całej Europie. Najbardziej rozwinęła się we Włoszech, gdzie można je oglądać nie tylko w czasie Bożego Narodzenia. W Polsce tradycja ta zapoczątkowana została u schyłku XIII wieku przez zakon franciszkanów, który w tym czasie osiedlił się w naszym kraju. Do dzisiaj szopki cieszą się dużą popularnością. Obecnie są stawiane niemal we wszystkich świątyniach.

800 lat od wydarzenia w Greccio, papież Franciszek powie: „Źłóbkę został stworzony, by przywieść nas do tego, co ważne: do Boga, który przychodzi, aby zamieszkać pośród nas. Dlatego też ważne jest spojrzenie na źłóbkę, ponieważ pomaga nam zrozumieć to, co się liczy w życiu człowieka”.

MK, ISB / PR ■

„Nie” wojnie – „Tak” pokojowi

■ FRANCISZEK PP.



Spojrzenie i serce chrześcijan całego świata zwrócone są ku Betlejem; tam, gdzie w tych dniach panują cierpienie i cisza, zabrzmiała wieść oczekiwana od wieków: „Dziś narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan” [...]. Dzisiaj w Betlejem, pośród ciemności ziemi, zapłonął ten niegasnący płomień; dziś, nad ciemnościami świata zwycięża światło Boga, „które oświeca każdego człowieka” (J 1,9). Radujmy się tą łaską!

Raduj się ty, który utraciłeś ufność i pewność, bo nie jesteś sam, nie jesteś sama: Chrystus narodził się dla ciebie! Raduj się ty, który straciłeś nadzieję, bo Bóg wyciąga do ciebie rękę: nie wytyka cię palcem, ale daje tobie swoją rączkę Dzieciątka, aby uwolnić ciebie od twoich lęków, podnieść z twoich znojów i pokazać ci, że w Jego oczach jesteś cenny, jak nic innego. Raduj się ty, który nie znajdujesz pokoju w swym sercu, bo dla ciebie wypełniło się starożytne proroctwo Izajasza: „Dziecię nam się narodziło, Syn został nam dany... Nazwano Go imieniem: Książę Pokoju”.

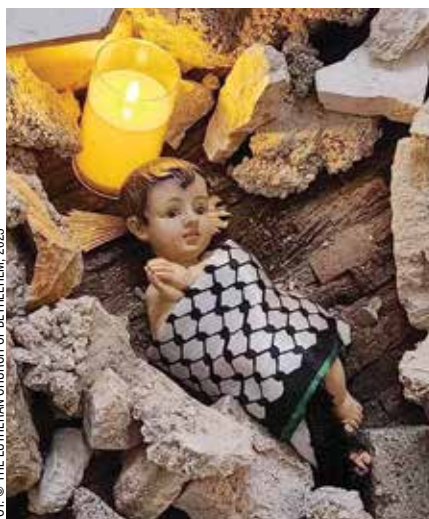
W *Piśmie Świętym*, Książę Pokoju jest przeciwstawiony „władcy tego świata” (J 12,31), który sięjąc śmierć, działa przeciwko Panu, „miłośnikowi życia” (Mdr 11,26). Widzimy go działającego w Betlejem, kiedy po narodzinach Zbawiciela dochodzi do rzezi niewiniątek. Ileż jest rzezi niewiniątek na świecie: w łonie matki, na szlakach ludzi zrozpaczonych w poszukiwaniu nadziei, w życiu wielu dzieci, których dzieciństwo zostało zrujnowane przez wojnę. Oni są dzisiaj małymi Jezusami, te dzieci, których dzieciństwo zostało zdewastowane przez wojnę, przez wojny.

Zatem, powiedzenie „tak” Książę Pokoju oznacza powiedzenie „nie” wojnie, [...] wszelkiej wojnie, samej logice wojny, podróży bez celu, porażce bez zwycięzców, szaleństwu bez wymówek [...]. Ale, aby powiedzieć „nie” wojnie, to trzeba powiedzieć „nie” broni. Jeśli bowiem człowiek, którego serce jest niestabilne i zranione, znajdzie w swoich rękach narzędzia śmierci, prędzej czy później ich użyje. A jak można mówić o pokoju, jeśli wzrasta produkcja, sprzedaż i handel bronią?

Dziś, podobnie jak w czasach Heroda, intrygi zła, które sprzeciwiają się Bożemu światłu, poruszają się w cieniu hipokryzji i tajemności: ileż rzezi zbrojnych odbywa się

w głuchym milczeniu, bez wiedzy bardzo wielu! Ludzie, którzy nie chcą broni, lecz chleba, którzy trują się, aby o przetrwać i wzywają do pokoju, nie zdają sobie sprawy z tego, jak wiele pieniędzy publicznych wydaje się na zbrojenia. A przecież powinni o tym wiedzieć! Niech się o tym mówi, niech się o tym pisze, aby znane były interesy i zyski, które pociągają za sznurki wojen.

Izajasz, który prorokował o Książę Pokoju, pisał o dniu, w którym „naród przeciw narodowi nie podniesie miecza”; o dniu, w którym ludzie „nie będą się więcej zaprawiać do wojny”, ale „swe miecze przekują na lemieszce, a swoje włócznie na sierpy” (2,4). Z Bożą pomocą starajmy się, aby ten dzień się przybliżył!



FOT. © THE LUTHERAN CHURCH OF BETHELEM, 2023

Niech przybliży się on w Izraelu i Palestynie, gdzie wojna wstrząsa życiem ich mieszkańców. Obejmują ich wszystkich, zwłaszcza chrześcijańskie wspólnoty Gazy, parafię w Gazie, i całej Ziemi Świętej. Noszę w sercu smutek z powodu ofiar haniebnego ataku z 7 października i ponawiam naglący apel o uwolnienie tych, którzy wciąż są przetrzymywani jako zakładnicy. Błagam o zakończenie operacji wojskowych, z ich przerażającymi następstwami w postaci niewinnych ofiar cywilnych, oraz o zarządzenie rozpaczliwej sytuacji humanitarnej poprzez otwarcie drzwi dla przybywającej pomocy. Niech nie będzie dalszego podsyłania przemocy i nienawiści, ale niech zostanie wszczęte rozwiązanie kwestii palestyńskiej poprzez szczery i wytrwały dialog między stronami, poparty silną wolą polityczną i wsparciem wspólnoty międzynarodowej. Bracia i siostry, módlmy się o pokój w Palestynie i w Izraelu.

Moje myśli kierują następnie do udręczonych mieszkańców Syrii, a także do stale

cierpiącego Jemenu. Myślę o umiłowanym narodzie libańskim i modłę się, aby wkrótce odzyskał stabilność polityczną i społeczną.

Wpatrując się w Dzieciątka Jezus błagam o pokój dla Ukrainy. Odnówmy naszą duchową i ludzką bliskość z jej udręczonym narodem, aby dzięki wsparciu każdego z nas mógł odczuć konkretność Bożej miłości.

Niech się przybliży dzień ostatecznego pokoju między Armenią i Azerbejdżanem. Niech sprzyja temu kontynuacja inicjatyw humanitarnych, bezpieczny powrót przesiedleńców do ich domów w majestacie prawa, oraz wzajemny szacunek dla tradycji religijnych i miejsc kultu każdej wspólnoty.

Nie zapominajmy o napięciach i konfliktach wstrząsających regionem Sahelu, Rogiem Afryki, Sudanem, a także Kamerunem, Demokratyczną Republiką Kongo i Sudanem Południowym.

Niech przybliży się dzień, w którym umocnione zostaną braterskie więzi na Półwyspie Koreańskim, otwierając drogi dialogu i pojednania, które mogłyby stworzyć warunki dla trwałego pokoju.

Niech Syn Boży, który stał się pokornym Dzieciątkiem, natchnie władze polityczne i wszystkich ludzi dobrej woli na kontynencie amerykańskim, aby znalaziono odpowiednie rozwiązania w celu przewyciężenia sporów społecznych i politycznych; aby walczyć z formami ubóstwa, które uwłaczają godności osób, aby zniwelować nierówności i stawić czoła bolesnemu zjawisku migracji.

Ze żłóbka Dzieciątka prosi nas, abyśmy byli głosem pozbawionych głosu: głosem niewinnych, którzy umierają z braku wody i chleba; głosem tych, którzy nie mogą znaleźć pracy lub ją utracili; głosem tych, którzy są zmuszeni do ucieczki ze swej ojczyzny w poszukiwaniu lepszej przyszłości, ryzykując życie w wyczerpujących podróżach i pozostając na łasce pozbawionych skrupułów handlarzy ludźmi.

Niech ten okres [...] będzie okazją do nawrócenia naszych serc; do powiedzenia „nie” wojnie a „tak” pokojowi; do odpowiedzenia z radością na zaproszenie Pana, który wzywa nas, jak prorokował Izajasz, „by głosić dobrą nowinę ubogim, by opatrywać rany serc złamanych, by zapowiadać wyzwolenie jeńcom i więzniom swobodę” (Iz 61,1). Słowa te wypełniły się w Jezusie, który narodził się dzisiaj w Betlejem. Przyjmijmy Go, otwórzmy serce dla [...] Niego, Zbawiciela, który jest Książę Pokoju!

□ Dr Bartosz Bojarczyk – z Katedry Międzynarodowych Stosunków Politycznych w Instytucie Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Politologii i Dziennikarstwa UMCS – pisze o genezie konfliktu między Izraelem a Palestyną i możliwych scenariuszach rozwoju sytuacji. Tekst powstał w ramach inicjatywy „Oknem eksperta”, mającej na celu promowanie nauki, badań i specjalistycznej wiedzy naukowców UMCS.

Konflikt między Izraelem a Palestyną



FOT. © KRYSZTIAN WIN, 2018

■ BARTOSZ BOJARCZYK



Konflikt izraelsko-palestyński, który zaognił się 7 października 2023 roku, toczy się już od ponad stu lat. Rozpoczął się wraz z ideą utworzenia państwa żydowskiego na terytorium Palestyny.

Powstanie Izraela

W 1896 roku Theodor Herzl, żydowski działacz i społecznik polityczny napisał książkę-manifest *Der Judenstaat* (*Państwo żydowskie*), w której postulował utworzenie państwa żydowskiego, a wyrażone w niej idee dały początek syjni-

zmowi. W 1897 roku w Bazylei odbył się Pierwszy Światowy Kongres Syjonistyczny, na którym powołano Światową Organizację Syjonistyczną i ustalono, że najlepszym terenem na utworzenie siedziby narodu żydowskiego będzie Palestyna, która wówczas znajdowała się we władaniu islamskiego Imperium Osmańskiego. Jednak wraz z wybuchem I wojny światowej terytorium Palestyny opanowali Brytyjczycy.

W 1917 roku powstała tzw. deklaracja Balfoura – Artur Balfour, brytyjski minister spraw zagranicznych, wystosował do lorda Lionela Rotschilda pismo, w którym wyraził przychylność rządu brytyjskiego dla pomysłu zorganizowania państwa żydowskiego w Palestynie. I choć w okresie

międzywojennym nie doszło do jego realizacji, to od tamtego czasu rozpoczęła się już masowa migracja ludności żydowskiej na te tereny. Wzrastająca liczba migrantów przyczyniła się z kolei do narastających konfliktów między Żydami i zamieszkującymi te tereny Arabami. W latach 1936-1939 w Palestynie miało miejsce powstanie arabskie, zwane Wielką Rewolucją Arabską, przeciwko brytyjskiej władzy kolonialnej oraz masowej migracji żydowskiej.

W 1948 roku Wielka Brytania wycofała się z Palestyny, przekazując problem podziału tego terytorium Organizacji Narodów Zjednoczonych, która to jeszcze w tym samym roku przegłosowała rezolucję nr 181-II, na mocy której w Palestynie miały powstać dwa państwa – żydowskie i arabskie, czyli palestyńskie. Według podziału ONZ-owskiego ponad 50 proc. ziem Palestyny miało przypaść Żydom, choć stanowili oni nie więcej niż 33 proc. tamtejszej populacji.

Pół roku później, 15 maja 1948 roku w Tel Awiwie, Ben Gurion odczytał deklarację niepodległości Państwa Izrael, która jednak nie została zaakceptowana przez Arabów. Moim zdaniem właśnie tu należy doszukiwać się przyczyny obecnego konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Żydzi ogłosili niepodległość, natomiast nie zrobili tego Palestyńczycy. Od tamtej pory konflikt między nimi ma charakter asymetryczny, rozgrywa się bowiem pomiędzy państwem a narodem, który do dziś nie ma swojego państwowego reprezentanta.



Żołnierze izraelscy podczas „akcji” w Gazie, 19 listopada 2023 FOT. © IDF / CC BY-SA 3.0

Dlaczego Palestyńczycy nie ogłosili niepodległości?

Po pierwsze państwa arabskie obiecały Palestyńczykom, że zniszczą Izrael i przekażą po nich terytorium. Po drugie Palestyńczycy nie mieli wówczas dobrze wykształconej reprezentacji politycznej, wobec czego opierali się na wsparciu krajów arabskich. W 1944 roku przedstawiciele pięciu państw: Egiptu, Syrii, Libanu, Iraku oraz Transjordanii podpisali Protokół Aleksandryjski, zapowiadający późniejsze utworzenie Ligi Państw Arabskich. Równocześnie do tego przywódcy arabscy cały czas zapewniali, że nie ma potrzeby powstania odrębnego państwa palestyńskiego, gdyż to oni wyzwolą Palestyńczyków.

Trwająca w latach 1948-1949 wojna o niepodległość Izraela, nazywana przez społeczność arabską katastrofą – „Nakba”, zakończyła się, kiedy Izrael podpisał porozumienia rozjemcze z poszczególnymi państwami arabskimi. To też pokazuje brak jedności wśród państw arabskich wobec kwestii palestyńskiej. Nie stanowili jednej siły, tylko każde z tych nowo powstałych państw arabskich próbowało prowadzić politykę na własną rękę, również tę w stosunku do kwestii palestyńskiej czy państwa żydowskiego, co jak się później okazało, stało się ogromnym problemem.

Niekończące się konflikty

Na trwający konflikt izraelsko-palestyński miało wpływ wiele sporów i wojen, np. kryzys sueski (1956), wojna sześciodniowa (1967), czy wojna Jom Kippur (1973), w której Izrael stanął na skraju anihilacji. Jednak dzięki pomocy Stanów Zjednoczonych obronił swoją niepodległość i po raz kolejny pokonał państwa arabskie, co uświadomiło niektórym przywódcom tych państw potrzebę normalizacji stosunków z Izraelem.

26 marca 1979 roku Egipt i Izrael podpisały traktat pokojowy, tym samym kończąc trzydziestoletni stan wojny, co *de facto* zo-



stało odebrane przez Palestyńczyków jako zdrada. Przełomy lat 60., 70. i 80. to z kolei fale terroryzmu międzynarodowego, za pomocą których Palestyńczycy chcieli popularyzować swój sprzeciw. Jeszcze w 1964 roku powstała Organizacja Wyzwolenia Palestyny, uznana przez państwa arabskie za głównego reprezentanta Palestyńczyków, zaakceptowana przez ONZ, jednak nie przez Izrael. W związku z tym w latach 80. wojsko izraelskie przeprowadziło inwazję na Liban, dzięki której doprowadziło do wydalenia sił OWP z południa kraju, a Palestyńczycy pozostali sami na terenach okupowanych: na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy. Od 1948 do 2007 roku terytoria palestyńskie były nieustannie zmniejszane przez Izrael w sposób nielegalny, gdyż plan podziału z 1947 roku nigdy tak naprawdę nie został zaimplementowany.

Po inwazji na Liban i zmuszeniu OWP do opuszczenia tego państwa Palestyńczycy zostali odizolowani na terytoriach okupowanych. Hamas powstał w 1987 roku, kiedy także wybuchła pierwsza intifada.

Hamas i OWP

Hamas – Islamski Ruch Oporu to organizacja palestyńska, która powstała w 1987 roku w czasie trwania intifady, czyli powstania Palestyńczyków przeciwko izraelskiej okupacji. Wybuchło ono spontanicznie, a Palestyńczycy oprócz postulatów politycznych, żądali poprawy warunków egzystencjalnych.

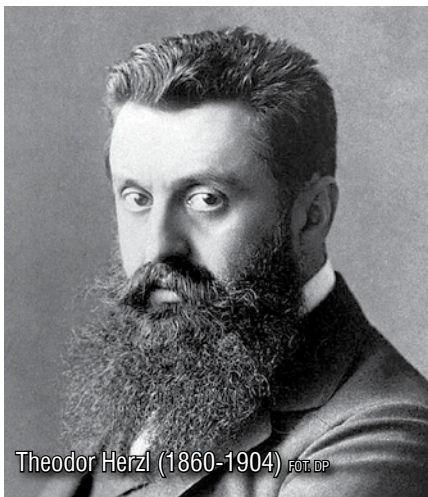
Od końca lat 80. palestyńska scena polityczna zdominowana jest przez dwie organizacje – Organizacja Wyzwolenia

Palestyny z Fatahem na czele oraz Hamas. Co zatem różni te dwie organizacje? Przede wszystkim OWP czy też Fatah pragnie niepodległej, ale świeckiej Palestyny, z kolei Hamas i Palestyński Islamski Dżihad dążą do utworzenia niepodległego islamskiego państwa.

W 1993 roku OWP i Izrael podpisały porozumienie w Oslo, na mocy którego utworzono Autonomię Palestyńską oraz określono plan stopniowego przekazywania terytorium. Proces pokojowy implementowany był do drugiej połowy lat 90., kiedy to ostatecznie upadł pod wpływem przemocy. Porozumienia pokojowego nie uznał Hamas i Palestyński Islamski Dżihad, które to zorganizowały kilkuletnią serię zamachów terrorystycznych na terytorium Izraela. Wywołało to falę sprzeciwu wśród społeczeństwa izraelskiego odnośnie pokojowej postawy wobec Palestyńczyków. W 1995 roku izraelski fundamentalista zabił premiera Izraela Ischaka Rabina, co okazało się dodatkowym ciosem w pokój.

W roku 2000 wybuchło drugie powstanie palestyńskie – intifada Al-Aksa. Postulaty Palestyńczyków po raz kolejny nie zostały zrealizowane, a samo powstanie ostatecznie wygasło w 2004 roku wraz ze śmiercią Jasira Arafata (wieloletniego przywódcy OWP).

Od 2007 roku terytorium palestyńskie jest faktycznie podzielone na dwie części: Zachodni Brzeg, będący pod kontrolą Fatahu, czy OWP, oraz Strefę Gazy, będącą pod pełną kontrolą Hamasu.



Ciąg dalszy na s. 8 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 7

Warto podkreślić, że Hamas podobnie jak libański Hezbollah to nie tylko organizacja militarna, ale także ruch polityczno-społeczny. Hamas zarządza ponad 2. milionami Palestyńczyków, organizuje szkolnictwo, sądownictwo, zapewnia dostawę wody – sprawuje pełną władzę, w tym administracyjną nad Strefą Gazy.

Przyczyny konfliktu

Zarzewiem tego konfliktu jest spór dotyczący terytorium i państwowości. Palestyńczycy chcieliby utworzyć własne państwo i odzyskać terytorium, które kiedyś było ich, i które według prawa międzynarodowego nadal do nich należy. W tym konflikcie chodzi także o suwerenność, czyli o niepodległość Palestyńczyków. Istotnym problemem jest również prawo do powrotu uchodźców na ziemi, z których zostali wypędzeni, co zresztą stanowi jedno z ich wstępnych założeń do podpisania porozumienia pokojowego. W 1948 roku zostało wypędzonych z terytorium palestyńskiego około 750 tys. Palestyńczyków – dziś stanowią oni 8 mln uchodźców, którzy żyją w obozach zarówno na terytoriach palestyńskich, jak i w państwach ościennych, m.in. w Libanie czy w Egipcie. W samej Strefie Gazy trzy czwarte ludności stanowią uchodźcy.

Oprócz tych trzech głównych osi konfliktu dochodzi jeszcze spór etniczny i religijny pomiędzy Arabami i Żydami, co bardzo często wykorzystywane jest przez fundamentalistów, po obu stronach, do uzasadniania istoty sporu i żądań.

W okresie powojennym, poprzez bezpośrednie zaangażowanie państw arabskich oraz mocarstw światowych – USA, ZSRR, konflikt bliskowschodni był bardzo istotnym



Palestyńczycy uciekający z Galilei, 30 października 1948 FOT. © GPO / CC BY-SA 3.0

problemem bezpieczeństwa międzynarodowego. Podpisanie przez Egipt w 1979 roku pokoju z Izraelem skutkowało ewolucją sprawy palestyńskiej. Konflikt arabsko-izraelski stał się konfliktem palestyńsko-izraelskim, a samym Palestyńczykom nie pozostało wielu sojuszników na arenie międzynarodowej.

Przez ostatnie 20-30 lat kwestia palestyńska coraz częściej była traktowana jako sprawa wewnętrzna Izraela, co doprowadziło do obecnej, dość krytycznej sytuacji. Myślę, że jedną z przyczyn ataku Hamasu była chęć wprowadzenia na nowo kwestii palestyńskiej w główną orbitę problemów międzynarodowych.

Czym ten atak różni się od tych, które były do tej pory?

Skala oraz formy ataku przeprowadzonego przez Hamas i Palestyński Islamski Dżihad 7 października 2023 roku była

bezprecedensowa i kompletnie zaskoczyła Izrael. Połączenie ataku raketowego i lądowego na tereny przylegające do Strefy Gazy okazało się bardzo skuteczne, a armii Izraela zajęło kilkanaście godzin opanowanie sytuacji i odzyskanie utraconych posterunków.

Liczba ofiar zszokowała Izraelczyków (ponad 1 300 zabitych w Izraelu), jak i cały świat, co było bezpośrednią przyczyną takiej agresywnej i nieprzejednanej postawy odwetowej. Skala bestialstwa wojennego po obu stronach jest ogromna, co wyróżnia tę wojnę spośród innych odłonek konfliktu izraelsko-palestyńskiego w ostatnich latach, a nawet i dziesięcioleciach.

Największe getto na świecie

Strefa Gazy, zarządzana przez Hamas, to największe getto na świecie, w którym na 365 km² zamieszkuje 2,2-2,5 mln osób. Utrzymywana jest *de facto* z pomocy międzynarodowej (ONZ i inne organizacje) oraz donacji nielicznych sojuszników Palestyńczyków, tj. Katar, Iran.

Ogromne bezrobocie oraz niski standard egzystencji charakteryzują życie przeważającej liczby jej mieszkańców. To jest właśnie podstawowa pożywka dla fundamentalistów rekrutujących członków Hamasu. Podobna sytuacja panuje na Zachodnim Brzegu, który jest administrowany przez Fatah/OWP i pozostaje pod szczególną kontrolą Izraela. Niezrozumiała jest spolegliwość społeczności międzynarodowej i przyzwolenie na agresywne zachowanie Izraela, tj. przejmowanie kolejnych terenów palestyńskich i bezprawne budowanie na nich osiedli czy niehumanitarne traktowanie Palestyńczyków na terenach okupowanych, jak i w samym Izraelu.



Uchodźcy z Galilei w drodze do Libanu, 1948 FOT. DP



Mieszkańcy obozu dla uchodźców Jabalia (Gaza) w poszukiwaniu ciał swoich krewnych, 1 listopada 2023. Fot. © MOHAMMED AL-MASRI

Z jednej strony zezwala się na łamanie praw międzynarodowych przez Izrael, z drugiej Palestyńczykom pozostawionym samym sobie i żyjącym w naprawdę w okropnych warunkach, odbiera się możliwości walki o egzekwowanie praw człowieka, określonych w podstawowych dokumentach ONZ.

Możliwe scenariusze...

Scenariusze tego konfliktu, szczególnie dla Palestyńczyków, nie są zbyt optymistyczne. Myślę, że Izrael po bombardowaniach Strefy Gazy wkroczy tam siłami lądowymi, by spacyfikować ten obszar. Będzie również starał się uwolnić jeńców i dotrzeć do wszystkich bojowników Hamasu w celu ich likwidacji.

Teraz tak naprawdę to od Izraela zależy, jak długo będzie trwał ten konflikt. Z jednej strony Hamas mówi już o gotowości do rozmów rozejmowych czy do zawieszenia broni, ale z drugiej – wzywa swoich zwolenników w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu, a nawet w Izraelu, do wystąpienia przeciwko okupantowi. Prawdopodobnie wojna będzie trwać, dopóki Izrael nie uzna, że rozbił Hamas na tyle poważnie, aby nie stanowił już zagrożenia przynajmniej przez następne kilka lat.

Scenariuszem pozytywnym byłoby wprowadzenie na te obszary sił pokojowych ONZ. Jednak sprawa palestyńska nie staje się tematem rozmów w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, gdyż nie dopuszczają do tego Stany Zjednoczone. Zatem nasze narzędzia międzynarodowe w tej kwestii są dość ograniczone, konfliktem zarządzają strony bezpośrednio biorące w nim udział oraz ich sojusznicy. Na pewno Izrael może liczyć na pełne poparcie przez USA, a Hamas nie ma właściwie

żadnych popleczników międzynarodowych – poparcie przez Rosję jest tylko „papierowe”, z kolei wsparcie przez Iran ma charakter partykularny.

Arabia Saudyjska czy inne państwa arabskie, które przez wiele lat wspierały Palestyńczyków, mając teraz na względzie m.in. interesy ekonomiczne, normalizują stosunki z Izraelem. To właśnie brak poparcia międzynarodowego, na przykład takiego jak w 1973 roku, stanowi o strategicznej izolacji Hamasu i ograniczonych pozytywnych skutkach jego działań.

Uważam, że atak Hamasu to zarówno przejaw aktu desperacji Palestyńczyków, jak i wyraz ich ogromnej frustracji społecznej. Bierność międzynarodowa oraz bezkompromisowa polityka Izraela wraz z dramatycznymi warunkami życia stanowią główne powody kolejnego ataku Hamasu.

Obecny konflikt raczej nie przekształci się w wojnę regionalną, nie zapali Bliskiego Wschodu, przynajmniej obecnie nie widać takiej możliwości. Dotychczasowe bombardowania Strefy Gazy, które już pochłonęły życie setek palestyńskich cywili (około 2 500 zabitych [ok. 18 000 – stan na dzień 10 grudnia]), stanowią preludium do właściwej akcji lądowej. Rozwój sytuacji regionalnej zależy od skali i formy działań Izraela w Strefie Gazy. Niemniej jednak skutki społeczno-polityczne i ekonomiczne dla Palestyńczyków będą katastrofalne.

Dla Izraela atak Hamasu jest szokiem niespotykanym w ostatnich dziesięcioleciach. Mam nadzieję, że pomimo chęci odwetu, Izraelczycy, w perspektywie długoterminowej, z większą empatią i chęcią do kompromisu potraktują kwestię palestyńską. Być może ta sytuacja zmieni także optykę wśród głównych elit Izraela, które nie wyrażą już takiego przyzwolenia na fundamentalizm judaistyczny i do głosu dopuszczą nurt chęci zawarcia kompromisu z Palestyńczykami i ustanowienia trwałych zasad koegzystencji.

BARTOSZ BOJARCZYK ■
20 października 2023

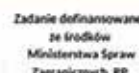
Wojna w Gazie 2023.

Przyczyny, przebieg, konsekwencje

Dr Bartosz Bojarczyk
Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

15 grudnia | 11:20

Sala 3.14 | WPID UMCS



□ W czasie zintensyfikowanych, niszczyielskich działań zbrojnych Izraela w Strefie Gazy Amnesty International dokumentuje bezprawne ataki, w tym również ataki bez rozróżnienia celu. Skutkują one zbiorowymi stratami wśród ludności cywilnej oraz muszą zostać zbadane pod kątem popełnienia zbrodni wojennych. Organizacja rozmawiała z ocalałymi i naocznymi świadkami, przeanalizowała zdjęcia satelitarne oraz zweryfikowała zdjęcia i filmy w ramach dochodzenia w sprawie bombardowań przeprowadzonych przez siły izraelskie po 7 października 2023. W każdym z tych przypadków mamy do czynienia z naruszeniem międzynarodowego prawa humanitarnego.

Strefa Gazy – nigdzie nie jest bezpiecznie

Siły izraelskie po raz kolejny wykazały się mrozącą krew w żyłach obojętnością wobec katastrofalnych skutków nieustannego bombardowania okupowanej Strefy Gazy. Bezprawne izraelskie ataki świadczą o bezwzględnym lekceważeniu życia Palestyńczyków.

W ramach trwającego dochodzenia w sprawie naruszeń prawa konfliktów zbrojnych, Amnesty International udokumentowała dwa przypadki, w których izraelskie ataki zabiły 46. cywilów, w tym 20. dzieci. Najstarszą ofiarą była 80-letnia kobieta, a najmłodszą trzymiesięczne dziecko. Ataki te muszą zostać poddane śledztwu pod kątem zbrodni wojennych.

Ataki, które miały miejsce 19 i 20 października 2023 roku, uderzyły w budynek kościoła, w którym schroniły się setki przesiedlonych cywilów w mieście Gaza oraz w dom w obozie dla uchodźców al-Nuseirat w środkowej Gazie.

Amnesty International w toku dogłębnego śledztwa ustaliła, że były to ataki bez rozróżnienia celu lub bezpośrednie ataki na ludność cywilną i obiekty cywilne, które muszą zostać poddane śledztwu pod kątem popełnienia zbrodni wojennych.

– Te niszczyielskie, bezprawne ataki są częścią udokumentowanego wzorca lekceważenia palestyńskiej ludności cywilnej. Pokazują niszczyielski wpływ

bezprecedensowego ataku izraelskiego wojska, który sprawił, że w Strefie Gazy nie ma bezpiecznej strefy. Niezależnie gdzie mieszka lub szuka schronienia ludność cywilna, nigdzie nie jest bezpiecznie – stwierdziła Erika Guevara-Rosas, dyrektor ds. globalnych badań, orzecznictwa i polityki Amnesty International.

– Wzywamy prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego do podjęcia natchmiastowych działań, aby przyspieszyć dochodzenie w sprawie zbrodni wojennych i innych zbrodni prawa międzynarodowego, wszczęte w 2021 roku. Wstrząsające relacje ocalałych i krewnych ofiar opisują niszczyielskie skutki tych bombardowań. W opowieściach jak w migawce z frontu, odmalowuje się masowe cierpienie ludności cywilnej, co dzień powiększane przez nieustające izraelskie ataki wojskowe. Zawieszenie broni jest pilne – podkreśliła E. Guevara-Rosas.

Amnesty International odwiedziła miejsca ataków, sporządziła dokumentację zdjęciową skutków każdego z nich i przeprowadziła wywiady z czternastoma osobami, w tym dziewięcioma ocalałymi, dwoma innymi świadkami, członkiem rodziny ofiar i dwoma przywódcami religijnymi. Laboratorium Dowodów Kryzysowych (Crisis Evidence Lab) Amnesty International przeanalizowało zdjęcia satelitarne

i jawnoźródłowe materiały audiowizualne w celu geolokalizacji i weryfikacji ataków.

Organizacja dokonała również przeglądu odpowiednich oświadczeń izraelskiego wojska i 30 października wysłała pytania do izraelskiego rzecznika wojskowego dotyczące ataku na kościół i obóz al-Nuseirat. Do momentu publikacji tego tekstu nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Władze izraelskie nie opublikowały żadnych wiarygodnych dowodów na temat przesłanek do przeprowadzenia nalotów, w tym rzekomej obecności celów wojskowych. Wręcz przeciwnie, w przypadku bombardowania budynku kościoła, izraelskie wojsko opublikowało sprzeczne informacje, w tym wideo, później wycofane, i oświadczenie, którego nie udało mu się uzasadnić. Badania Amnesty International nie wykazały, by trafione budynki mogły być uznane za cele wojskowe lub były wykorzystywane przez bojowników.

Ustalenia śledztwa opierają się na wcześniejszej dokumentacji Amnesty International dotyczącej bezprawnych izraelskich ataków w czasie obecnej eskalacji oraz na dokumentacji podobnego schematu bezprawnych ataków podczas poprzednich eskalacji izraelskich operacji w Strefie Gazy. Obecne bombardowania Strefy Gazy w porównaniu do wcześniejszych są bezprecedensowe pod względem



Ludzie uczestniczą w ceremonii pogrzebowej ofiar, które straciły życie w izraelskich atakach na kościół św. Porfiriusza w mieście Gaza, 20 października 2023 FOT. © ALI JADALLAH / ANADOLU VIA GETTY IMAGES

intensywności, liczby zabitych cywilów oraz poziomu zniszczenia domów, szkół, szpitali i innej infrastruktury cywilnej.

„Bezwzględne lekceważenie międzynarodowego prawa humanitarnego przez siły izraelskie zostało obszernie udokumentowane przez organizację podczas poprzednich operacji wojskowych – ale intensywność i okrucieństwo obecnego bombardowania są niezrównane” – powiedziała Erika Guevara-Rosas.

„Liczba ofiar śmiertelnych w Strefie Gazy przeraża. To ponad 11 000 zabitych Palestyńczyków, w tym ponad 4 600 dzieci, w ciągu zaledwie sześciu tygodni, co samo w sobie jest sygnałem, jak nieznaczące jest życie Palestyńczyków w oczach izraelskich sił zlecających i przeprowadzających te ataki”.

Moje serce umarło wraz z moimi dziećmi

19 października izraelski natot zniszczył budynek greckiego kościoła prawosławnego św. Porfiriusza w sercu starego miasta Gazy, w którym schronienie znalazło około 450. przesiedlonych członków małej chrześcijańskiej społeczności. W wyniku ataku zginęło 18. cywilów, a co najmniej 12. zostało rannych.

Ramez al-Sury, który w ataku stracił trójkę swoich dzieci i dziesięcioro innych krewnych, powiedział Amnesty International: „Moje serce umarło wraz z moimi dziećmi tego wieczoru. Wszystkie moje dzieci zginęły: Majid – 11 lat, Julie – 12 lat i Suhail – 14 lat. Nic mi nie zostało. Powinienem być umrzeć razem z moimi dziećmi”.

„Zostawiłam je zaledwie dwie minuty wcześniej. Moja siostra zadzwoniła do mnie, abym zszedł na dół do piwnicy, żeby pomóc mojemu ojcu przykucie do łóżka, ponie-

waż miał udar... moje dzieci zostały w pokoju z moimi kuzynami i ich żonami i dziećmi. Wtedy nastąpił atak i wszyscy zginęli”.

„Opuszczaliśmy nasze domy i przyszliśmy do kościoła, ponieważ myśleliśmy, że tutaj będziemy chronieni. Nie mamy dokąd pójść... Kościół był pełen pokojowo nastawionych ludzi, wyłącznie pokojowo nastawionych ludzi... Obecnie w Gazie nie ma bezpiecznego miejsca. Bombardowania są wszędzie, w dzień i w nocy. Każdego dnia ginie coraz więcej cywilów. Modlimy się o pokój, ale nasze serca są złamane”.

Sami Tarazi powiedział Amnesty International, że jego rodzice, Marwan i Nahed, zostali zabici wraz z jego sześciomiesięczną siostrzenicą Joelle i osiemdziesięcioletnią krewną Elaine.

Jeden z przywódców Kościoła powiedział Amnesty International: „Nie wiemy, dlaczego nasz kościół został zbombardowany; nikt nie wyjaśnił, co spowodowało tę tragedię. To jest kościół, miejsce pokoju, miłości i modlitwy... Obecnie nigdzie w Gazie nie jest bezpiecznie”.

20 października izraelskie wojsko opublikowało w mediach społecznościowych nagrania wideo z użyciem drona pokazujące moment ataku lotniczego na budynek znajdujący się na terenie kościelnym. Kilka mediów zacytowało następnie izraelskie oświadczenie wojskowe, w którym wskazano, że „myśliciele wojska izraelskiego (IDF) uderzyły w centrum dowodzenia i kontroli należące do terrorysty Hamasu zaangażowanego w wystrzeliwanie rakiet i moździerzy w kierunku Izraela”, przyznając, że „ściana kościoła w okolicy została uszkodzona” w wyniku ataku i zapewniając, że „incydent jest analizowany”. Amnesty International przeanalizowała i zarchiwizowała nagranie.

Izraelski film wojskowy pokazujący atak został usunięty, a izraelskie wojsko ani władze nie dostarczyły żadnych informacji na poparcie twierdzenia, że zniszczony budynek kościoła był „centrum dowodzenia i kontroli” Hamasu, ani żadnych dalszych informacji na temat rzekomego badania ataku.

Laboratorium Dowodów Kryzysowych Amnesty International zbadało, zweryfikowało i określiło dokładną lokalizację wykonania filmów i zdjęć opublikowanych w mediach społecznościowych bezpośrednio po ataku, a także przeanalizowało zdjęcia satelitarne lokalizacji przed i po ataku. Wszystkie potwierdziły zniszczenie budynku i częściowe zniszczenie innego obiektu na terenie kościelnym.

Ciąg dalszy na s. 12 ▶



Miejsce ataku na kompleks greckiego kościoła prawosławnego św. Porfiriusza w mieście Gaza; mapa pokazuje szacowany obszar dotknięty (na czerwono) uderzeniem armii izraelskiej

FOT. AMNESTY INTERNATIONAL

► Ciąg dalszy ze s. 11

Ekspert Amnesty International ds. uzbrojenia zbadał również wojskowe nagrania wideo i inne obrazy i stwierdził, że pocisk lotniczy dużych rozmiarów został bezpośrednio wystrzelony w budynek, w którym schronili się ludzie.

Przedstawiciele Kościoła publicznie oświadczyli, że setki cywilów schroniło się tam przed ostrzałem, więc ich obecność była znana izraelskiemu wojsku. Decyzja izraelskiego wojska o przeprowadzeniu ataku na znany kompleks kościelny i miejsce dla wysiedlonej ludności cywilnej była lekkomyślna i tym samym stanowi zbrodnię wojenną, nawet jeśli opierała się na przekonaniu, że w pobliżu znajduje się cel wojskowy.

Będę miał poczucie winy do końca życia

20 października około godziny 14:00 czasu lokalnego, 28. cywilów – w tym 12. dzieci – zginęło w wyniku izraelskiego ataku, który zniszczył dom rodziny al-Aydi i znacznie uszkodził dwa sąsiednie domy w obozie dla uchodźców al-Nuseirat, w centralnej części Strefy Gazy, w obszarze, do którego izraelskie wojsko nakazało udać się mieszkańcom północnej Strefy Gazy.

Rami al-Ajdi, jego żona Ranin i trójka ich dzieci – 10-letnia Ghina, 8-letnia Maja i 6-letni Ijad – zginęli. Zeina Abu Szehada i jej dwójka dzieci, 4-letni Amir al-Ajdi i 3-letni Rakan al-Ajdi, również zostali zabici, wraz z siostrami i matką Zeiny.

Hani al-Ajdi, który przeżył atak, powiedział Amnesty International: „Siedzieliśmy w domu, pełnym ludzi, dzieci, krewnych. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wszystko zważyło nam się na głowę. Wszyscy moi bracia zginęli, moi siostrzeńcy, moje siostrzenice... Moja matka zmarła, moje siostry zmarły, nasz dom przepadł... Nie ma niczego, a teraz zostaliśmy z pustymi



Viola Amash, jej mąż Abdenmour Al-Sury i ich córka Alia byli jednymi z zabitych w izraelskim nalocie na budynek kościoła w mieście Gaza FOT. AMNESTY INTERNATIONAL

rękami i zostaliśmy wysiedleni. Nie mam pojęcia, jak bardzo sytuacja się pogorszy. Czy może być jeszcze gorzej?”

Żona i trzy córki Hazema Abu Szehada są wśród ofiar. Przenieśli się z pobliskiego obozu dla uchodźców al-Maghazi w poszukiwaniu bezpieczeństwa. Mężczyzna powiedział Amnesty International: „Będę miał poczucie winy do końca życia. To ja zasugerowałem, by tymczasowo się tam przenieśli. Żałuję, że sam tego nie zrobiłem, chciałbym móc cofnąć czas. Wolałbym, żebyśmy wszyscy zginęli razem, niż stracić rodzinę”.

Atak poważnie uszkodził oraz zniszczył niemal całkowicie sąsiednie domy rodzin al-Aszram i Abu Zarka. Sześć osób zginęło w domu Abu Zarka, w tym czworo dzieci: siostry Sondos – lat 12 i Areej – lat 11 oraz

ich kuzyni Jara – lat 10 i Khamis Abu Tahoun – lat 12.

Przeprowadzone przez Amnesty International dochodzenie wykazało, że wszystkie osoby obecne w domu al-Ajdi, który został bezpośrednio trafiony, oraz w dwóch pobliskich domach, były cywilami. Dwóch członków rodziny al-Ajdi posiadało pozwolenia na pracę w Izraelu, co wiąże się z rygorystycznymi kontrolami bezpieczeństwa przeprowadzanymi przez izraelskie władze, zarówno dla osób otrzymujących pozwolenie, jak i ich dalszej rodziny.

Zdjęcia satelitarne tego miejsca potwierdzają zniszczenie – zgodne z czasem nalotu – między 20 października o 11:19 UTC a 21 października o 08:22 UTC. Zaznaczony obszar oraz struktury obok zostały poważnie uszkodzone.





Zdjęcia satelitarne pokazują obszar przed atakiem 18 oraz 21 października 2023 r., po ataku; zaznaczony teren i wiele pobliskich konstrukcji zostało znacznie uszkodzonych

FOT. AMNESTY INTERNATIONAL

Międzynarodowe prawo humanitarne

Strony konfliktu zbrojnego muszą zawsze odróżniać ludność cywilną i obiekty cywilne od bojowników i celów wojskowych. Bezpośrednie ataki na ludność cywilną i obiekty cywilne są zabronione, podobnie jak ataki bez rozróżnienia celu.

Atakując cel wojskowy, Izrael jest zobowiązany do podjęcia wszelkich możliwych środków ostrożności, aby uniknąć, a w każdym razie zminimalizować, śmierć i obrażenia cywilów oraz uszkodzenia obiektów cywilnych. Środki obejmują podjęcie wszelkich możliwych działań w celu sprawdzenia, czy cel jest celem wojskowym; wybór środków i metod ataku, które minimalizują szkody dla ludności cywilnej, ocenę, czy atak byłby nieproporcjonalny, skuteczne ostrzeżenie z odpowiednim wyprzedzeniem, gdy jest to możliwe oraz odwołanie ataku, jeśli okaże się, że byłby on niezgodny z prawem.

Amnesty International nie znalazła żadnych przesłanek wskazujących na to, że w miejscu obu ataków znajdowały się jakiegokolwiek cele wojskowe lub że osoby znajdujące się w budynkach były celami wojskowymi, co rodzi obawy, że ataki te

były bezpośrednimi atakami na ludność cywilną lub obiekty cywilne.

Niemniej jednak, jeśli nawet w pobliżu któregośkolwiek z budynków, które zostały trafione, znajdował się uzasadniony cel wojskowy, to podczas tych ataków nie dokonano rozróżnienia między celami wojskowymi a obiektami cywilnymi. Dowody zebrane przez Amnesty International wskazują również, że izraelskie wojsko nie podjęło realnych środków ostrożności w celu zminimalizowania szkód wyrządzonych ludności cywilnej i mieniu cywilnemu, w tym nie przekazało żadnego ostrzeżenia – przynajmniej osobom mieszkającym w miejscach, które zostały trafione – przed rozpoczęciem ataków.

Ataki bez rozróżnienia celu, które zabijają lub ranią ludność cywilną, stanowią zbrodnie wojenne. Długotrwały wzorec lekkomyślnych ataków, które uderzają w obiekty cywilne, co Amnesty International udokumentowała podczas obecnej eskalacji, a także podczas konfliktów w latach 2008-2009, 2014 i 2021, może stanowić bezpośrednie ataki na ludność cywilną i obiekty cywilne, co również stanowi zbrodnię wojenną.

Niezwykle wysoka gęstość zaludnienia w Strefie Gazy wiąże się z dodatkowymi wyzwaniem dla wszystkich stron zaangażowanych w konflikt. Hamas i inne grupy zbrojne są zobowiązane na mocy międzynarodowego prawa humanitarne do podjęcia realnych środków ostrożności w celu ochrony ludności cywilnej przed skutkami ataków. Obejmuje to, w miarę możliwości, zapobieganie rozmieszczaniu celów wojskowych na gęsto zaludnionych obszarach lub w ich pobliżu.

Jednak nawet jeśli grupy zbrojne nie wywiążą się ze swoich zobowiązań, Izrael pozostaje związany międzynarodowym prawem humanitarnym, w tym zakazami nieproporcjonalnych ataków oraz ataków bez rozróżnienia celu.

Kontekst

Amnesty International wzywa wszystkie strony do natychmiastowego zawieszenia broni, aby zapobiec dalszym ofiarom wśród ludności cywilnej i zapewnić dostęp do pomocy ludziom w Strefie Gazy w obliczu bezprecedensowej katastrofy humanitarnej.

Amnesty International udokumentowała, w jaki sposób Hamas i inne grupy zbrojne wystrzeliły rakiety bez rozróżnienia celów na Izrael 7 października 2023 roku oraz wysłały do ataku bojowników, którzy popełnili zbrodnie wojenne, takie jak celowe masowe zabójstwa cywilów i branie zakładników. Według izraelskich władz co najmniej 239 osób, w tym 33 dzieci, pozostaje zakładnikami Hamasu i innych grup zbrojnych w Strefie Gazy.

Organizacja udokumentowała również przytłaczające dowody popełnienia zbrodni wojennych przez siły izraelskie podczas ich ofensywy w Strefie Gazy, w tym inne ataki bez rozróżnienia celu, które spowodowały masowe ofiary wśród ludności cywilnej, powodując śmierć całych rodzin i niszcząc dzielnice mieszkalne.

AMNESTY INTERNATIONAL, AS ■



FOT. © HOSNY SALAH, 2023



□ Według Amnesty International postępowanie Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości (MTS) w sprawie wniosku Republiki Południowej Afryki, w którym zarzuca się Izraelowi naruszenie zobowiązań wynikających z Konwencji ONZ w sprawie ludobójstwa, może przyczynić się do ochrony palestyńskiej ludności cywilnej, zakończyć katastrofę humanitarną w Strefie Gazy i wzbudzić nadzieję na międzynarodową sprawiedliwość...

FOT. © HASSAN ESLAIAH / AP

Przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości

Republika Południowej Afryki złożyła wniosek, w którym stwierdza, że działania i zaniechania Izraela w stosunku do Palestyńczyków w Strefie Gazy, w następstwie ataków przeprowadzonych 7 października 2023 roku przez Hamas i inne grupy zbrojne, mają charakter ludobójczy.

Wniosek RPA wzywa sąd do zarządzenia „środków tymczasowych” w celu ochrony Palestyńczyków w Strefie Gazy, w tym poprzez wezwanie Izraela do natychmiastowego zaprzestania ataków wojskowych, które „stanowią lub prowadzą do naruszenia przepisów Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa” oraz do wycofania środków, które stanowią karę zbiorową i przymusowe wysiedlenia. Wstępne przesłuchania odbędą się przed Trybunałem w Hadze 11 i 12 stycznia 2024 roku.

Amnesty International nie stwierdziła, że sytuacja w Strefie Gazy jest równoznaczna z ludobójstwem. Istnieją jednak niepokojące sygnały ostrzegawcze. Wynikają z przerażającej skali ofiar śmiertelnych i zniszczeń – ponad 23 000 Palestyńczyków zginęło w ciągu nieco ponad trzech miesięcy, a ko-

lejne 10 000 uznaje się za zaginionych pod gruzami. Ponadto zaobserwowano drastyczny wzrost dehumanizującej i rasistowskiej retoryki wobec Palestyńczyków ze strony niektórych izraelskich urzędników państwowych i wojskowych. To, w połączeniu z nielegalną blokadą Strefy Gazy przez Izrael, które odcięło lub poważnie ograniczyło dostęp ludności cywilnej do wody, żywności, pomocy medycznej i paliwa, powoduje niewyobrażalne cierpienie i zagraża ludzkiemu życiu w Strefie Gazy.

– Nie widać końca zbiorowego ludzkiego cierpienia, nieprzerwanych dewastacji i zniszczenia, których jesteśmy świadkami w Strefie Gazy. Ryzyko, że Gaza zostanie zamieniona z więzienia pod gołym niebem w olbrzymi cmentarz, materializuje się na naszych oczach – stwierdziła Agnès Callamard, sekretarz generalna Amnesty International.

Ponieważ Stany Zjednoczone nadal wykazują swoje prawo weta, aby zablokować w Radzie Bezpieczeństwa ONZ wezwanie do zawieszenia broni, zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości są powszechne, a ryzyko ludobójstwa jest realne. Pań-

stwa mają obowiązek zapobiegać i karać ludobójstwo oraz inne okrutne zbrodnie.

Zgodnie z Konwencją w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa z 1948 roku oraz, jak ustalił wcześniej MTS, zgodnie z prawem zwyczajowym, wszystkie państwa mają międzynarodowy prawny obowiązek działania w celu zapobiegania ludobójstwu. Oznacza to, że obowiązek prewencji jest wiążący dla wszystkich państw, w tym państw, które nie są stronami Konwencji.

16 listopada 2023 roku grupa ekspertów ONZ ostrzegła przed „ludobójstwem w toku” na okupowanych terytoriach palestyńskich, zwłaszcza w Strefie Gazy.

– Trudno jest przedstawić w pełni skalę dewastacji i zniszczeń, do których doszło w Strefie Gazy w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Znaczna część północnej Gazy została zniszczona, a co najmniej 85 procent ludności Gazy jest obecnie wewnętrznie przesiedlona. Wielu Palestyńczyków i ekspertów ds. praw człowieka postrzega to jako część izraelskiej strategii, która ma na celu uczynić Gazę „niezdadną do życia”. Łączy się to z niepokojącymi wypowiedziami niektórych izraelskich urzędników, którzy

opowiadają się za bezprawną deportacją lub siłowym przesiedleniem Palestyńczyków poza Strefę Gazy i odrażającą odczłowieczającą retoryką – podkreśla Agnès Callamard.

W oczekiwaniu na ostateczne orzeczenie Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w sprawie popełnienia zbrodni ludobójstwa i innych przestępstw w świetle prawa międzynarodowego, pilny nakaz wdrożenia środków tymczasowych byłby ważnym krokiem, który pomógłby zapobiec dalszej śmierci, zniszczeniu i cierpieniu ludności cywilnej. Stanowiłyby także ostrzeżenie dla innych państw, że nie mogą przyczyniać się do poważnych naruszeń i zbrodni przeciwko Palestyńczykom.

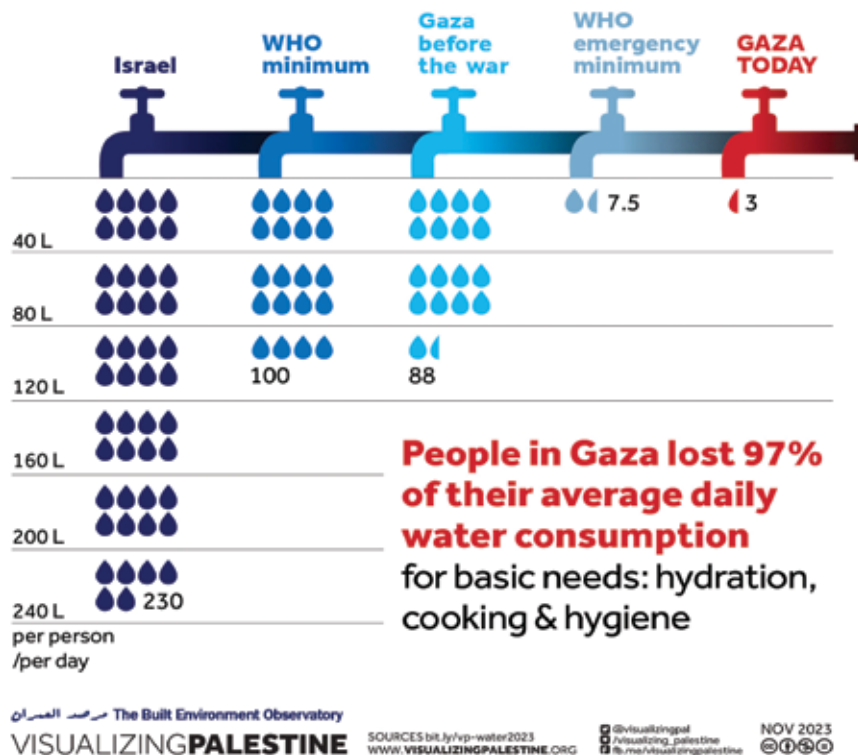
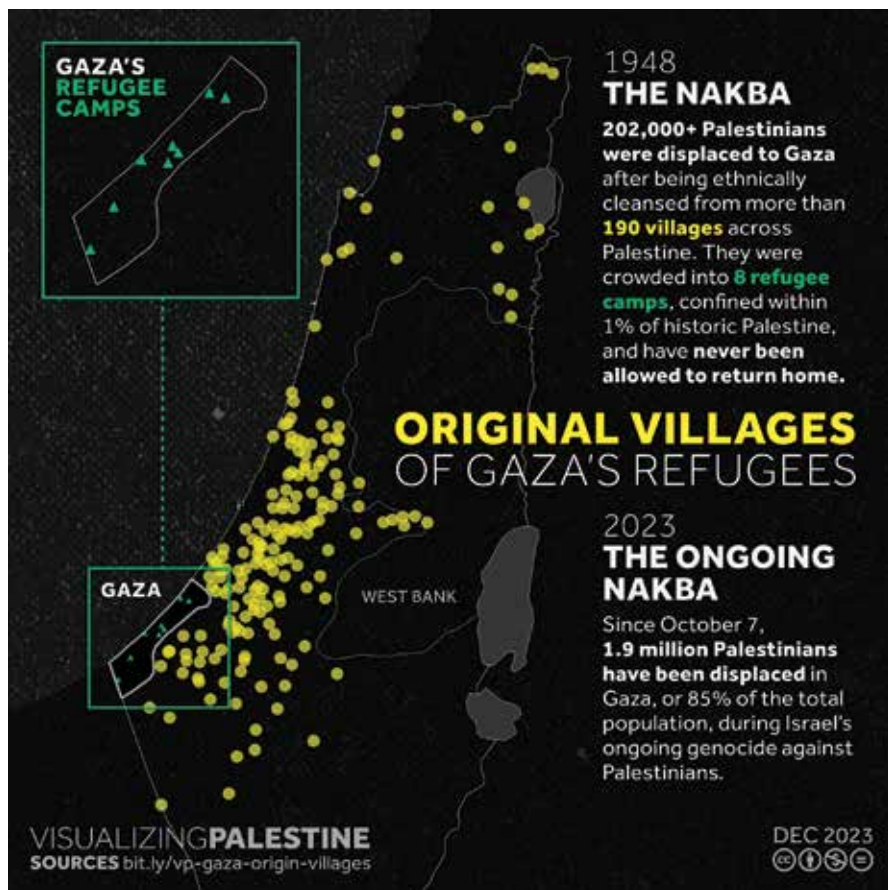
Kontekst

Ludobójstwo jest definiowane jako określone czyny popełnione z „zamiarem wyniszczenia, w całości lub w części, grupy chronionej”, takiej jak grupa narodowa, etniczna, religijna lub rasowa.

Środki tymczasowe, o które zwróciła się Republika Południowej Afryki, obejmują wezwanie Izraela do zaprzestania działań objętych art. II Konwencji w sprawie ludobójstwa, w tym „zabijania członków grupy chronionej” i „celowego stwarzania grupie warunków życia obliczonych na doprowadzenie do jej fizycznego wyniszczenia w całości lub w części”. W związku z tym wzywa się Izrael do zapobiegania przymusowemu wysiedleniu i pozbawianiu Palestyńczyków dostępu do odpowiednich zasobów żywności, wody, pomocy humanitarnej i środków medycznych. Zgodnie z Konwencją, nikt, w tym najwyżsi urzędnicy państwowi, nie może powoływać się na osobisty immunitet za jakiegokolwiek domniemane czyny.

We wniosku do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości RPA powołuje się na dowody zebrane przez Amnesty International. Dokumentacja przedstawia przytłaczające dowody popełnienia zbrodni wojennych i innych naruszeń prawa międzynarodowego przez izraelskie siły podczas intensywnego bombardowania Strefy Gazy, w tym bezpośrednich ataków na ludność cywilną i obiekty cywilne, ataków bez rozróżnienia celu i innych bezprawnych ataków, przymusowych wysiedleń ludności cywilnej i zbiorowych kar wobec niej. Cytuje również badania Amnesty International, które wskazują, że izraelski system opresji i ucisku Palestyńczyków jest tożsamy z apartheidem.

Amnesty International potępia również zbrodnie wojenne popełnione przez Hamas i inne grupy zbrojne 7 października 2023 roku, w tym branie zakładników i celowe zabijanie cywilów, a także trwające ataki bez rozróżnienia celu.



Organizacja wielokrotnie wzywała do zbadania naruszeń prawa międzynarodowego przez wszystkie strony i do natychmiastowego trwałego zawieszenia broni, uwolnienia wszystkich cywilnych zakładników przetrzymywanych przez grupy zbrojne w Strefie Gazy, wypuszczenia Palestyńczyków bezpodstawnie przetrzymywanych przez Izrael oraz do

zakończenia przez Izrael nielegalnej i okrutnej blokady Strefy Gazy.

Postępowanie przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w sprawie domniemanego naruszenia przez Izrael konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa to ważny krok w kierunku ochrony palestyńskiej ludności cywilnej.

IRENEUSZ ST. BRUSKI, AI

Optymista ze strefy zgniotu



FOT. © ANDRZEJ SIKORA

Z historykiem polskich dziejów, dr. Józefem Dudą rozmawiają Andrzej Sikora i Lech L. Przychodzki.

Andrzej Sikora: Zacznijmy od początku – w większości informacji, umieszczonych na okładkach książek, przedstawiany jest Pan jako uczonego dwukierunkowy, prawda? Ekonomista, jako absolwent ekonomii oraz historyk – praktyk nauk humanistycznych. Co było pierwsze?

Józef Duda: Absolutnie historia. Ekonomistą zostałem przypadkiem, bo gdy skończyłem studia, otworzono Wydział Ekonomiczny na UMCS-ie, gdzie powstała Katedra Historii Gospodarczej. Mój promotor, profesor Adam Kersten właśnie do niej mnie skierował i jeszcze mi takie przesłanie dał: „Do tej pory liczyłeś, chłopcze, rycerzy, teraz będziesz liczył krowie ogony”. (śmiech)

Taka jest różnica między historią w ogóle (globalną) a historią gospodarczą. Z historią gospodarczą wcześniej nie miałem zbyt dużo do czynienia, nie imponowała mi, ale tu z konieczności musiałem się zagłębić, a *de facto* jest ona częścią ekonomii. Konieczność wkrótce przerodziła się w zainteresowanie – trudno gdzieś pracować, jeśli nas to nie interesuje; byłoby to zbyt męczące. Ponadto właśnie

tam przyszła mi myśl zrobienia doktoratu z ekonomii. I połączyło się trochę jedno z drugim. Ekonomia i historia gospodarcza dały mi globalne spojrzenie na historię. Historia była pierwsza, druga, trzecia...

...i jest nieustająca, prawda? Ale jeszcze sięgnijmy wcześniej. Jest Pan Galicjaninem. Czy się nie mylę?

Poniekąd tak... Wywodzę się z Trześni. **Trześć? Bardzo długo się zastanawiałem, czytając Krzyżaków, czy to ta Trześć, gdzie do kościoła jeździł Zbyszko z Bogdańca. Okazuje się, że nie, bo Zbyszkowa jest na Ziemi Sieradzkiej... Szkołę średnią kończył Pan, zdaje się w Tarnobrzegu, mamy tedy Galicjanina pełną gębą. Jak wpłynęła owa galicyjskość, młodzięcze lata, na Pana twórczość? Czy z tamtych czasów coś zostało? Inaczej... czy w Józefie Dudzie został Józio Duda?**

Myślę, że jednak chyba nie. To jest już taki syndrom, iż ludzie się przemieszczają, gdzieś przenoszą... Z konieczności – żeby studiować, awansować – muszą szukać większego ośrodka. Myślę, że ja po studiach stałem się już mieszkańcem Lublina, aczkolwiek może dusza pozostała trochę tam, w Galicji, ogólnie biorąc.

Ogólnie, ponieważ Sandomierz bardzo blisko był Trześni, częściej tam bywałem niż w Tarnobrzegu, było to jednak pierwsze miasto, które ujrzałem, mając parę lat. Myślę, że było to takie rozdwojenie czy rozdarcie... Czulem się wdzięczny, iż Lublin mnie przygarnął, że mogłem

tu studiować i robić karierę zawodową w miarę moich potrzeb. Z drugiej strony jest sentyment do rodzinnych miejscowości. Na początku był on bardzo ogólny: do miejsca, do krainy, do całej Galicji. W miarę, jak czas płynął, sentyment się zawęził do miejsca urodzenia – *de facto* do tych pól...

Ekonomię zostawmy może...

Tak. Była to moja podpora życiowa, ale pasja to nie jest. Już na pewno piórem do tego nie wrócę.



Po maturze przyszedł czas na studia. Czy lata średniego i późnego Gomułki wśród braci studenckiej także były pozbawione barw i nudne?

O nie, życie studenckie mieliśmy bardzo intensywne. W latach 60., kiedy było nudno, smutno, szaro, a ja studiowałem, trzeba było to jakoś dobarwić. Przecież w latach Gomułki na Polskę przyszła siemiężna stabilizacja, choć ja sobie ją dzisiaj cenię, bo dała mi możliwość, bym się zajął tylko czytaniem, studiowaniem – nie było żadnych pokus. Dzisiaj jest odwrotnie. A już najmniej czytania.

Naprawdę dużo czytaliśmy. Ale i tak chodziłem, nawet trzy razy dziennie, do kina. Puszczana wtedy była klasyka i Nowa Fala – polska i zachodnia. Do dziś pamiętam te filmy, jeśli przymierzam do dzisiejszych, to nie ta skala.

Poza tym wtedy na studia kierował młodych głód wiedzy i chęć kształcenia się, co zawsze też wspominał wielki polski botanik, profesor Dominik Fijałkowski [1922-2015 – RED.].

Tak. Zupełnie inne czasy...

Nawet tytuł nie był tak ważny. Zresztą Pan jest najlepszym przykładem.

Tak. W pewnym momencie wykreśliłem chęć robienia stopni naukowych, chociaż akurat miałem robić habilitację. Zresztą to był czas „Solidarności”. I trzeba było się jej bez reszty oddać.

Był Pan jednym z ludzi, tworzących ówczesną, pierwszą „Solidarność”.

To fakt. Na wydziale ją utworzyłem i na uniwersytecie też tworzyłem. Byłem jednym z autorów gazety uczelnianej. To moje pierwsze wejście w jakąkolwiek politykę. Do tamtej pory polityka dla mnie nie istniała. Ale, gdy się w coś wejdzie, to już się z tego labiryntu nie wychodzi.

Czy teraz, z perspektywy lat – to można wyczytać w niektórych Pana książkach – uważa Pan, że zamierzenia „Solidarności”, wszystko to, co planowaliście, zostało zrealizowane?

Niewiele. Część była na pewno zupełnie nierealna, byliśmy wielkim ruchem społecznym, który maszerował bardzo szeroko, zresztą uwarunkowania były inne, świat był inny i idee były inne. Był to czas, kiedy te idee były bardzo wyraźne.

Były dla nas dwie strony barykady. Lewa i prawa. Wyraziście zarysowane. I ja wiedziałem, kto ma jakie poglądy, a przede wszystkim, że je ma. I wiedziałem, że trzeba o to walczyć.

Dzisiaj? Kto ma jakie poglądy? Nie ma barykady. Wszystko jest wymieszane. Lewica połączyła się z liberałami. I co powstało z tego? Straszna mieszanina, groźniejsza niż komunizm.

Lech L. Przychodźki: Poglądy ma się dzisiaj w zależności od potrzeb.

Tak, to widać po politykach, którzy sobie wędrują. Wielu moich kolegów, polityków z PiS-u, przeszło na tamtą stronę, bo tam mieli szansę.

Andrzej Sikora: Użył Pan określenia, że ten konglomerat jest „groźniejszy niż komunizm”...

Tak, bo mniej czytelny. Poprawność polityczna jest niezwykle groźna, bo ona obejmuje praktycznie wszystko. Zawsze będą mieli paragraf, kiedy się coś nie spodoba.

Z tego, co się zorientowałem, Pan, jako jeden z nielicznych w Lublinie, niemal jedyny, poszedł swoją drogą. Niewielu ma Pan „papuścików” – tych, z którymi jest po drodze. Prof. Stefan Symotiuł powiedział kiedyś o Panu, że Józef Duda jest człowiekiem, który pisze historię po swojemu. I wie Pan, jaki jest na to mój dowód? Przyjrzałem się tytułom Pana książek. I nie jest to po prostu historia, dzieje...

Tak. Bo to nie ma być opis historii zdarzeń, a dialog z historią. Dialog z przeszłością. Ja mam swoją wiedzę, którą chcę spożytkować dla poznania przeszłości i może też coś to przyniesie teraźniejszości. Dlatego są to polskie dzieje a nie historia Polski.

Dla mnie rzecz arcyciekawa to Pańskie podróże, czytanie historii Europy także nogami...

Było ich równo 100. Początkowo wędrowanie wydawało mi się poboczne, ale narastało i stało się najważniejsze. Właściwie chciałem pielgrzymować po chrześcijańskiej Europie. Cywilizacja chrześcijańskiej Europy była przedmiotem moich zainteresowań, co wyznaczyło jakieś granice i nie interesowałem się Afryką czy Azją w ogóle, oczywiście z całym szacunkiem, dystansem... Moim manifestem, zawartym też w jednej z książek: *Europa uniwersytetów* było pytanie: Czy można poznać innego, nie znając siebie? I wyznaczyłem sobie ten krąg, tę granicę, biorąc pod uwagę, że życie jest za krótkie, by się rozdrabniać. Ponadto świat według mojego rozeznania dzielił się zawsze na pewne cywilizacje, pewne kręgi czasoprzestrzenne. One są większe niż kultura. Mają wiele cech wspólnych, ale też różnią się bardzo między sobą. I ktoś, kto się wywodzi z jakiegoś kręgu cywilizacyjnego, nie może być cywilizowany na inny sposób. Tu się urodził, tu się wychował...

Lech L. Przychodźki: Jak powiedział Feliks Koneczny, nie można być cywilizowanym na dwa sposoby.

Konecznego bardzo lubię. Doszedłem do wniosku, że cywilizacja europejska, chrześcijańska jest dla mnie przedmiotem i będę się ją starał poznać na tyle, na ile

będę mógł. Cała ta przestrzeń była dla mnie tematem i jako historyk starałem sobie poukładać to także chronologicznie, poprzez władsty kulturowe. Oczywiście ona terytorialnie przekracza granice, myślałem tu o Bliskim Wschodzie, Ziemi Świętej. Musiałem także sięgnąć do Antyku, choć ja go do cywilizacji naszej nie zaliczam, ale traktuję jako przestrzeń, która dała nam wiele wzorów. I starałem się jakoś systematycznie później to poznawać.

Jak się za Generała prowadziło chętnych po śladach chrześcijańskiej historii?

Pierwsze wyprawy były prowadzone przeze mnie. Ja jako pilot, a były to lata 80., musiałem wszystko robić, aby to zorganizować. Od załatwiania wiz, ustalania programu poprzez przewodnictwo itd. I było to naprawdę wspaniałe wyzwanie. Robię wyjazd, namiotowy, trampingowy na sześć tygodni i sam muszę na te sześć tygodni przygotować program. Ludzi poprowadzić, wyjaśnić im wszystko. To zajmowało dużo czasu. Pochłonęło mi też trochę pracy naukowej, bo zajmowało parę miesięcy. Mówimy o czasach przed Internetem. Właściwie nawet nie było polskich przewodników. Musiałem z francuskich korzystać. Gdy się przygotowywałem do wyjazdu, wiedząc, iż np. podczas jakiegoś odwiedzimy 100 miejscowości we Włoszech, to oczywiście wymagało czasu, ale jeśli już się przygotowałem, to mi zostało do chwili obecnej.

I tak stopniowo tę Europę zgłębiałem i zgłębiałem, iż dzisiaj mogę powiedzieć bez skromności, że znam kulturę europejską. I dobrze znam kontynent. Mogę wymienić jedynie parę miast w Europie, których nie znam.

Andrzej Sikora: Dostyc długo obracałem się w środowisku pilotów, przewodników i muszę Panu powiedzieć, iż nie znam drugiej takiej osoby. To są wszystko absolwenci różnych kursów. Wtedy Orbis je organizował, trochę PTTK, a Pan chyba kursów nie kończył?

Nie. I muszę przytoczyć pewną historię. Wtedy Francję odwiedzaliśmy i na granicy celnik mnie zapytał: „Czy pan jest zawodowym pilotem?”. Mówię: „Nie”. On na to: „I dzięki Bogu, bo zawodowi piloci jednak są sterowani, na ogół mają zadania określone”. Był to rodzaj służby, a zarazem donoszenia, co, gdzie i tak dalej. Ja na ogół po powrocie miałem niewątpliwie kilka pytań, ale zwałniało mnie to z pewnych obowiązków formalnych. Miałem tylko jeden obowiązek. Pokazać ludziom to, co chciałem pokazać.



Ciąg dalszy na s. 18 ▶



Podczas jednej z eskapad po Grecji FOT. ARCHIWUM JANA DUBY

► Ciąg dalszy ze s. 17

Wyprawy były trudne, bo obce kraje, wycieczki trampingowe z własnym wyżywieniem, ale jaka była z tego korzyść? Wybraliśmy miejsca piękne, w gajach oliwnych, w przepięknej przyrodzie. Jak nam się podobało – zostawaliśmy, a jeśli nie, to się zwijaliśmy i szliśmy dalej. Tak, że to było piękne, ale też wymagało dużo wysiłku fizycznego.

Nie tylko wysiłku fizycznego. Również pracy organizacyjnej.

Parę nocy spędziłem pod ambasadami, hiszpańską czy francuską w Warszawie. Musiałem jako pilot wizy załatwić dla wszystkich.

Jako organizator wycieczek był Pan wspinałym kandydatem na tzw. TW... Spotkał się Pan z takimi propozycjami jawnymi?

Takimi wprost – nie. Kiedyś, gdy wyruszałem na pierwszy wyjazd w stanie wojennym, na kanonizację ojca Kolbego, byłem też u szczytu działalności, dużo o mnie wiedzieli wtedy. Mówią do mnie: Pan jest bardzo znany. Za granicą też Pana znają. To jak Pan wróci, to by Pan nam powiedział, jak ta zagranica reaguje na „Solidarność”. Odpowiedziałem, iż nie jestem znany i nikt do mnie nie będzie przychodził. Nie liczcie na to...

Wracając do naszych wyjazdów, mieliśmy lata 80. Były to długie wyprawy i zazwyczaj obejmowały sto miejscowości. Sto we Włoszech, sto we Francji, sto na Półwyspie Iberyjskim. Tego się nie zapomina. To mi zostało. Rzym odwiedziłem sześćdziesiąt razy. Nie przypadkiem. Tak mnie Rzym kupił. Mówiłem kiedyś, że ja z tym miastem nie umiem się pożegnać.

Zamykając jakby biografię turystyczną, pielgrzymkową, wróćmy jeszcze do krzyży, obecnych wszędzie w Pana domu. Pamiętam, że potrafi Pan na wrywki, kiedy wskażę konkretny krzyż, opowiedzieć jego historię.

To znaczy niektóre z nich nie mają swojej historii, albo tylko bardzo skromną, miejsca nabycia itd., wiele jednak znam, bo są albo typowe, albo mają miejsce charakterystyczne, wygląd. Jeszcze pamiętam, ale teraz ponaglam żonę, żebyśmy wydali drugi tom albumu z nimi, bo któregoś dnia się obudzę i nie będę pamiętał, co niewykluczone w moim wieku. Krzyże zacząłem kolekcjonować dość późno, bo książki miałem od urodzenia, a krzyże od dwudziestu lat dopiero. Gdy zacząłem je zbierać, miałem blisko sześćdziesiąt lat. I wciąż się zastanawiam, co zdecydowało...

Tu, w tym domu znalazł Pan dla innych ludzi czas na rozmowy, dyskusje, wzajemną wymianę doświadczeń...

Zacząło się to od tego, że kiedy powstała tajna komisja „Solidarność” w stanie wojennym, to podjąłem się ją tu gościć. Owa komisja przez osiem lat się tu spotykała. I tylko się zastanawiałem, czy władze wiedzą o tych spotkaniach, czy nie? Mieliśmy hasło: „Idziemy na szarlotkę”. Czasami było tu trzydzieści osób, trochę było mniej książek, siedzisk było więcej... Później jak już się to wszystko ujawniło, część ludzi została, chciała się nadal spotykać. I tę tradycję, która się wzięła z tajnej komisji, nazwaliśmy później „spotkaniami gerontów”.

Profesor Symotiuk używał właśnie tego określenia: spotkania gerontów...

Ludzie są ważni, spotkania, dyskusje. Mniej jest ważne w jakim miejscu, lokalu. **Nie widać tu u Pana komputera, większość swoich tekstów pisze Pan tą oto prawą ręką – piórem, długopisem. Skąd ta niechęć do zmiany cywilizacyjnej?**

Zastanawiałem się. Niektórzy mi to wymawiają i stwarza to dość mocne problemy wydawnicze. Gdy piszę ręcznie, wszystko się bardziej zgrywa, to znaczy myślę i piszę jednocześnie. Synchronizacja następuje większa. Kiedy biorę pióro do ręki – myśli

mi przychodzi. Jakbym stał przed klawiaturą – to nie. To jest dla mnie wręcz naturalne. Na maszynie można jedynie coś przepisać, ale nie pisać wiele godzin.

Nie jest Pan człowiekiem odosobnionym, ale jednak kimś w rodzaju ewenementu. Nawet profesor Symotiuk, choć on nie pisał, a raczej utrwał...

Na ten temat dużo mówiłem podczas zjazdu w Iwoniczu, to była sesja filozofii słowiańskiej chyba, gdzie poświęciłem popołudnie Stefanowi. Ja im wtedy powiedziałem, iż Symotiuk był doskonałym znawcą *Biblii*. On mnie inspirował. Zawsze przychodził i pytał o coś, a ja musiałem się do tego przygotować. I myśmy na temat *Biblii* dyskutowali. W Iwoniczu byli zaszkokowani: Stefan znawcą *Biblii*? Myśleli, że on był jej wrogiem. Nie!

Mógł być antagonistą. Mógł mieć inne zdanie, ale wrogiem nigdy nie był... To fakt. A Pan ludzi wprowadza na nowe ścieżki... Myślenia i nie tylko...

W tej chwili, gdy gdzieś jadę, wiecie Panowie, co mi jest potrzebne? Ktoś, kto chciałby coś zobaczyć! Ja się teraz najbardziej cieszę, jak mogę komuś coś pokazać, opowiedzieć...

Jest Pan przykładem klasycznego apostoła... (śmiech)

Gdyby profesor Symotiuk jeszcze trochę pożył, a byliśmy już blisko... Czekałem na jego spowiedź. On czekał. Cekał na inspirację. Mam teraz takiego profesora socjologii, który był u spowiedzi na pogrzebie Stefana. To był też dla niego taki impuls, on teraz próbuje się coraz bardziej dowiadywać o wierze i widzę, że jego wiara rośnie, choć jest to sceptyk.

Podczas dzisiejszych „spotkań gerontów” bardzo ważną rolę pełni profesor Jadwiga [Mizińska, filozof kultury – RED.]. Jest czynnikiem integrującym. Ma w sobie tego typu dary.

Jadwiga powiedziała mi, że też uważa się za Pańską uczennicę na zasadzie organizacji myśli. Ja się uważam z kolei za ucznia tego mojego grona filozofów. I Stefana, choć nie studiowałem nigdy filozofii, to znaczy miałem kiedyś zajęcia filozofii z profesorem Łubnickim itd. Tak mnie oni napelnili tym spojrzeniem filozoficznym właśnie, że w tej chwili nie mogę się oderwać od połączenia historii z filozofią.

I proszę, są wzajemne relacje. Jedni uczą się od drugich.

Ależ tak. Człowiek jest wielowymiarowy, więc nie można tak się odrywać. Nie chodzi mi o ilość faktów, to znaczy to, co ja robię, czyli syntezy, polegającej na eliminacji faktów, a nie gromadzeniu. Nie ilość faktów jest ważna, ale ich porządkowanie. Stworzenie z tego jakiejś idei.

Nim pozwolę gadać Lechowi, chciałbym poznać Pana opinię... Mianowicie moi nauczyciele historii ze szkoły, jeden i drugi z grona Sybiraków, którzy wrócili do kraju dopiero w latach 60., nauczali mnie w ten sposób, iż historia to logiczny ciąg faktów, wynikających jeden z drugich, że jeżeli poszło „A”, to na końcu musi być „Z”, czyli niejako efekt motyla, ale nie jak w dominie, iż jeśli jeden klocek

upadnie to i kolejne, lecz fakt, że historia jest jednak nieprzewidywalna. Historia jest do bólu logiczna – lecz nieprzewidywalna. Zgodzi się Pan z tym twierdzeniem moich profesorów?

Sam nie wiem, pytam o to historię od kilkudziesięciu lat – czym ona jest? Kim ty, Józefie, jesteś? I do dzisiaj dokładnie nie wiem, jest ona dla mnie tajemnicą. Oczywiście – przeżyłem marksizm, materializm historyczny, historia gospodarcza jeszcze go bardziej dowartościowywała... I jest rzeczywiście to wszystko przyczynowo i skutkowo warunkowane. Ale jest też jednak tajemnicą, która w jakimś sensie układa się pokoleniowo; pokolenia przekazują ją sobie, ale nie jest to taki prosty łańcuch. Kiedyś ktoś powiedział, że historia toczy się spiralą. Żadne koła, żadne proste linie, waha się w jedną, drugą stronę, tworząc jednak spiralę, która nigdy się nie zamknie jak w przypadku koła, czy nigdy nie będzie szła prosto. I to jest wartość tych pokoleń, które coś od siebie wnoszą.

Jeden z bohaterów Dostojewskiego powiedział, iż każde pokolenie ma prawo do tego, by tu swój dorobek zostawić. I nie jest tak, że idziemy ku jakiemuś niebiańskiemu końcowi, gdzie wszystko będzie idealnie. My nie

możemy być nawozem dla tego niebiańskiego pokolenia. Każde ma swoje prawa i każdy ma prawo coś wnieść. Bardzo skomplikowana dla mnie sprawa. Nie jestem w stanie powiedzieć wprost, czym jest historia.

Dalej mamy zagadkę?

Lech L. Przychodzki: Gdybyśmy nie mieli zagadki, nie byłoby co robić...

Tak. To jest w niej bardzo ważne, że ciągle możemy ją poznawać i nie poznamy.

Andrzej Sikora: Czy dokończył Pan swoją pracę habilitacyjną?

Moja praca habilitacyjna już w zamiarze była gotowa, dużo literatury zebranej, była koncepcja, choć jeszcze jej nie napisałem. Miał to być program gospodarczy chadecji. Dokładniej: *Chadecja i jej program gospodarczo-społeczny*, w związku z tym, że myśmy w roku 1988 założyli partię chadecką – Demokratyczne Stronnictwo Pracy z Siłą-Nowickim, którego powołaliśmy na prezesa, gdyż był postacią znaną. Próbowaliśmy budować program i ten program miałem połączyć właśnie z moją habilitacją. Wiedziałem, że program przedwojenny nie jest już aktualny, tu się dzieją rzeczy różne, przygotowałem sobie literaturę, koncepcję itd. I nam rozbili partię. Nie pozwolili na funkcjonowanie. Nie dopuścili nas do wyborów!

Kiedy powiedziałem o tej chadecji Jurkowi Bartmińskiemu [wybitny językoznawca UMCS, działacz podziemnej „S” – RED.], był on wtedy w Regionie ważną postacią i mówił: „Broń Boże, Panowie, tylko nie chadecja, bo jak zorganizujecie chadecję to zgarniecie wszystkie głosy; nie wolno, to będzie znów monopartia”. I Bartmiński mi wręcz nie pozwolił na to.

On jednak wcześniej widział zagrożenie z perspektywy jednej, wiodącej partii...

Lech L. Przychodzki: Zawsze, jeżeli jest coś budowane i ma to szansę przyciągnięcia ludzi i jakiego oddziaływania, to próbuje się to rozwalić. Robi się to od środka. Myśmy w 2008 roku zorganizowali IAN – Inicjatywę AntyNuklearną. „Dowodził” Konrad Szymański, wspierał prof. Mirosław Dakowski. Po dwóch latach koncesjonowani „zieloni” podkupili nam dwoje działaczy i ci zdemolowali IAN wewnętrznie. Trzeba było się pożegnać.

Ja próbowałem później jeszcze raz startować, kiedy powstawało Porozumienie Centrum, z ramienia Kaczyńskiego zostałem delegatem na Lublin, żeby tu tworzyć Porozumienie Centrum. Centrum na ogół ma trudną rolę, bo tutaj na ogół granice nie są wyznaczone, ale z drugiej strony ma otwarte bramy. Jaki był dalszy los Porozumienia Centrum – to wszyscy wiemy. (śmiech) Na szczęście Kaczyńskim udało się z tego zrobić PiS później trochę, ale do PiS-u już nie należę. Mój czas minął.



W Grecji; od lewej: Jan Duda, Maria Duda i Jadwiga Mizińska FOT. ARCHIWUM JANA DUDY



Od lewej: Iwona Zakrzewska, Maria i Jan Dudowie FOT. ARCHIWUM JANA DUDY

ciąg dalszy na s. 20 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 19

Andrzej Sikora: Czy mógłby Pan określić, którą z napisanych książek traktuje jako sztandarową? Dla mnie wszystkie, jednakowo, mają olbrzymią wartość...

W sensie poznawczym, nie emocjonalnym, to chyba drugi tom *Polskich Dziejów*, XVIII wiek, tam było trudno nie tyle wnieść coś nowego, co na podstawie historii opracować swoją teorię, już bowiem tak był ukształtowany pogląd, że dwie szkoły warszawska i krakowska zdominowały wszystko. I że nie można z nimi dyskutować. Mój tom w całości był polemiczny, krytykując na przykład Konstytucję 3 Maja, a szczególnie odebranie praw obywatelskich szlachcie bezrolnej, przecież to była najbardziej patriotyczna grupa ludności Polski! Ja sobie ten tom najbardziej cenię, myślę, że najwięcej tam wniosłem.

Kiedyś dałem to jakiemuś księdzu, a on powiedział: Jaki wspaniały koniec. Jest na końcu bowiem takie zdanie: „To są refleksje osiemdziesięcioletniego optymisty”. No, chciałbym nadal nim pozostać, mimo tego, co dzisiaj się dzieje.

Ja najmniej wiedziałem o uniwersytetach, o jakich pisze Pan mądrze i pięknie... lecz historia jest historią, nie można jej mieszać z literaturą.

No, literatura jest częścią historii.

Lech L. Przychodzki: Zdarzają się ludzie, którzy potrafią zrobić to tak, że nie wiesz – czy czytasz literaturę czy historię, bo są to historycy, którzy operują przepięknym językiem, są tak osadzeni w kulturze, iż czytanie ich jest przyjemnością. Choćby Paweł Muratow, którego *Obrazy Włoch* (świetne wszak tłumaczenie Pawła Herza) w oryginale pochłania się z radością.

Ja jestem zwolennikiem dawnego pokolenia historyków. Nie wiem, czy kojarzycie Panowie nazwisko Ludwika Kubali? Historia musi być oparta na rozumowaniu naukowym itd., ale to nie zwalnia z formy, która musi być też odpowiednia. Jeśli dzieło daje tylko wiedzę, to może być nudne i nie do strawienia. Musi być i przyjemne, i naukowe!

Andrzej Sikora: Chciałbym, żeby się Pan ustosunkował do tego, iż dziś jedni drugim zarzucają fałszowanie, pisanie historii i nie wiem, czemu ma to służyć. Polityce najpewniej. Wciąż pewne stereotypy, narzucone w latach 50., funkcjonują jako fakty historyczne. Czy uważa Pan, że powinno się niszczyć czy likwidować niektóre pomniki, obiekty, lub pamiątki zdarzeń?

Musimy tedy zdefiniować, czym jest pomnik i jaką rolę odgrywa. Czy jest to tylko

ślad historyczny – czy jest to symbol, który ma służyć wychowaniu młodzieży, który ma służyć jakimś przekazom? Czy ma służyć pamięci? Czy ma służyć prawdzie? Jeśli to ma być tylko ślad historyczny, to niech sobie będzie, ale to chyba nie jest rola pomnika. Pomnik jest to jakby taki element historii, który ma o tej historii mówić, ale także czegoś nauczyć.



Cmentarzy bym nie ruszał, ale można je jakoś ponazywać. Jest to rodzaj pamięci po życiu, jakie ono było – nieważne, ale pomniki nie. Pomniki to pomniki dziejów, czyli symbole pozytywne, symbole, które są także wzorem do naśladowania, które czcimy itd. Pomnik ma szczególną rolę edukacyjną, ale trzeba mieć świa-

domość, że pomniki to też historia. I to jest historia ciągle czynna, zmienna. I podejścia się będą zmieniać. Na to niczego nie poradzimy. Przychodzi nowa władza i stawia nowe pomniki. My powinniśmy zadbać o to, aby wznoszony pomnik wnosił coś pozytywnego do naszej wiedzy i był wzorem pozytywnym – głównie dla młodych ludzi.

Lech L. Przychodzki: ...ale proszę pamiętać o prawodawstwie francuskim, które mówi jasno i konkretnie: „Ludzie uważajcie, co robicie. Pomnik zostaje. Nie ma burzenia pomników. Więc zastanówcie się, zanim coś postawicie!”

Oni mieli prostszą historię... (*śmiech*) We Francji właściwie jest w zasadzie dominacja jednego pomnika. Głównie są to pomniki z I wojny światowej, bo tam zginęła wielka ilość Francuzów i rodacy postawili im pomniki. One mają charakter uniwersalny. Z drugiej wojny też pozostały, choć ilu oni mieli kolaborantów?! A to, co zrobiła Hiszpania z Franco, wyrzucając go z grobu? Straszne.

A to, co zrobił rząd w Madrycie z krzyżami przydrożnymi w ostatnim czasie, usuwając je!?

A tak, we Francji też, tyle, że po cichu...

Ba, a co zrobiono u Hiszpanów z zaporama wodnymi w imię „ratowania klimatu”? Rzeką ma płynąć bez zatrzymywania, „być wolną”. Kilkadziesiąt małych i średnich zapór wysadzono. O ile pomnę, na Półwyspie Iberyjskim od lat trwa susza...

Nie wiedziałem. One były pięknie położone, pamiętam. Widziałem parę z nich i wydawało się, że to jest bardzo korzystne z punktu widzenia klimatycznego. Na to się też nic nie poradzi, jest to element polityki, historii. Głupota!

Jeśli chodzi o krzyże we Francji, zostały one tylko w jednym regionie jeszcze.

W Bretanii, która się nie zgodziła na ich usunięcie. Wandei wciąż tam nie zapomniano.

Okres przełomu XVII i XVIII wieku dla Rzeczypospolitej, wiadomo, był nieciekawym. Pan to nazywa wejściem Polski w skład Europy marginalnej i jakoś tak dziwnie, że Polska w tej Europie marginalnej została pomimo tego, że miała i swoje powstania i odzyskała niepodległość. Po II wojnie dalej byliśmy dla Zachodu państwem marginalnym, pomimo Poznania, pomimo Gdańska, Elbląga, Szczecina potem Radomia i dopiero 1980 rok jakby zaczął tę sytuację zmieniać.

Muszę sprostować najpierw to nasze marginalne miejsce. Przypisali nam je oświeceniowcy – bo Polacy się nie czuli marginalnym miejscem – wyeliminowali nas z kręgu oświeconego! Leżeliśmy na pomoście cywilizacyjnym, ale trzeba było mieć siłę, żeby ten pomost chronić, trzeba było mieć siłę, by to miejsce utrzymać, gdyż pomost jest miejscem szczególnie niebezpiecznym, bo przecież ludzie chcą chodzić tym pomostem z wielu stron i pojawiła się strefa zgniotu, z której nas nie wypuścili, zdusili nas oczywiście...

Czekaliśmy bardzo długo...

Wracając do współczesności, do naszej „Solidarności”. Czym była „Solidarność”? Skumulowanym buntem wielu pokoleń. Buntem wielowymiarowym, oczywiście, nie – typowo rewolucyjnym i tam, rzecz jasna, były społeczne i bytowe sprawy, ale pojawiły się także sprawy niepodległości, zależności... Trochę racji miała prof. Staniszkis, mówiąc o samoograniczającej się nie tyle rewolucji, co o żądaniach, o programie. On nie mógł pójść za daleko, ale chcieliśmy zyskać maksymalną autonomię. Które pokolenie? Z doświadczenia wiem, że chyba moje pokolenie; pokolenie, które nazywam „pokoleniem przetrwania”, ono to podjęło, początkowo z pewnym niedowierzaniem, zaskoczeniem, iż taka szansa jest, bo myśmy nie bardzo wierzyli już, że taka szansa się pojawi. Oczywiście po stanie wojennym debatowaliśmy i zastanawialiśmy się, czy jeszcze uda nam się kiedyś zaistnieć. Które pokolenie było najbardziej aktywne? Tu chyba była pewna równowaga, że jakby się rolami podzieliło. Niewątpliwie najmłodsze pokolenie miało być tą awangardą bojowo czynną. Oni mieli ulotki roznosić, być czynni fizycznie, pokolenie średnie, do którego się wówczas zaliczałem, przejęło na siebie rolę organizacyjną. Natomiast najstarsze – rolę ideologiczną. Oni nam wtedy przypominali, jaka to kiedyś była Polska. **Mój drugi po prof. Symotiuiku mistrz, bo byłem na początku studentem polonistyki KUL-u, również niezjący już profesor Władysław Panas, w luźnych rozmowach mówił**

po latach, iż miał szczęście uczyć głównie trzy roczniki: 1954, 1955 i 1956, a potem już każdy był gorszy. Zauważał, że były to roczniki szczególne, ale prawdopodobnie tu trzeba by się zgodzić z definicją Antoniny Kłoskowskiej, iż na nas jeszcze oddziaływały traumy wojenne, opowiadane w domach przez rodziców. I ruiny, wśród których wzrastaliśmy. Te pokolenia jakoś inaczej reagowały na świat. Kiedyś zmiany następowały wolniej. Raptem nadeszły media. I Pan napisał, że roczniki 1964-1974, były pierwszym pokoleniem, no, niekoniecznie w Polsce, ale na Zachodzie, ukształtowanym już medialnie i pierwszym, które jednocześnie stało się produktem. I to jest rzecz tragiczna, bo to zjawisko nam zostało i się pogłębia.

I pogłębia się, tak. To są pokolenia już nie historyczne, ale medialne. Niestety, tak, pogłębia się bardzo, mieliśmy dowód ostatnio nawet, w wyborach naszych, czego by nie powiedzieć...

Jak do tego się ma to, co próbowano stworzyć, co przez chwilę się nawet udało (mówię o pokoleniu JP2) do tego pokolenia medialnego, sztucznie wykreowanego poprzez „przekazory”, bo tak to się kiedyś pogardliwie nazywało.

Pokolenie JP2 jest pokoleniem emocjonalnym, bo to było jednak potężne wydarzenie i wszyscy ulegli takiej ogólnej emocji, z jednej strony wdzięczności za to, że mamy kogoś tak wielkiego. Z tychże młodych ono częściowo było kształtowane z nadzieją na jakąś głębszą duchową podstawę. Pokolenia nie mają tylko duchowych wymiarów, a rówieśnicze, społeczne, polityczne itd. To, co się wokół dzieje, to wszystko oddziałuje. I z tego duchowego pokolenia JP2 trochę zostało, ale uważam, że za mało. (śmiech) I nie ma w sensie ogólnym „pokolenia JP2”. Jest jakiś skrawek, grupa pokoleniowa mała. Nawet mniejsza niż grupa pokoleniowa. Jest raczej duchowa grupa, która się wyłoniła z tego pokolenia JP2. I ona pozostała. Czy miała szansę na zaistnienie, patrząc już w sensie nie tak duchowym, a socjologicznym? Chyba nie miała szans zaistnieć. Kibice piłkarscy dołączali, ale jest to jak wszystko – przejściowe. Jest to emocja. Człowiek żyje w świecie, który ciągle się zmienia i nie może być stałym, niezmiennym.

Ale mechanizmy są podobne, Witold Wrzesień zauważa istnienie elit pokoleniowych, które jak gdyby kształtują resztę, one są awangardą, stają się legendą, więc pokolenie JP2 miało szansę taką awangardą być...

Z tym, że ono właśnie raczej nie było pod wpływem jakichś elit szczególnych, tylko wydarzeń, albo jednej osoby – Papieża. Myślę, iż tu trochę nasileniem

zjawiska był testament po śmierci Jana Pawła. Wydawało się, że jest to absolutnie niezbędne, że będziemy wiecznie wierzyć i że będziemy stale tę pamięć o Janie Pawle utrzymywali, ale tak się nie dzieje, niestety. Nacisk mediów jest tak wielki, nacisk historii też, otoczenia różnego i konsumpcjonizmu, który – można powiedzieć – zjadł pokolenie JP2. Tak bym to spointował.

Jaki jest w tej chwili, Pana zdaniem, wyznacznik kształtujący, oprócz mediów, dzisiejsze pokolenia? Rozmawialiśmy ze znajomymi o Szwecji i o tych gościach, których im tam przysłano, wszelkiego koloru i temperamentu... Oni teraz tworzą gangi, oni teraz są bandziorami, ćpunami, robią wielki zamęt, w spokojną Szwecję diabeł wstąpił... Ale, ale... Jeżeli Szwecja nie upadnie, jeżeli się plus-minus utrzyma na tym poziomie socjalnym, na jakim jest, to przecież za dwa pokolenia bandyterka się skończy. Niedawni przybysze będą takimi samymi konsumentami, jak zwykli Szwedzi. Konsumpcja zwycięży.

Chyba, że zniszczą Szwecję wcześniej. (śmiech) Myślę, że w polskiej rzeczywistości jest coś takiego, jak było podczas francuskiej rewolucji, w tym ciele ustawodawczym, które się dzieliło na trzy odłamy. Była lewica, czyli górale, prawica – późniejsi żyrondyści i środek, czyli bagno. Falujące bagno, raz w tę, raz w tamtą stronę. Dwa ośrodki, urabiające opinię i środek, który falował, aż się przelał do tych albo do tych. Tak jest u nas w tej chwili. Myślę tutaj o historycznych grupach, bo większość się nie mieści w tym układzie. Ci, co w jakimś sensie chcą zaistnieć w rzeczywistości polskiej, młodzi ludzie, którzy jakby trochę żyją tą Polską, oni są jakby w tym miejscu, gdzie to bagno francuskie, oni w tej chwili falują, pojawiają się hasła o demonstracjach i oni zaczynają demonstrować, kazali im pójść na wybory i głosować na to, na co kazali, to głosowali na Tuska i jego ekipę oczywiście. Oni są zupełnie nie ukształtowani, bo po prostu kiedy i gdzie mieli się ukształtować? I jeżeli oczywiście odrzucilibyśmy media, to nie ma w zasadzie innego źródła.

Do pewnego czasu tę podstawę, fundament dawał dom, rodzina właśnie, najlepiej jeśli była trzypokoleniowa, rola dziadków była niewątpliwie istotną. Teraz to zupełnie zniknęło. Rodziny są raczej w tej chwili rozbite, dwu i pół, półtora pokoleniowe najwyżej i te rodziny

też uległy konsumpcjonizmowi. Rodzice bardziej zabiegają o dobra materialne niż o wychowanie dzieci, jeżeli w ogóle chcą mieć dzieci. Zniknęła gdzieś, powiedziałbym, taka faza pokolenia wstępującego, które zdobywało fundament. Później, kiedy się zderzyły takie grupy o podobnych poglądach, to one się wspierały. I te pokolenia wychodziły z pewnym obliczem, z pewnymi poglądami. Dzisiaj nie wiedziałbym nawet, jak te pokolenia określić. Gdzie się zaczynają, gdzie się kończą... Totalny chaos, totalne rozbitcie, wszystkie pokolenia ulegają konsumpcjonizmowi, materialnie obdarowane przez rodziców, mieszkaniem, samochodami, czym tylko trzeba. Nie wiem, jak teraz jest z wykształceniem, ale ta presja związana z kształceniem, studiami jest coraz mniejsza chyba. *De facto* dla mnie teraz nie ma pokolenia jednolitego.

Andrzej Sikora: Jak Pan stwierdził, progi się zatarły. W tej chwili „magistrów od wszystkiego” narobiła się cała masa. Natomiast ludzi z wiedzą jest znacznie mniej. Tak samo kiedyś egzamin na studia był wyraźnym progiem.

Kilkunastu studentów na miejsce. Matura też była pewnym progiem.

Teraz się poluje na studentów! **Tak. Studenci z łapanki. Maturzyści na kartki. Wystarczy mieć świadectwo z paskiem i czymś tam...**

Ot, kończy się nasza rozmowa. Nam jeszcze bogactwo słowa zastępuje potrzebę konsumpcji. **Lech L. Przychodzki: Nie całkiem, dostaliśmy jednak po egzemplarzu Pańskiej najnowszej książki: *Etos sarmaty a polskie tradycje gospodarcze...***

Za rozmowę i księgarską nowość – dzięki.
Rozmawiali: ANDRZEJ SIKORA I LECH L. PRZYCHODZKI ■



□ **Józef Duda** – rocznik '42, absolwent historii, doktor nauk ekonomicznych, wieloletni pracownik UMCS. Jego zainteresowania koncentrują się wokół teoretycznych i metodologicznych aspektów historii ze szczególnym uwzględnieniem problemów społeczno-gospodarczych. Ponadto zajmuje się rolą uniwersytetu w rozwoju intelektualnym i cywilizacyjnym Europy, prowadzi także badania nad dziejowym znaczeniem pokoleń w rozwoju cywilizacji europejskiej i dziejów Polski. Opublikował ponad 100 artykułów naukowych, a swoje poglądy na temat dziedzictwa cywilizacji europejskiej przedstawił w obszernej rozmowie z prof. filozofii Stefanem Symotiuikiem *Czy historia nadąża za współczesnością? Czy historia pomaga spoglądać w przyszłość?*



Piętnaście lat temu...

Pożegnanie o. Mieczysława Alberta Krąpca

Lublin, 16 maja 2008 roku



FOT. © POLSKIE TOWARYSTWO TOMASZA ŻAKWIŃCII

□ W mijającym roku przypada 15. rocznica śmierci prof. Mieczysława Alberta Krąpca OP, człowieka wielce zasłużonego dla Kościoła polskiego i polskiej filozofii, a nade wszystko dla Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, któremu jako profesor oddał 58 lat swego życia, w tym 13 lat jako jego rektor. Wybitną postać nauki, doskonałego organizatora i obrońcy uniwersytetu w trudnych czasach komuny, wspomina Andrzej Filus.

Żywe dziedzictwo



FOT. © ARCHIWUM KUL

■ ANDRZEJ FILUS



Ojciec profesor Mieczysław Albert Krąpiec, dominikanin, był wielką osobowością, nie tylko naukową. Czas pełnienia przez niego funkcji rektora KUL, w okresie rządów Edwarda „Wielkiego” Gierka był to najlepszy, wręcz złoty okres dla uniwersytetu. Nie oznacza to, że stanowił on zbiór chwil dla uczelni bezproblemowych, lecz naukową atmosferę stworzono niepowtarzalną. Dziedzictwo tego właśnie okresu – przede wszystkim o. prof. Mieczysława Alberta Krąpca i ks. prof. Stanisława Kamińskiego – będzie oddziaływać na następne pokolenia.

Wykłady ojca profesora cieszyły się wielką popularnością. Sale nie zawsze mieściły wszystkich zainteresowanych

wiedzą studentów, dlatego stali przed otwartymi na oścież drzwiami na szerokich korytarzach w starej części uniwersytetu. Charyzmatyczna osobowość dominikanina przyciągała studentów. Miał w sobie to „coś” – fenomenalną wypadkową osobistej kultury i wiedzy.

Osobisty czar zakonnika oddziaływał także w czasie pogrzebu. Pogrzeb filozofa był symboliczną manifestacją wolności. W uroczystościach pogrzebowych uczestniczyło kilka tysięcy lublinian oraz gości. Pierwsza Msza Święta pogrzebowa odbyła się w bazylice lubelskich dominikanów, klasztorze, w którym filozof mieszkał przez większość swego życia. Perełka lubelskiego renesansu była wypełniona po brzegi, dlatego większość stała na ulicy Złotej – od dominikańskiego klasztoru aż po Trybunał Koronny. Po Mszy kondukt pogrzebowy wyruszył w kierunku uczelni, gdzie w kościele akademickim żegna-

ły o. profesora Mieczysława A. Krąpca władze uczelni oraz dostojnicy kościelni, którzy licznie przybyli do Koziego Grodu, aby osobiście pożegnać tuza polskiej nauki. Z KUL-owskiego kościoła kondukt żałobny udał się na historyczną nekropolię lubelską przy ulicy Lipowej, usytuowaną w pobliżu uniwersytetu. Tam dominikanin został pochowany.

Ojciec Mieczysław A. Krąpiec stał się osobą znaną nie bez powodu. To on był głównym twórcą Lubelskiej Szkoły Filozoficznej, powstałej po wojnie w okresie PRL-u. Nazwa pojawiła się w artykule prof. dr. Jerzego Kalinowskiego, zamieszczonym w czasopiśmie „Revue philosophique de Louvain”, jednego z współtwórców, który nazwał ją jako *ecole philosophique lublinoise*.

Ciąg dalszy na s. 24 ▶



Przed wejściem do budynku KUL, od lewej: o. prof. Mieczysław Krąpiec, dr Stanisław Majdański, kard. Karol Wojtyła, prof. Jerzy Gałkowski FOT. © ARCHIWUM KUL

► Ciąg dalszy ze s. 23

Profesor Kalinowski wyjechał do Francji i tam kontynuował swoje filozoficzne zainteresowania. Trzecim twórcą lubelskiej szkoły był Stefan Świeżawski, który także pracował na lubelskim uniwersytecie. Atoli

zasadnicze piętno w tworzeniu lubelskiej szkoły filozoficznej w instytucjonalnych ramach Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej odcisnął o. Krąpiec, przez całe dorosłe życie związany z lubelskim uniwersytem.

Jako najmłodszy z trójki założycieli miał on wizję, największą energię, działał z roz-

machem. Dopełniał go ks. prof. Stanisław Kamiński, który zajmował się w ramach filozofii metodologią nauki.

W filozofii europejskiej wyłoniły się dwie szkoły: platońska i arystotelesowska. To one zdominowały filozoficzne myślenie na naszym kontynencie. Dominikanin kierował się prawdą o rzeczywistości, faktem istnienia bytu, co jest aktem podstawowym poznania i wyjaśnienia istnienia bytu. Stwierdzamy, że istnieje konkretny byt, czyli rodzaj rzeczywistości. Prawda to rzeczywistość przez nas poznawana. W filozofii realistycznej chodzi o uzasadnienie twierdzeń, a nie subiektywnych przekonań, jak dzisiaj. Kryterium uzasadnienia prawdziwości twierdzeń stanowi rzecz, konkret.

Wbrew panującemu nihilizmowi wtedy jak i dziś, człowiek jest zdolny do poznania prawdy, więcej – do jej umiłowania, podobnie jak dobra i piękna. I to przekazywał studentom ojciec profesor Krąpiec. Tylko klasyczny typ filozofii realistycznej, zajmującej się bytem realnym, konkretem, który jest przedmiotem poznania, umożliwia integralny rozwój osobowy. Celem filozofowania jest poznanie prawdy rozumianej klasycznie, zdefiniowanej przez Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu.

Narzucony w naszym kraju po pokonaniu narodowo-socjalistycznej Rzeszy Niemieckiej marksizm-leninizm prowadził wojnę ideologiczno-polityczną, skierowaną przeciwko klasyce. Pojęcie *Kulturkampfu* oddaje istotę walki ideologicznej. Totalny *Kulturkampf* miał miejsce



FOT. © ARCHIWUM KUL



na początku powstania PRL-u. Wojna z klasyką z wielką intensywnością trwa w naszym kraju nadal, porównywalnie do powojennego okresu na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX. wieku. Twórcy Lubelskiej Szkoły Filozoficznej mieli świadomość *Kulturkampfu*, dlatego musieli dać odpór barbarzyństwu. Starożytną myśl filozoficzną rozwijali, ponieważ jest ona wieczysta. W opozycji do niej funkcjonuje nihilizm, a filozoficzne mody to jedynie efemerydy.

Wobecnej dobie wojen kulturowych króluje właśnie nihilizm, który jest zanegowaniem obiektywnej prawdy, a tworzeniem fantazmatów, wykoślawieniem obrazu świata, zamazywaniem rzeczywistości. Wojny, które obecnie toczą się na Ziemi są tego zgniłym owocem – najgorsze tkwi w tym, że ich końca nie widać.

Nihilistyczne spojrzenie charakteryzuje wszelkiej maści rewolucjonistów, a byli nim w owym okresie leniniści-marksziści.

Chcieli oni stworzyć raj na ziemi, czyli budować świat od nowa, negując rzeczywistość i prawdę, a przecież prawda



jest wolnością. Dobrze o tym wiedział ojciec profesor Krąpiec. Dlatego rozwijał filozofię klasyczną i ją właśnie przekazywał młodemu pokoleniu. Zanegowanie prawdy przez kulturkampferów, tak samo wtedy jak i dzisiaj, wiedzie do totalitaryzmu, do dyktatury. Świat jest uporządkowanym kosmosem, a nie jak tego chcą rewolucjoniści, chaosem. Tylko kontakt z rzeczywistością, poznanie rzeczywistości, takiej jaką ona jest – a nie wyobrażeń o niej, obejmowanie jej poprzez pryzmat własnych pragnień, subiektywnego widzenia spraw, manipulacji polegającej na sprowadzaniu jej do znaczenia słów, których używamy lecz rozwijanie rzetelnej argumentacji, jak od tysiącleci nakazuje klasyczna filozofia – prowadzi do prawdy i wolności. I to jest dziedzictwo ojca profesora, aktualne w obecnej dobie *culture wars*. Zauważmy, że w tej wojnie sami uczestniczymy – głównie poprzez media.

ANDRZEJ FILUS ■



Plac im. o. prof. Mieczysława Alberta Krąpca w Lublinie FOT. © LESZKO 20 / CC BY-SA 3.0

Czym jest filozofia klasyczna?

MIECZYŚLAW

■ ALBERT KRĄPIEC



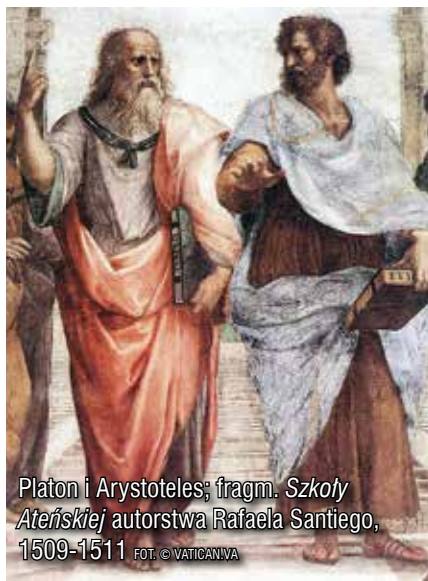
Filozofia klasyczna może być rozumiana: (I) w sensie czasowym – jako filozofia greckiego i rzymskiego antyku; (II) w sensie przedmiotowym – jako filozofia zdeterminowana, zarówno przedmiotem jak i metodą zastosowanych wyjaśnień; (III) w sensie formułowanych zasadniczych pytań-problemów-aporii, stawianych pod adresem otaczającej rzeczywistości, wymuszającej od człowieka odpowiedzi mniej lub bardziej uzasadnionych, intersubiektywnie sensownych, sprawdzalnych*.

I.

Filozofia klasycznego antyku dotyczy filozofów i myślicieli starożytnej Grecji i Rzymu od VI wieku przed Chrystusem do VI wieku po Chrystusie (529 r. – zamknięcie Akademii Platona przez Justyniana Wielkiego). W tym okresie pojawiły się różnorodne systemy usiłujące wyjaśnić rzeczywistość, pojmując ją ostatecznie monistycznie lub pluralistycznie – w zależności od zastosowanych dróg poznania jako apriorycznego warunku rozumienia rzeczywistości.

I tak, stosując naiwny empiryzm, przez zbyt pospieszne uogólnienie dostrzeżonego w rzeczywistości realnego elementu (woda, powietrze, ogień, ziemia), hilezości jońscy, traktując rzeczywistość jako redukującą się do jakiegoś podstawowego elementu – wody, powietrza, ognia, ziemi – doszli do monistycznej wizji rzeczywistości. Nadto w elementach uogólnionych dostrzegali przejawy religijno-mitycznych zdarzeń czy postaci, uosabiających naturę. Skrajny, aprioryczny intelektualizm Parmenidesa i eleatów tudzież Heraklita, również aprioryczny fronetyczny intuicjonizm leżały u podstaw statycznego monizmu Parmenidesa i monistycznego mobilizmu Heraklita.

Pluralizm „dróg poznania” ustrzegł Platona od monistycznej wizji świata, gdyż w następstwie przyjęcia noetycznego, dianoetycznego i doksalnego poznania dostrzegł on sferę konieczną, ogólną i niezmienną samych idei, sferę pluralistyczną bytów matematycznych tudzież sferę jednostkowo-materialną bytów zmiennych. Pluralistyczna wizja świata (bez *a priori* myśli) i dostrzeżenie różnych metod poznania, wynikających z empirycznego racjonalizmu, pozwoliły Arystotelesowi



Platon i Arystoteles; fragm. Szkoły Ateńskiej autorstwa Rafaela Santiago, 1509-1511. FOT. © VATICANIVA

przezwyciężyć aprioryzm swych poprzedników, ugruntować realizm pojęciowego poznania i zbudować racjonalny system filozoficznego wyjaśniania pluralistycznej rzeczywistości. Byt bowiem dany w poznaniu – jako mnogi – można racjonalnie usystematyzować w bytowych kategoriach i można wyjaśnić ostatecznościowo w racjonalnej koncepcji naukowego poznania poprzez ukazanie tych czynników, które są racją pytajnych stanów bytowych.

Arystotelesowa koncepcja filozofii nie zdominowała w starożytności filozoficznego poznania, gdyż stoicyzm i neoplatonizm spowodowały powrót na monizujące aprioryczne stanowiska myślowe. Chrześcijańscy zaś myśliciele greckiego i rzymskiego antyku obrali głównie wątki platońskie dla ukazywania racjonalności wiary objawionej. Wydawało się bowiem, że platońskie i neoplatońskie zabiegi poznawcze, wychodzące – w uzasadnieniu – od „odgórnych” stanów bytowych (uzasadnień), przypominają bardziej objawienie, ukazujące pochodność rzeczywistości od Boga. Stąd czytanie *Pisma św.* w kontekście myśli Platona i Plotyna (autorów wówczas powszechnie uznawanych) zdawało się czynić samo objawienie bardziej czytelne dla wykształconego chrześcijanina: Żyda, Greka, Rzymianina. Klasyczna myśl Arystotelesa bywała wykorzystywana zasadniczo ze strony logiki i „nauk fizycznych”, czyli tego, co stanowiło filozofię przyrody. Metafizyka, łącznie z teologią naturalną, miała swe platońskie i neoplatońskie rozumienie. Objawiało się to zarówno u Ojców Kościoła Wschodu (przede wszystkim szkoły aleksandryjskiej), jak i Zachodu (głównie św. Augustyna).

II.

Klasyczna filozofia Arystotelesa charakteryzowała się (i nadal jest to czynnik decydujący o zasadniczym rozumieniu filozofii) uznaniem realnych, pozapsychicznych przedmiotów swych badań tudzież charakterystyczną uniesprzeczniającą metodą wyjaśnień. Przedmiotem filozoficznych wyjaśnień jest pluralistyczny świat realny – rzeczy i osób – zwany BYTEM.

Oczywiście rozumienia bytu były różne w dziejach filozofii, albowiem nie jest sprawą łatwą dostrzec coś wspólnego wszystkim przedmiotom w świecie realnym. Wszystko bowiem, co jest realne, jest bytem. Ale powstaje trudność w daniu odpowiedzi na pytanie: ze względu na jaki to czynnik coś jest rzeczywiście bytem? I tak Arystoteles twierdził, słusznie, że byt jest różnorako czytany (*to on pollachos legetai*), ale zawsze jest bytem ze względu na samodzielny, podmiotowy sposób bytowania, zwany *ousia* – substancją. Samodzielne podmiotowe bytowanie – substancja – jest naczelną kategorią bytu, wszystko bowiem, cokolwiek nazywamy bytem, jest substancją lub jej powstawaniem i niszczeniem, jej właściwością – przypadłością lub wreszcie relacjami myśli nad sposobami bytowania. Stąd substancja stanowi zasadniczy przedmiot metafizyki Arystotelesa i kontynuatorów jego myśli.

Jak jednak rozumieć samą substancję? Arystoteles wyróżnił następujące rozumienia substancji: a) jako samodzielnie istniejący byt (*ousia kyrios – tode ti*); b) ogólne pojęcie substancji (*to kathólu*); c) cechy konstytuujące samą substancję jako przedmiot definicyjnego poznania (*to ti en éinai*). A nadto jeszcze zwrócił uwagę na substancję jako na podmiot (*to hypokéimenon*) i w tym można nazwać substancją materię i samą formę.

Rozróżnienia Arystotelesa stały się swoistym czynnikiem różnego rozumienia metafizyki i filozofii w średniowieczu i w czasach późniejszych. Szczególną rolę odegrał tu Awicenna, który zastanawiając się nad rozumieniem przedmiotu metafizyki Arystotelesa, dostrzegł, że może nim być substancja-natura. Ale które rozumienie substancji-natury jest tu do przyjęcia? Niewątpliwie nie może nim być substancja-natura „druga” (czyli powszechnik), gdyż jest to tylko byt myślowy, a nie realny. Nie może też być przedmiotem dla metafizyki substancja-natura „pierwsza”, czyli jednostkowy konkret, gdyż to zniweczyłoby poznanie przedmiotowo-konieczne. Wobec tego przedmiotem metafizyki może być tylko substancja-natura „trzecia”, czyli taka natura, która stanowi jedynie zespół

cech konstytutywnych danego bytu. Tak bowiem rozumiana natura jest wyłącznie strukturą konieczną, niezmienną, wieczną. Nie można dodać do niej sensownie żadnej cechy-elementu, gdyż to realizowałoby absurd. Tak więc dla „konia” (*equus*) naturą trzecią jest sama „końskość” (*equinitas*), o której nie można nic więcej powiedzieć, niż ją jedynie wyrazić tożsamościowo, stąd: „końskość to tylko końskość”. Tak rozumiane „natury trzecie” stanowią przedmiot Bożego poznania, gdyż one są same w sobie wieczne. Ale gdy Bóg przydzielił im, pochodzącego od Siebie, istnienia, to one stają się realnym, istniejącym bytem. Dlatego tak rozumiane istnienie, przydzielone naturom trzecim, jest dla tych natur jakąś „przypadłością”, niekoniecznie związaną z ich naturą. I to niekonieczne powiązanie istnienia z naturą trzecią decyduje o tzw. przygodności bytowej.

Interpretacyjne stanowisko Awicenny zostało wyakcentowane przez dwóch wielkich myślicieli średniowiecza: św. Tomasza z Akwinu i bł. Jana Dunsza Szkota. Obaj, chociaż w nierównym stopniu, eksponowali metafizykę Arystotelesa. Zarówno ogólna koncepcja filozofii, jak i koncepcja naukowego poznania były podstawą coraz bardziej precyzyjnych postaw filozoficznych, zapoczątkowujących u obu autorów odmienne kierunki filozofowania. Filozoficzne rozumienie rzeczywistości-bytu sprecyzowane przez św. Tomasza z Akwinu spowodowało zasadniczy przewrót w wyjaśnianiu uniesprzeczniającym bytu jako bytu, czyli bytu jako realnie istniejącego. Dokonał on bowiem zasadniczego przesunięcia w platońsko-arystotelesowskim pojmowaniu bytu jako zespołu konstytutywnych elementów (formy) na rzecz rozumienia rzeczywistości jako aktualnie istniejących bytów. Bytem jest to, co w sobie konkretnie zdeterminowane (dzięki formie), aktualnie, realnie istniejące. Byt taki – jako istniejący – jawi się nam (w filozoficznym jego rozumieniu) jako: a) istniejący przez siebie – Bóg; b) istniejący w sobie jako podmiocie – substancja; c) istniejący w jakimś podmiocie – przypadłość; d) istniejący w odniesieniu do bytu drugiego – relacja. Kluczem do rozumienia bytu jest w nim stosunek istoty do istnienia. Św. Tomasz, po Wilhelmie z Owernii i św. Albercie Wielkim, ponownie przemyślał stosunek istoty do istnienia, pierwotnie wyrażany jako stosunek „natury trzeciej” do istnienia. Tomasz dokonał poznawczej rewolucji w filozofii, dostrzegając, że realny byt jest konkretną (nie abstrakcyjną – różnie pojmowaną) treścią-istotą, która istnieje. Istnienie, w konkretnym bycie, jest tym czynnikiem – AKTEM – dzięki któremu ten byt jest rzeczywisty, gdyż „być rzeczywistym” znaczy aktualnie istnieć. A w aktualnie istniejącym bycie są różne bytowe potencjalno-

ści, mogące się zrealizować w odpowiednich bytowych kontekstach. Ale przedmiotem metafizyki jest byt jako istniejący, albowiem ona – metafizyka – ma za zadanie wyjaśnienie koniecznościowe i ostateczne rzeczywistości, a nie jest jakąś spekulacją nad niesprzecznymi układami możliwości. Jednostkowo istniejące, konkretne byty, ze względu na swą relacyjną (istoty do istnienia) strukturę, są analogicznie jedne, co wyklucza wszelkie postaci monizmu i bytowej jednoznaczności. Zarazem, poprzez zawarte w bycie transcendentalne relacje, byty są koniecznościowo związane z BYTEM PIERWSZYM, ISTNIENIEM CZYSTYM BOGIEM jako rzeczywistością naczelną, pierwotną, będącą źródłem, wzorem i celem każdego realnie istniejącego bytu. Tomasz, akceptując generalnie arystotelesowską metafizykę, nadał jej nowy sens, na wskroś realistyczny, dogłębnie racjonalny, sprawdzalny, przez odwołanie się do aktualnie istniejących bytów-rzeczywistości.

W filozoficznie wyjaśnianych realnych przedmiotach jest człowiek jako byt substancjalny szczególnie trudny do wyjaśnienia. W tradycji platońskiej człowiek jawił się jako substancja duchowa, wiecznie żyjąca, jako rozum – *nous* – wcielony za karę, po upadku, w ludzkie ciało, które utrudnia życie ducha. W tradycji zaś arystotelesowskiej człowiek występował jako swoiste zwierzę, zdolne do racjonalnego myślenia – *zoon logikon*. Św. Tomasz, znając dobrze obie te tradycje, dokonał w dziedzinie rozumienia człowieka także historycznego, zasadniczego przełomu, korygując istotnie obie zastane koncepcje. Odwołał się do wewnętrznego doświadczenia poznawczego, bezpośrednio przeżywanego przez działającego człowieka, i – jedyny w dziejach myśli ludzkiej – zwrócił uwagę na to, że człowiek istnieje poprzez swą własną duszę, która istniejąc sama w sobie – jako podmiocie swego istnienia – udziela go

– jako życia – organizowanej (formowanej) przez siebie materii do bycia ludzkim ciałem. Dusza ludzka nie powstaje w wyniku przemian materii, jak to mniemał Arystoteles, ani też nie istnieje odwiecznie, jak pojmował Platon, lecz jest bezpośrednio stworzona przez Boga, albowiem żadne siły natury nie są proporcjonalne do utworzenia tej duszy, która transcenduje całą rzeczywistość w aktach poznania i miłości i która wyraża się po ludzku w wolnych aktach decyzji, ustanawiając sobie swe niepowtarzalne osobowe oblicze. Człowiek doświadcza siebie jako tożsamego podmiotu działającego zarówno w porządku biologicznym, psychiczno-zmysłowym, jak i psychiczno-duchowym. Warunkiem koniecznym wyzwolenia się ludzkiego działania jest ludzkie ciało, które nieustannie organizuje sobie (i zarazem dezorganizuje) ludzka dusza. Ona bowiem jako forma substancjalna – chociaż istnieje sama w sobie – działa tylko poprzez formowaną przez siebie materię swego ciała. Dlatego, mimo ukazywanych niematerialnych struktur poznania intelektualnego i woli, jawiących się w życiu osobowym, sam fakt i proces działania dokonują się jedynie poprzez własne ciało.

Sam człowiek, w swej bytowej strukturze, jak i różnorodne formy ludzkiego działania – jako rzeczywiste byty – podlegają filozoficznej interpretacji i uniesprzeczniającemu wyjaśnianiu, polegającemu na ukazywaniu takiego koniecznego czynnika, którego ewentualna negacja jest zarazem negacją samego faktu (bytu) podlegającego wyjaśnieniu. I taka metoda filozoficznego wyjaśniania dotyczy zarówno samej metafizyki, jak i jej wszystkich uszczegółowionych działów, zwłaszcza związanych z różnorodnymi formami ludzkich działań. U św. Tomasza wyraźnie dostrzega się obiektywnie realny przedmiot (byt jako istniejący) i jasno określoną metodę w postaci koniecznego ukazania czynnika, którego ewentualna negacja jest negacją samego faktu bytowego, jaki poznajemy w procesie wyjaśniania.

Drugi nurt filozoficznego wyjaśniania zastanej rzeczywistości występuje u bł. Jana Dunsza Szkota, który wychodząc z Awicenny rozróżnił natur, odmiennie i kontrowersyjnie – w stosunku do św. Tomasza – pojął sam przedmiot filozoficznego wyjaśniania. Stał na stanowisku, że wyróżniona przez Awicennę tzw. „natura trzecia” stanowi rzeczywisty przedmiot filozoficznych wyjaśnień. Jednakże natury te należy (czego nie uczynił Awicenna) uporządkować, albowiem one tworzą sobą bytowe „warstwy” konkretnego bytu. A najpierw każdej bytowej naturze przysługuje odpowiedni dla niej „sposób” (*modus*) istnienia.



Carlo Crivelli, *Święty Tomasz z Akwinu*, 1476. FOT. NATIONAL GALLERY

Ciąg dalszy na s. 28 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 27

Same zaś natury, składające się na konkrety, są hierarchicznie uporządkowane od natury konkretnej, najwęższej, *haecceitas* konkretnego Jana do natury najszerszej, wszechogarniającej „natury bytu”. A więc np. w konkretnym Janie (*haecceitas* jest naturą jednostkową) dostrzegamy coraz ogólniejsze natury; naturę człowieczeństwa, naturę zwierzęcości, naturę wegetatywną, naturę cielesności-korpuskularności, naturę substancjalności i najszerszą, ostateczną naturę bytu. Natura bytowa jest pierwotnie poznawalna prostym aktem intelektu i jest racją poznawalności wszystkiego, gdyż wszystko ostatecznie jest osadzone na naturze bytu. Ujęcie poznawcze natury bytu dokonuje się w najprostszym jednoznaczym pojęciu bytu. Pojęcie bytu tak rozumiane wyraża wewnętrzną jego niesprzeczność, będąc taką strukturą, która wyklucza z siebie sprzeczność. Wszystko więc, co jawi się jako niesprzeczne, jest jakimś bytem. Zatem metafizyczne rozważania i analizy sprowadzają się do redukcji analizowanych stanów do podstawowego pojęcia bytu, czyli niesprzeczności. Tak rozumiane pojęcie bytu, wyrażające naturę bytu, może być orzekane o wszystkim i jest wszystkiemu wspólne. Natura bytu jest wspólna Bogu i stworzeniu, z tym wszakże, że byt Boży jest nieskończony, a byt stworzony jest skończony.

Wspólność bytowej natury jest podstawą ludzkiego poznania, szczególnie zaś metafizyki jako jedynej dyscypliny mającej za przedmiot-byt. W świetle pojęcia bytu wszystko jest poznawalne, gdyż wszystko da się „zredukować” do bytu.

Byt jako najszersza struktura niesprzeczna przyjmuje w siebie determinujące ją natury: substancji, cielesności, wegetacji, zwierzęcości, człowieczeństwa i wreszcie natury ludzkiego konkretnego „Jana” – *haecceitas*. Każda z tych natur swoiście „istnieje”, albowiem w stosunku do natury jej istnienie jest proporcjonalnym dla niej „sposobem” (*modus*) – i nie może być takiej natury, która byłaby pozbawiona sposobu swego istnienia, gdyż sposób istnienia jest zawarty w odpowiedniej naturze. I te bytowe natury są przedmiotem poznania, a nie ich istnienia jako sposoby bytowania tychże natur. Cały nacisk poznawczy jest nastawiony na ujęcie odpowiedniej natury determinującej samą naturę bytu. I dlatego szczególnie ważne jest poznawcze ujęcie różnych klas uniwersaliów, wyrażających odpowiednie natury determinujące naturę bytu. Tu właśnie należy szukać źródeł sporu o uniwersalia jako poznawczych ujęć samych natur w bycie. Spór ten w nominalizmie



spowodował przekształcenie metafizyki w epistemologię.

To Wilhelm Ockham, dyskutując ze stanowiskiem Jana Dunska Szkota, wyakcentował tylko jednostkowy sposób bytowania jako realny, a natury ogólne – jako *flatus vocis* – usunął z poznawczego programu w myśl tzw. brzytwy Ockhama: „*Non sunt multiplicanda entia praeter necessitatem*”. Samą zaś ogólność pojął nie jako stan bytowy, lecz jako sposób orzekania ogólny, a więc odnoszący nazwę znakową do wielu przedmiotów. Podkreślił przez to pragmatyczną stronę języka, która miała wyrazić się jasno w filozofii analitycznej.

Nominalizm poznawczy stał się zasadniczym przedmiotem sporu w późnym średniowieczu i renesansowej scholastyce hiszpańskiej. Podkreślenie jednostkowości wraz z zanegowaniem poznania natur koniecznych zdawało się podkreślać wartość jednostki i zarazem wskazywać na bezsilność intelektu. To sprzyjało akceptacji teologicznych tez protestantyzmu i związało, w dużej mierze, nominalizm z ruchem protestanckim.

W scholastyce hiszpańskiej, na czele z wybitnym filozofem jezuickim Franciszkiem Suarezem, opowiadającym się za umiarkowanym realizmem w pojęciowym poznaniu, uznano kierunek tomistyczny „*ad mentem Suarezii*” – interpretowany przez Suareza – za obowiązujący w szeroko rozpowszechnionych szkołach jezuickich. Ten jednak kierunek daleko odbiegał od myśli i sformułowań św. Tomasza, a raczej stanowił kontynuację rozwiązań Jana Dunska Szkota. Nie uznawano bowiem realnej nietożsamości w bycie jego istnienia i istoty, a przedmiotem metafizycznych dociekań uznano natury konieczne, czyli istoty bytowe (awicennańskie „natury trzecie”), dla których istnienie sprowadza się do bytowej modyfikacji, jawiącej się inaczej w poznaniu abstrakcyjnym, a inaczej w poznaniu jednostkowo-konkretnym. Epistemologiczny spór o uniwersalia nabral

charakteru metafizycznego: rozumienia struktury bytu, w którym konieczna w sobie istota (zdolna do istnienia) stała się przedmiotem metafizyki. I taki stan rzeczy został – w dużej mierze – odnowiony przez J. Kleutgena (jednego z animatorów Soboru Watykańskiego I) i jako „neoscholastyka” wykładany w instytutach kościelnych (oczywiście w takiej „neoscholastyce” były różne tomizmy).

Poznanie natur ogólnych, wraz z ich rozróżnieniem na „pojęcie obiektywne” (istoty jako poznanej) i „pojęcie subiektywne” (utworzonego przez intelekt znaku pojęciowego), stało się dla Kartezjusza, zdolnego ucznia jezuickiego kolegium La Flèche, dobrym pretekstem do odrzucenia (w myśl „brzytwy Ockhama”) niepotrzebnego „zdwojenia” pojęcia i zaakceptowania wyłącznie pojęcia subiektywnego jako „idei jasnej i wyraźnej”, mającej odtąd stać się jedynym przedmiotem poznania. Co prawda później, w szkole analitycznej, idee te (jako znaki naturalne) mogły być zastąpione przez znaki umowne samego języka, podległe ostatecznie regułom gier językowych.

Nic dziwnego, że filozoficzny ruch po Kartezjuszu (G. W. Leibniz, Ch. Wolff, I. Kant, G. W. F. Hegel, neokantyzm, fenomenologia, hermeneutyka i egzystencjalizm) przeszedł na pozycję subiektywizmu, analizującego nie świat realnie istniejący, lecz jedynie dane świadomości. To już przestało być klasyczną filozofią, gdyż utraciło i przedmiot, i metodę uniesprzeczniającego wyjaśniania.

Wątki filozofii klasycznej nie zaginęły, lecz przetrwały i rozwijały się w kręgach instytutów specjalistycznych, zwłaszcza kościelnych, gdzie duchowni i świeccy myśliciele mogli rozwijać i uściślać odwieczną, klasyczną problematykę.

III.

Klasyczny nurt filozofii charakteryzuje się wieloma pytaniami-problemami-aporiami, wymuszającymi odpowiedź proporcjonalnie uzasadnioną, intersubiektywnie sensowną, nieustannie w ciągu dziejów uściślaną i obiektywnie – przez odwołanie się do rzeczywistości – sprawdzalną. Arystoteles w księdze „B” *Metafizyki* wskazał na takie właśnie aporie-problemy, które czerpią swą zasadność już to z samego układu rzeczy, już to z historycznego kontekstu poznawczego. Postawienie pytania-aporii przekształca się w „diaporezę”, czyli proces szukania odpowiedzi poprzez ukazywanie racji „za” i „przeciw”, i dochodzi do „euforii”, czyli znalezienia odpowiedzi, co zazwyczaj rodzi z kolei nową „aporię” (pytanie), rodzącą się z danej odpowiedzi. System „diaforetycznego” poznania stanowi charakterystyczną cechę filozofii

wyjaśniającej – w sposób uzasadniony – obiektywnie istniejący stan rzeczy.

Pytania o istotnie filozoficznej treści stawia każdy człowiek, gdy zaczyna się ujawniać „używanie rozumu”. To w okresie dzieciństwa jesteśmy świadkami pytań, na które często dajemy tymczasowe, nieraz zbywające odpowiedzi. Jednakże pytania te wyznaczają ciąg intelektualnego poznania na całe życie. A dawne, nawet nieprecyzyjne odpowiedzi już stanowią załączki filozoficznego wyjaśniania, gdyż powodują rozumienie rzeczy poprzez dostrzeżenie racji uzasadniających. I jest sprawą ciekawą, że pytania dziecięce stanowią właściwie treść tego, co Arystoteles nazwał „aporiami”.

Pytanie bowiem typu: „co to jest?” jest pytaniem o byt, o rzeczywistość jawiącą się pluralistycznie. Pytanie takie domniemuje i samą rzeczywistość pluralistyczną i docieka tego, co w tej rzeczywistości wyróżnia dany byt od drugiego i „dzięki czemu” – „dla-czego” – taki byt jest, jest oddzielony od bytów drugich i czymś istniejącym w sobie. Oczywiście sens pytania można rozbudować, dociekając w „tym, co jest” (bycie) jego elementów i czynników „istotnych”, koniecznych dla danego bytu, i to w różnych aspektach-całościowym (gatunek); częściowym; potencjalnie (rodzaj); aktualnie (różnica gatunkowa); można doszukiwać się czynników mniej i bardziej przypadkowych, jak właściwości czy cech przypadkowych. Tak więc pytanie: „co to jest?” może być rozczłonkowane – jak to się stało – według logicznych wskazówek Porfiriusza, wyróżniającego kategorie predykabilów językowych (*species, genus, differentia specifica, proprium, accidens*). I gdy dziecku dajemy zbywające odpowiedzi, to one już stanowią zaszczepienie rozumienia niezrozumiałego dla siebie bytu.

Podobnie ma się sprawa z innymi podstawowymi pytaniami (które także stawia dziecko zaczynające używania rozumu): „po co to jest?”, „z czego to jest?”, „skąd to jest – kto to zrobił?” Tego rodzaju pytania dotyczą rzeczywistości, która nas otacza, a nie wewnętrznych stanów psychicznych. I łatwo można zauważyć, że wymienione typy zdań (co to jest?, skąd to jest?, z czego to jest?, po co to jest?), dotyczące rzeczywistości realnie istniejącej, wyrażają to, co dawno Arystoteles nazwał czterema przyczynami: formalną, materialną, sprawczą i celową. Dziecko przymuszone stanami poznawanej rzeczy pyta o byt, i to w sposób nieprzypadkowy, lecz kierowany samym bytem.

Najogólniejsze pytania o byt stają się coraz bardziej docieklive i uszczegółowione przy bliższym zetknięciu się z rzeczą. I wówczas formułuje się pytania dotyczące właściwości bytu, jego działania lub okoliczności bytowania. I tak pytamy: „jak?” ma się dana

rzecz; „jaka?” ona jest; pytamy: „ile?” jej jest, „z kim, z czym?” ona jest; pytamy: „gdzie?” i „kiedy?” to jest; „czy działa?”; „czy oddziałuje?”; czy też: „czyje?” to jest...

Jeśli bliżej przyjrzymy się treściom tych pytań i dawanych na nie odpowiedziom, to łatwo dostrzeżemy, iż w rzeczy samej pytania te dotyczą poszczególnych kategorii bytowych, o których pisał Arystoteles. Pytania naczelną dotyczą rozumienia samego bytu, głównie substancjalnego, natomiast pytania uszczegóławiające – poszczególnych kategorii bytowych. I tak pytanie: „jak?” dotyczy jakości bytu, pytanie: „ile?” – ilości; pytanie: „z kim, z czym?” – relacji; „gdzie, kiedy?” – miejsca i czasu; działanie i doznawanie wiążą się z pytaniami: „czy działa?”, „czy oddziałuje?”; „jak się masz?” wiąże się z kategorią tzw. położenia (*situs*), a pytanie: „czyj?” znamionuje kategorię mienia (*habere*).

Tak więc pytania sformułowane spontanicznie przez człowieka, wówczas gdy używa on rozumu dociekającego rozumienia samej rzeczy i jej wewnętrznej struktury oraz kontekstu bytowania, stanowią osnowę „filozofii wieczystej”, czyli filozofii w jej klasycznym rozumieniu. Wszystkie bowiem pytania wyrastają z oglądu rzeczywistości, która „budzi” pytania, gdyż jest bytem nie-prostym, lecz różnorako „złożonym”, wymagającym poznania relacji wiążących w całość istniejącą realnie – byt złożony. Jest bowiem jakaś „racja” realna tego, że istnieje byt jako jeden, złożony z wielu składających go czynników. A to domaga się poznania tej racji, „dla-czego” jest tak właśnie, jak jest. Ukazanie tej racji – to ukazanie w wiążących różnorodnie relacjach korelatów w różnorodnych, w zależności od odkrywanej, wiążącej „w jedno” relacji.

Stąd też pytanie: „dla-czego?” stanowi istotę samej „pytajności”. Tak też rozumiał ją Arystoteles, dostrzegając poznawczo-twórczą rolę pytania: *dia ti?* (dla-czego?). Odpowiedzią jest próba ukazania takiego bytowego czynnika, który rozumiejąco uzasadnia i poznawczo uspokaja (oddzielając byt od niebytu) niepokój zrodzony z nierozumienia poznawanego przedmiotu-bytu.

Zapoczątkowana przez Arystotelesa metafizyka stanowi nie tylko sformułowanie i uzasadnienie sformułowanych aporii-pytań, ale jest też podstawą systemu uzasadnionych odpowiedzi, które przez wieki są pogłębiane i poszerzane. Już dziecko, gdy zaczyna używać rozumu, stawia istotne pytania pod adresem rzeczywistości – bytu realnie istniejącego i chyba każdy człowiek ciągle te pytania ponawia, gdyż chęć poznania bytu (rzeczywistości) jest ciągle żywa i niewygasła. Stąd każdy człowiek jest w swych źródłach poznania filozofem, usiłującym zrozumieć „widzia-

ny” rzeczywisty przedmiot. Rozumienie jednak widzianego przedmiotu może być różnorakie: rozumienie filozoficzne, czyli ostatecznościowe (bazowe), i rozumienie bliższe, bezpośrednio uwzględniające relacje dostosowane do metod jakiejś nauki. Dzisiaj prym wiedzie poznanie relacji ilościowych, chociaż one dotyczą struktur ilościowo mierzalnych, a więc kategorii samej ilości, której funkcją jest organizowanie racjonalne samej materii poprzez umieszczenie jej części wzajemnie poza sobą w ciąg bytowy. Tak więc różnorodne stawianie pytań oraz racjonalne i uzasadnione odpowiedzi w wymiarze ostatecznym (bazowym) decydują o klasycznej filozofii, jej właściwym rozumieniu, jej niewygasłej ciągłości i wiecznej młodości, jak wiecznie żywe jest racjonalne poznawanie świata rzeczywiście istniejących osób i rzeczy.

MIECZYŚLAW A. KRĄPIEC ■

* „Roczniki Filozoficzne” 45(1997), z. 1, s. 156-165.



□ **Powszechna Encyklopedia Filozofii**

wydana z inicjatywy o. prof. Mieczysława A. Krąpca to jedyne tego typu dzieło w historii polskiej filozofii.

Encyklopedię przygotowało w latach 2000-2009 Polskie Towarzystwo Tomasza z Akwinu związane ze środowiskiem filozoficznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Celem statutowym Towarzystwa jest m.in. popularyzacja filozofii i teologii Tomasza z Akwinu, badanie współczesnych problemów, szczególnie dotyczących myśli chrześcijańskiej w świetle jego nauki oraz promocja i popularyzacja dorobku naukowego Wydziału Filozofii KUL, a w szczególności Filozoficznej Szkoły Lubelskiej.

Powszechna Encyklopedia Filozofii przedstawia podstawowe problemy i systemy filozoficzne powstałe na przestrzeni wieków, a także biogramy wielkich twórców i interpretatorów myśli filozoficznej. Liczy dziewięć tomów (z hasłami od A do Ż) oraz suplement. Każdy z tomów zawiera około 500 haseł. Przy powstaniu *Encyklopedii* pracowało 800. naukowców z całej Polski. Obecnie realizowane jest tłumaczenie dzieła na język angielski; jest to możliwe dzięki subwencji Ministerstwa Edukacji Narodowej z 2020 roku, kiedy ministerstwem kierował prof. Przemysław Czarnek.

ISB ■

Heliocentryzm

Kopernik, Kepler i inni

FOT. © AHMAD IRFAN, 2018

■ WOJCIECH GOLJAT



W roku 2023 przypada 550. rocznica urodzin Mikołaja Kopernika i 480. rocznica ukazania się *O obrotach sfer niebieskich (De revolutionibus orbium coelestium)* – dzieła przedstawiającego jego, przełomową dla rozwoju astronomii, teorię heliocentryczną. Po kilku tysiącach lat obserwacji nieba i tworzenia (mniej czy bardziej trafnych) teorii, koncepcja Kopernika okazała się „kamieniem milowym” w rozwoju astronomii.

Już w starożytności znaczące osiągnięcia w obserwacji i astronomii mieli Babilończycy i Egipcjanie – wiązało się to nie tylko z ciekawością świata ale, w znacznej mierze, z koniecznością pomiaru czasu, wyznaczania pór roku, przewidywania wylewów Nilu, określania czasu zasiewów. Próbowano skorelować miesiąc księżycowy i rok słoneczny co jednak okazywało się niemożliwe. Ale od czego jest inteligencja, dociekliwość, upór człowieka?

Ponad dwa tysiące lat temu potrafiono wyliczyć moment zaćmienia Słońca czy Księżyca. W III wieku przed Chr. egipski

Greki Eratostenes potrafił całkiem precyzyjnie obliczyć obwód kuli ziemskiej. Już długo przed Kopernikiem obserwacje gwiazdzistego nieba stały się fascynacją niemałej ilości ludzi. W wielu kulturach ważnym ich elementem był kult Słońca czy Księżyca. Potrafiono zaobserwować również nietypowy ruch planet widocznych gołym okiem – stąd też niekiedy nazywano je „gwiazdami błądzącymi”.

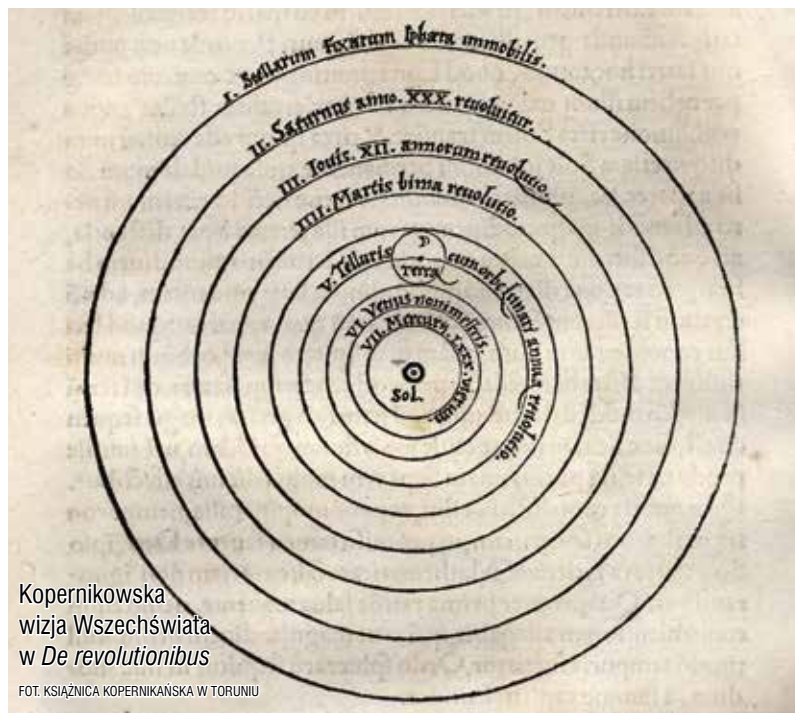
ich aktywności życiowej. I tak też było właśnie z działalnością Mikołaja Kopernika (1473-1543). Za życia w najbliższym sobie środowisku bardziej był znany jako administrator (menedżer) dóbr Kapituły Warmińskiej, jako ekonomista (m.in. autor traktatu o monecie), jako prawnik czy jako lekarz. Natomiast do historii przeszedł jako astronom-rewolucjonista i do dziś uważany jest za jednego z tych

uczonych, których koncepcje najmocniej wpłynęły na rozwój nauki.

Kopernik urodził się w polskim już, acz zasadniczo niemieckojęzycznym, Toruniu – należącym jeszcze kilka lat wcześniej do państwa krzyżackiego. Wykształcenie zdobywał na Akademii Krakowskiej i na uniwersytetach włoskich. Jeszcze w trakcie studiów w 1497 roku, dzięki wpływom wuja biskupa Łukasza Watzenrode, został powołany na kanonika Kapituły Warmińskiej. Na Warmii osiadł kilka lat później.

Liczne obowiązki nie odciągnęły go od

jego pasji jaką była astronomia. Już od starożytności obserwatorów nieba fascynowało pytanie dlaczego „gwiazdy błądzące” (planety) wykonują, łatwo obserwowalne, nietypowe ruchy na niebie.



Kopernikowska wizja Wszechświata w *De revolutionibus*

FOT. KSIĄŻNICA KOPERNIKAŃSKA W TORUNIU

Kopernik – nie tylko astronom

Wiele dziedzin nauki, czy aktywności człowieka, nierzadko zawdzięcza swój rozwój ludziom dla których sfera ich największych osiągnięć była marginalną sferą

Oprócz Ziemi znano wówczas tylko pięć planet: Merkurego, Wenus, Marsa, Jowisza i Saturna. Już w starożytności egipski uczoney Ptolemeusz, zasłużony badacz

nieba, doszedł do wniosku, że wynika to z ruchu obiegowego planet. Przyjął koncepcję, że krążą one wokół Ziemi, wokół Ziemi krążą też Słońce i Księżyc. Nietypowość ruchu planet pozwalała budować również bardziej rozbu-

dowane teorie (co krąży wokół czego?). Jednak jako pewnik przyjmowano, że wszystko obraca się wokół centralnego punktu za jaki uważano Ziemię. Mikołaj Kopernik okazał się tym, który potrafił odrzucić powszechnie przyjęte pewniki i wypracować własne koncepcje oparte na własnych obserwacjach i na całkowicie nowym spojrzeniu na kwestie ciał niebieskich.

Kopernik – twórca teorii heliocentrycznej

Już podczas studiów we Włoszech Kopernik pozostawał pod wpływem Domenico Marri de Novary – profesora astronomii, który był jednym z pierwszych krytyków geocentrycznego układu Ptolemeusza. Jednak była to bardziej intuicyjna wizja wynikająca z nieprzewidywalności ruchu planet w stosunku do, powszechnie przyjętej, koncepcji geocentrycznej. W 1506 roku Kopernik na stałe wrócił do Polski. Będąc kanonikiem pracował jako administrator dóbr kościelnych, sędzia, poborca podatkowy i jako lekarz. Uważany był za sprawnego administratora, ceniono też jego traktat o monecie (opracowany ostatecznie w roku 1526).

Praktycznie tylko w wolnym czasie był w stanie zajmować się astronomią. W 1513 roku we Fromborku jedną z wież, po przebudowie, wykorzystywał do obserwacji nieba. Po przeniesieniu do Olsztyna do obserwacji astronomicznych również wykorzystywał zamkową wieżę i krużganki. Na krużgankach do dziś zachowały się tablice astronomiczne kreślone jego ręką. W 1514 Kopernik rozesłał rękopis zawierający streszczenie koncepcji heliocentrycznej budowy Kosmosu. Mimo, że dzieło swego życia *O obrotach...* opracował praktycznie około 1530 roku to jednak miał duże wątpliwości co do jego wydania zdając sobie sprawę, że wzbudzi to negatywne



Kopernikański model heliocentryczny FOT. ANDREAS CELLARIUS, 1660

reakcje świata nauki i Kościoła. Dopiero dziesięć lat później jego sympatyk niemiecki uczoney Georg Joachim Retyk sporządził i upowszechnił wyciąg z materiałów opracowanych przez Kopernika. Dopiero, widząc brak negatywnej reakcji Kościoła, Kopernik zgodził się na pełne wydanie swego dzieła *De revolutionibus...* Ukazało się ono w Norymberdze w 1543 roku tuż przed śmiercią astronoma.

Mimo, że pracował w oderwaniu od centrów uniwersyteckich i bez bliższych kontaktów ze światem nauki, to w swoim dziele Mikołaj Kopernik przekonywująco i zdecydowanie podważył twierdzenie Ptolemeusza, że Ziemia jest nierucho-

ma. W swoich wywodach dla poparcia koncepcji heliocentrycznej opierał się na zasadach fizyki i matematyki. Przywiązywał jednak też duże znaczenie (dziś uważamy, że nadmierne) do harmonii systemu. W dwieście lat później, obserwując wpływ polskiego astronoma na dalszy rozwój nauki (w tym astronomii), Immanuel Kant jako pierwszy użył pojęcia „rewolucja kopernikańska”.

Astronomia po Koperniku – Tycho Brahe

Jednak przez kilkadziesiąt lat po wydaniu *De revolutionibus...* świat nauki praktycznie nie podjął prac nad dalszym twórczym rozwojem koncepcji heliocentrycznej Kopernika. Koncepcja, pomimo że znana w świecie naukowym, to jednak nie znalazła szerszego oddźwięku. Paradoksalnie to dopiero późniejsze kłopoty Galileusza z teologami i hierarchami kościelnymi rozpowszechniły wiedzę o koncepcji polskiego astronoma w sto lat po jego śmierci.

Kościół katolicki, zajęty walką z reformacją, nie podjął w XVI wieku zdecydowanych działań kwestionujących koncepcje Kopernika. Dopiero dwa pokolenia po Koperniku twórczymi kontynuatorami prac nad teorią heliocentryczną stali się dwaj uczeni: Duńczyk Tycho Brahe (1546-1601) i Niemiec Johannes Kepler (1571-1630). Pomimo że byli protestantami to obaj znaleźli możnego protektora w osobie arcykatolickiego cesarza Rudolfa II Habsburga – wielkiego miłośnika i mecenasa nauki i sztuki, acz człowieka niezrównoważonego psychicznie.



Tycho Brahe (1546-1601) FOT. HILLERØD MUSEUM

Ciąg dalszy na s. 32 ▶

► **Ciąg dalszy ze s. 31**

Tychon Brahe (zwany niekiedy Tycho lub Tychon de Brahe) wywodził się z duńskiej arystokracji. Do 1588 roku hojnym projektorem jego badań naukowych był król Danii Fryderyk II, jednak astronom skłócił się z jego następcą i w końcu lat 90. osiadł w Pradze na cesarskim dworze Rudolfa II.

Brahe, znany ze swojej pedanterii, dokonał mnóstwa starannych obserwacji i precyzyjnych pomiarów astronomicznych. Szczęśliwym trafem, krótko przed śmiercią, jako asystenta przyjął utalentowanego Johannesesa Keplera. I to Kepler opracował, uzupełnił i opublikował w 1603 wyniki astronomicznych obserwacji Brahego w formie katalogu gwiazd, a po latach w 1627 roku *Tabulae Rudolphae* (nazwane tak na cześć cesarza Rudolfa II) zawierające obszerne tablice ruchu planet. Tycho Brahe zasadniczo bardziej podzielał geocentryczne poglądy Ptolemeusza niż heliocentryczne Kopernika. Ale paradoksalnie to właśnie on odnowił spór: Ptolemeusz czy Kopernik? Dostrzegając jednak rozbieżności danych obserwacyjnych stworzył tzw. geoheliocentryczną teorię układu planetarnego gdzie centralną rolę przypisał Ziemi. Według tej teorii to wokół Ziemi krążyć miały Księżyc i Słońce, a dopiero wokół Słońca pozostałych pięć, znanych wówczas, planet.

Z Tychonem Brahe związane są dwie ciekawostki. W latach burzliwej uniwersyteckiej młodości stracił w pojedynku część nosa i całe dorosłe życie był łatwo rozpoznawalny po metalowej protezie nosa. Natomiast jego śmierć, według niepew-

nych pogłosek, miała być następstwem dobrych manier tego arystokraty z urodzenia. Podobno podczas uczty na praskim zamku w obecności cesarza Brahe krępował się wyjść po kilku kuflach piwa, doznał ciężkiego zapalenia pęcherza moczowego i w efekcie tego zmarł – do dziś czescy piwosze udając się do toalety mawiają: „Nie chcę umrzeć jak Tycho Brahe”.



...Galileusz i Kepler

Galileo Galilei (1564-1642) zwany Galileuszem był, podobnie jak Kopernik, człowiekiem wszechstronnym o olbrzymiej wiedzy i twórczym umyśle. Wszechstronny Włoch znany jest przede wszystkim jako fizyk i astronom. Był on tym, który jako pierwszy badał nocne niebo za pomocą lunety. Potrafił udoskonalić (niedawno wynalezioną) lunetę na tyle, że już po niespełna roku obserwacji odkrył cztery największe księżycy Jowisza (zwane do dziś księżycami galileuszowskimi) i obserwował ich ruch obiegowy wokół Jowisza.

Ruch ten jest na tyle szybki (kilku- lub kilkunastodniowy), że stosunkowo łatwo można go obserwować. Galileusz dzięki lunecie odkrył też fazy Wenus co potwierdziło, że Wenus krąży wokół Słońca. Te dwa odkrycia okazały się mocnymi argumentami na praktyczne potwierdzenie teorii Kopernika.

Natomiast twórcą matematycznej strony mechaniki nieba i uzasadnień natury



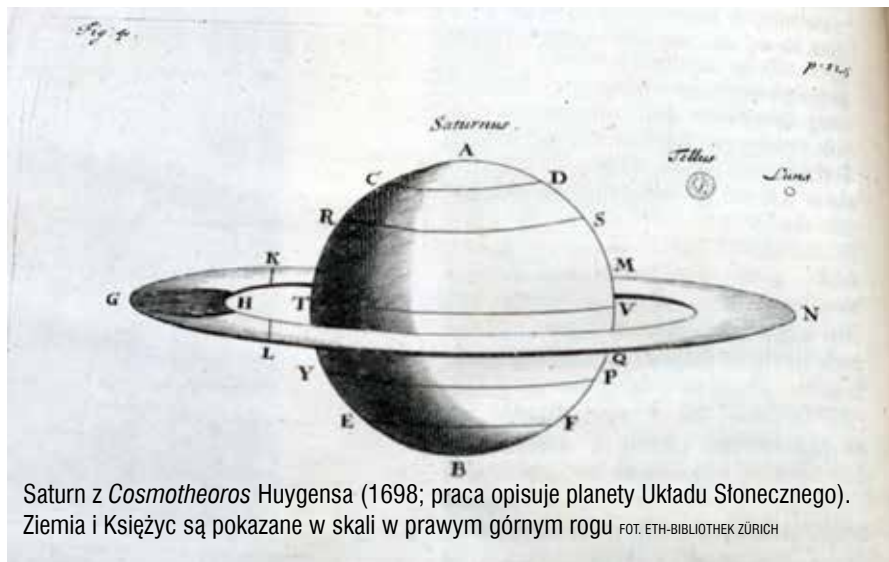
Johannes Kepler (1571-1630)
MAL. AUGUST KÖHLER, 1620

fizyczności zjawisk w naszym układzie planetarnym był, współczesny Galileuszowi, Johannes Kepler.

Chorowity Kepler urodził się jako wcześniak (podobnie jak I. Newton – przypisuje się im, że przeżyli dzięki temu, iż trzymano ich w saganie z ciepłą kaszą jako w swoim inkubatorze). Jako dziecko ciężko zachorował na ospę wskutek czego miał słaby wzrok. Jako astronom rekompensował to nadzwyczajnym zmysłem matematycznym i umiejętnością zastosowania matematyki w stosunku

do obserwacji Galileusza. Jednak, jak się zdaje, ci obaj wielcy giganci rewolucji naukowej XVII wieku nigdy się nie spotkali.

Galileusz nie akceptował wielu koncepcji, młodszego odeń o 15 lat, Keplera. Już w 1610 roku Galileusz w pracy *Siderus nuncius* (*Gwiezdny posłaniec*) zaobserwowany przez siebie układ księżyców Jowisza porównał do (powszechnie uważanego wówczas tylko za niepewną ciekawostkę teoretyczną) układu kopernikańskiego w miniaturze. Stał się też wielkim zwolennikiem i propagatorem teorii heliocentrycznej Kopernika. Pomimo generalnie dobrych relacji z hierarchami kościelnymi (a w tym z niektórymi kardynałami i papieżami) aktywność Galileusza w głoszeniu teorii heliocentrycznej bardzo nie podobała się niektórym kościelnym teologom. Zapewne nie małą rolę grała też zawiść w stosunku do uznanego uczonego, ale sporą też śmiałość samego Galileusza – cóż: taki los pionierów.



Saturn z *Cosmotheoros* Huygensa (1698; praca opisuje planety Układu Słonecznego). Ziemia i Księżyc są pokazane w skali w prawym górnym rogu
FOT. ETH-BIBLIOTHEK ZÜRICH

W 1632 roku Galileusz opublikował pracę omawiającą i porównującą teorie geocentryczną i heliocentryczną co wywołało gniew katolickich decydentów i w 1633 roku doprowadziło Galileusza do aresztu domowego (skądinąd całkiem komfortowego). Prace astronomiczne Kopernika i Galileusza, paradoksalnie w znacznej mierze dzięki zakazowi ich rozpowszechniania, stały się znane i powszechnie dyskutowane szczególnie w krajach protestanckich. Pamiętać należy też o ówczesnych sporach wyznaniowych w Europie. Pomimo iż sam Marcin Luter wrogo odnosił się do heliocentrycznej koncepcji Kopernika, to jednak (już po śmierci M. Lutra) dwaj pozostali wybitni astronomowie przełomu XVI/XVII wieku Brahe i Kepler byli luteranami co dodatkowo wzbudzało niechęć teologów katolickich (choć teologów protestanckich też).

Trzy prawa Keplera

To właśnie Johannesowi Keplerowi zawdzięczamy odkrycie i zdefiniowanie praw rządzących ruchem planet. W pierwszym z nich Kepler stwierdził, że planety krążą wokół Słońca po orbitach w kształcie elipsy, a nie okręgu jak uważał Kopernik (przywiązujący nadmierną rolę do harmonii która, jego zdaniem, wydawała się sprawą oczywistą). Jednym z ognisk tych elips jest Słońce – Kepler stwierdził to przede wszystkim na podstawie obserwacji znaczących odchyleń ruchu Merkurego.

W drugim swoim prawie Kepler zaobserwował, że wektor łączący Słońce z daną planetą zakreśla równe pola w równych odcinkach czasu. Związane jest to ze zmia-

ną prędkości ruchu obiegowego danej planety w zależności od zmieniającej się odległości od Słońca.

Zaobserwowanie i zdefiniowanie trzeciego prawa zajęło Keplerowi najwięcej czasu. Okazało się to na tyle cenne, że pozwalało określić odległość danej planety od Słońca. Trzecie prawo Keplera stwierdza, że drugie potęgi (kwadraty) okresów obiegów planet wokół Słońca są proporcjonalne do trzecich potęg (sześciątów) ich średnich odległości od Słońca.

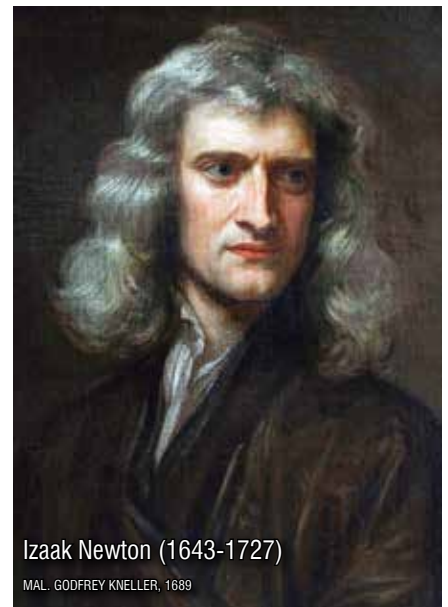
Jeden z biografów Keplera określił go jako człowieka głęboko wierzącego, który w astronomii pragnął widzieć i czczyć Boga. Religijność nie ustrzegła jednak go przed atakami teologów zarówno katolickich, jak i protestanckich. Kepler w swoich rozważaniach i tworzeniu koncepcji mechaniki nieba potrafił twórczo wykorzystać fakt zaobserwowania przez Galileusza księżyców Jowisza i fazy Wenus. W latach 1617-1621 wydał trzy tomy



Opisu astronomii kopernikańskiej, w których, doceniając rolę naszego astronoma jako pioniera i rewolucjonistę-naukowca, rozszerzył jego teorię heliocentryczną o własne odkrycia i koncepcje. O układzie słonecznym pisał: „Z głębi duszy poświadczam, że jest on prawdziwy i kontempluję jego piękno z niewiarygodną namiętą rozkoszą”. Może warto jeszcze dodać, że kilka lat swego życia Kepler spędził na jednym z magnackich dworów w, obecnie polskim, Żaganiu.

Co dalej? Newton i inni

Paradoksem okazało się, że spór teologów z naukowcami, problemy stwarzane Galileuszowi przez władze kościelne czy wprowadzenie dzieł astronomicznych na indeks ksiąg zakazanych rozbudziły zainteresowania świata nauki na ile koncepcja heliocentryczna układu słonecznego jest prawdziwa. I to przede wszystkim w krajach protestanckich. Kluczowe okazało się m.in. odkrycie i zdefiniowanie siły odśrodkowej przez holenderskiego uczonego Christiana Huygensa (1629-1695) oraz siły powszechnego ciężenia (grawitacji) przez Anglika Izaaka Newtona (1642-1727). Wyjaśniło to, że siła przyciągania ciał niebieskich (grawitacja) jest równoważona przez siłę odśrodkową ich ruchu obiegowego.



Izaak Newton (1643-1727)

MAL. GODFREY KNELLER, 1689

Kluczowym wydarzeniem było też spotkanie Izaaka Newtona w roku 1684 z, wyróżniającym się już wówczas, młodym astronomem Edmundem Halley'em (1656-1742). Ich dyskusje dotyczące przede wszystkim ruchu planet okazały się inspirujące dla obu wielkich uczonych.

Tak więc dopiero pod koniec XVII wieku, 150 lat po śmierci Mikołaja Kopernika, koncepcja heliocentryczna została przyjęta powszechnie przez świat nauki. Czy te 150 lat to dużo czy mało? Cóż, pewne procesy wymagają czasu; podobnie jak przyjęcie właściwie wszystkich nowych koncepcji przez dane środowiska. Pionierzy i twórcy nowych idei rzadko znajdują uznanie za życia. Tym większa chwała Mikołajowi Kopernikowi!

WOJCIECH GOLJAT ■



Christiaan Huygens (1629-1695)

FOT. HUYGENSMUSEUM HOFWIJCK, VOORBURG



Przestępca na wczasach



FOT. © KRIMINALVARDEN.SE

■ MIROSLAW PRANDOTA



Swedzcy przestępcy, tak samo jak polscy, nie lubią siedzieć w więzieniu, ale tam łaskawość władz sięga czasami szczytów fantazji. Przynajmniej w naszym odbiorze. Dyrektora Kenta Anderssona odwiedziłem w trzy dni po przeczytaniu w gazecie, że z jego więzienia uciekło czterech podopiecznych.

Kiedy przekroczyłem bramę i przywitałem się z szefem tej najbardziej ponurej instytucji na świecie, usłyszałem, że dwóch już złapano, a dwaj pozostali też niedługo się znajdą, „bo co oni mają ze sobą zrobić, jeżeli wyrok siedzi im na karku, być może sami powrócą”. Oczywiście natychmiast zapytałem, co grozi więźniom

za ucieczkę. Dyrektor z zakłopotaniem rozłożył ręce.

– Niestety – powiedział wyraźnie zasmucony – jakieś sankcje muszą być. Regulaminowo mam możliwość przedłużenia im odsiadki o dziesięć dni. Ale ze względów humanitarnych dam im tylko tydzień.

Zachowałem się na tyle ostrożnie, że nie skomentowałem humanitarnej postawy dyrektora. Trzy dni wolne od kary! Sama radość!

Ponieważ uprzednio, podczas rozmowy telefonicznej obiecał, że pokaże mi zakład karny w całości, więc nastawiłem się na obchód. Na miejscu od razu pojąłem, że będzie to jednak o b j a z d. Powierzchnia więzienia w Norrtälje jest ogromna. Pięć przestronnych pawilonów, boisko do piłki nożnej, plac do gry w minigolfa, lodowisko, działki ogrodnicze, siłownia, sala gimnastyczna z boiskiem do siatkówki oraz cała

masa wolnej przestrzeni, na której urządzi się dyskoteki albo występy cyrkowców.

Przecieram oczy i zastanawiam się, czy rzeczywiście jestem na terenie więzienia, bo widzi mi się, że to raczej obiekt sportowy i tylko patrzę, z której strony wyskoczy za chwilę grupa ubrana w kolorowe dresy, kopiąca piłkę lub przebiegająca bieżnię w tempie zbliżonym przynajmniej do rekordu Szwecji.

– To jest jedno z największych więzień w kraju – informuje Andersson.

– Ilu jest więźniów? – pytam, oczekując nowej niespodzianki.

Dyrektor Andersson jest niezawodny.

– Stu siedemdziesięciu – odpowiada z powagą.

Zapisuję liczbę słownie, żeby nie było wątpliwości.

– Ilu przestępców siedzi więc w więzieniach całej Szwecji?

Więzienie w Norrtälje FOT. © 96524188@N02 / FLICKR



– Nieco powyżej czterech tysięcy – pada kolejna odpowiedź.

Dyrektor natychmiast zagłada mi z niepokojem w oczy jakby uważając, czy nie padnę z wrażeń, że aż tyłu drani siedzi w tym pięknym kraju.

– Natomiast dziesięć do dwunastu tysięcy znajduje się pod kontrolowaną obserwacją policji, kuratorów lub dochodzącego personelu penitencjarnego... – dodaje ostrożnie.

Dla porównania informuję, że w Polsce po różnych amnestiach i ulgowych kodeksach łącznie pozostało w zakładach karnych 85 tysięcy więźniów, 30 tysięcy czeka w kolejce na wolne miejsce, a nasz rekord wynosi 130 tysięcy (brak danych sprzed roku 1956). Aby uzupełnić porównania trzeba jednak uwzględnić fakt, że Szwecję zamieszkuje tylko 9 milionów ludzi.

Zanim w Szwecji zamknie się kogoś do więzienia, wyznacza się delikwentowi cały szereg kar innego rodzaju. Nadzór, grzywna, codzienne zgłaszanie się na policji, dozór rodzinny, zakaz opuszczania własnego domu. Po odsiedzeniu połowy kary administracja więzienna próbuje zwalniać więźniów. Natomiast ci wszyscy, którym sąd wyznaczył dwa lata więzienia, automatycznie zwalniani są po roku. Zbrodniarze, mający na sumieniu grubszą kartotekę, odsiadują dwie trzecie kary.

Wszyscy wymienieni tu przestępcy mają uprawnienia urlopowe w trakcie odbywania kary. Żadnych uprawnień ulgowych nie mają natomiast handlarze narkotyków, szpiedzy, mordercy, terroryści i członkowie mafii.

W Szwecji nie ma kary śmierci, można za to otrzymać dożywocie. W praktyce wygląda to tak, że z czasem wyrok obniża się do 14. lat, potem do 7. lat, z czego ostatni rok więzień ma szansę spędzić w domu rodzinnym bez możliwości opuszczania tego domu. Dożywocie oznacza więc tak naprawdę sześć lat pozbawienia wolności.



Więzienie w Norrtälje FOT. © KRIMINALVARDEN.SE

Szwedzi niechętnie informują o liczbie więźniów imigrantów. Uważają, że rozpowszechnianie tego rodzaju wiadomości spowodowałoby szerzenie się rasizmu wśród pewnych grup obywateli. W oficjalnych pismach stwierdza się na ogół, że imigranci mają trudności z wtopieniem się w szwedzką społeczność, nie mają wykształcenia, nie chcą się dokształcać, są więc bezrobotni i z tych względów stanowią cudzoziemską nadreprezentację w przestępczości. Nieoficjalnie wiadomo, że między Sztokholmem a Malmö więzienia upchane są w 75. procentach imigrantami. Obecnie w więzieniach siedzi 7 tysięcy więźniów, a procent imigrantów wzrósł do 85. Z powodu nasilenia się zachowań agresywnych ze strony społeczności islamskiej rząd zaplanował na najbliższe lata zwiększenie pojemności więzień do 27 tysięcy miejsc. Powyżej Sztokholmu proporcje te są już odwrotne chociażby dlatego, że imigrantów mieszka tam znacznie mniej.

Za największe zagrożenie uważa się tu działalność zorganizowanych grup handlarzy narkotyków, mających międzynarodowe powiązania. Ale jednocześnie statystyki pokazują, że 75 procent więź-

niów ma na koncie rozboje pod wpływem alkoholu.

Wśród europejskich krajów Szwecja ma i tak najmniej więźniów w stosunku do liczby ludności.

Gdyby nie imigranci, można by rzec, że w Szwecji prawie nie ma więźniów. Ale jeżeli w kraju mieszka milion cudzoziemców z obywatelstwem szwedzkim tudzież z tradycyjną obyczajowością wyniesioną z domu rodzinnego, trudno się dziwić, że pewne statystyki pogarszają obraz całego społeczeństwa Skandynawii.

A niezależnie od uwarunkowań ludnościowych, przeciętny obywatel, kiedy już znudzi mu się narzekanie na podatki, zawsze ma pod ręką uzasadnioną możliwość wybrzydzenia na kodeksy prawne. Weźmy przykład pierwszy z brzegu: Jeżeli jakiś były małżonek czy kochanek ociąga się z płaceniem alimentów wystarczy, aby matka jego dzieci zagroziła mu, że złoży na niego doniesienie o gwałt. Nieobowiązkowy dłużnik stara się wtedy wydobyć pieniądze nawet spod ziemi. Do skazania wystarczy bowiem oświadczenie poszkodowanej – dwa lata jak dla brata!

WSzwecji siedzi się inaczej niż w Polsce. Nie do pomyślenia są cele sześciuosobowe, nie mówiąc już o przytuliskach gęstszych. Gdy wspomniałem dyrektorowi Anderssonowi tylko o „szóstkach”, natychmiast padła riposta:

– To u was fabryka recydywy!

Postawił więc diagnozę na odległość, zresztą w stu procentach słuszną, a w chwilę później powędrowaliśmy na boisko więziennicze. Jest początek lata. Teren więzienny z trzech stron otacza las. Pensjonariusze nie mogą tu narzekać na brak ożywczego powietrza. Właśnie kilku z nich sieje warzywa na pokaznej działce, usytuowanej koło pawilonu. Robią to dla siebie, mają więc prawo dodawać to później indywidualnie do obiadu, aczkolwiek w szwedzkim więzieniu je się to samo i tyle samo, co w zwykłej stołówce pracowniczej.

Ciąg dalszy na s. 36 ▶



Więzienie w Norrtälje FOT. © PELLE JOHANSSON SCANPIX

► Ciąg dalszy ze s. 35

Zaglądam do jednej z cel. Akurat klawisz gra w szachy w więźniem, który po pracy na nocnej zmianie wyspał się, wstał z łóżka i zapragnął pograć. Jest to sytuacja normalna. Nie istnieje klanowy przedział pomiędzy personelem a więźniami. Żadna z tych grup nie separuje się, a na zwyczajowych meczach piłkarskich pomiędzy więzieniem a miastem drużyna więzienna składa się zarówno z personelu, jak i z podopiecznych.

W bezpośrednim kontakcie z więźniami pracują też kobiety, stanowiące 25 procent personelu. Natomiast w okresie urlopowym na dwa miesiące przychodzą na zastępstwa studenci oraz inni chętni do pracy sezonowej w więzieniu. Po 14-dniowym wprowadzeniu fachowym dają sobie świetnie radę.

Sam dyrektor Kent Andersson nie przypomina wcale sobą tradycyjnego funkcjonariusza więziennego. Zamiast munduru nosi dżinsy, zamiast marsowej miny na twarzy – miły uśmiech.

Pytam, co według niego jest w więzieniu najgorsze.

– Tłok – odpowiada bez wahania. – Tłok jest sprawcą wszelkich napięć i zachowań agresywnych, nie mówiąc już o okazjach do szkolenia nowych kadr przestępczych. Więźniowie muszą mieć dużą przestrzeń, która wpływa kojąco na samopoczucie.

W całej Szwecji obowiązuje reguła: Jedna cela dla jednego więźnia. Wyklucza to możliwość niekontrolowanych porachunków między więźniami. Ba, dyrektor Andersson twierdzi, że taka sytuacja ogranicza do minimum tak powszechne gdzie indziej drugie życie.

Gdy znacznie później referowałem tę historię gen. Włodzimierzowi Markiewiczowi, szefowi Centralnego Zarządu Więzie-



Korytarz więzienny FOT. © KRIMINALVARDEN.SE

nictwa z lat 80., usłyszałem, że ten brak drugiego życia w więzieniach szwedzkich to tylko bajka. Zawsze w takich warunkach istnieje „drugie życie”. A poza tym w tamtych więzieniach jest dobrze, dopóki... jest dobrze. Ale gdy przypadkiem wykryje się gdzie haszysz, wtedy wkraczają policjanci z niebywałą brutalnością i od razu kończy się mit o łaskawości więziennej.

– Nie można stworzyć modelu więzienia idealnego – komentował generał Markiewicz moje wrażenia z Norrtälje. – Wiezienie musi też uwzględniać realia społeczne, kulturowe i inne. Nie może istnieć więzienie w oderwaniu od warunków psychospołecznych całego kraju. A ponadto siedzenie w więzieniu nie powinno być przyjemniejsze niż życie na wolności, bo w takim przypadku wszyscy chcieliby siedzieć!

I co do tego nie ma już najmniejszej wątpliwości.

Tymczasem wizytuję rajski, jak na mój gust, kryminal i zaglądam do różnych cel. Siedem metrów kwadratowych przydzielone przez Centralny Zarząd Kryminalny wystarczy na łóżko, stolik, krzesło, półkę na książki. Można sobie nawet trochę

pochodzić. Telewizor to rzecz tak oczywista jak powietrze w celi. Gdy w świetlicy personel wciska do magnetowidu kasetę, we wszystkich celach można oglądać zapowiadany film, albo wybrać jakiś inny kanał w telewizorze. Cele są radiofonizowane nie po to, by rzępoliła w nich bez przerwy popularna betoniarka, ale po to, by w razie potrzeby więzień podał swoje życzenie do mikrofonu. Nie musi walić w drzwi ani też rozbijać szyb, aby go usłyszeli.

Więzienie w Norrtälje ma antenę satelitarną a także telewizję kablową. Natomiast dyrektor przymierza się do budowy ogromnej hali sportowej, gdzie więźniowie będą mogli grać w piłkę nożną nawet zimą.

Rozmawiam z więźniem opuszczającym właśnie swój przytułek po ukończeniu wyroku. Jest szczęśliwy, że wychodzi. Siedział okropnie długo. Całe dwa lata! Dla Szweda jest to bardzo ciężka kara. Wyliczam mu na palcach: dobre jedzenie, wideo, sport do utraty tchu, przepustki i urlopy, zabawy na terenie więzienia, gdzie zapraszane są dziewczyny z miasta (a jakże!), wszystkie inne punkty programu mające za zadanie upodobnić życie więzienne do normalnego życia na wolności... To mało?

– Okropność! – ucina zdecydowanie młody człowiek. – Budzę się o poranku a tu... piwa nie ma!

Być może właśnie z powodu braku piwa władze penitencjarne skazują swoich bandziorków na tak niewielką odsiadkę, a w ostatnich latach doszedł jeszcze nowy problem. Otóż za różnego rodzaju przestępstwa tak zwanej mniejszej wagi skazuje się tam delikwenta na miesiąc albo dwa miesiące więzienia. Autentycznie!

Kary takiej nie należy porównywać z odpowiednikami kontynentalnymi, a jeżeli już, to przelicznik wahałby się w granicach: 6 do 10. Tam miesiąc – u nas pół roku. A mimo wszystko co robić z takim, któremu należy się krótkoterminowa kara więzienia, a miejsc wolnych coraz mniej? Upychać człowieka w tłoku czy nie?



Więzienie w Gruvberget

FOT. © KRIMINALVARDEN.SE

(tłok po szwedzku to najczęściej dwóch w jednej celi!). Fundować mu miesięczny urlop na koszt państwa? Też nie.

Szwecja jest krajem zamożnym, ale hasło „bądź praktyczny” obowiązuje jak katechizm nawet w więzieniu. I właśnie swego rodzaju pragmatyzm sprawdza się już kolejny rok na niwie penitencjarnej. Skazanego na krótką odsiadkę więźnia nie posyła się do zakładu karnego, nie odwieża mu się również kary, bo to ponoć demoralizuje, o czym nasze sądy jeszcze nie wiedzą. Od lat 80. począwszy (a więc o ćwierć wieku wcześniej, niż to wprowadzono w Polsce), zakłada mu się za to specjalną bransoletkę i pozostawia w domu.

Bransoletka ma specjalne właściwości. Jest elektronicznym przekaźnikiem, informującym centralę, gdzie domowy więzień przebywa. Receptor wmontowany zostaje w telefonie więźnia, a jemu samemu ograniczono poruszanie się. Kiedy tylko delikwent oddali się od domu, a w praktyce od aparatu telefonicznego dalej niż pięćdziesiąt metrów, receptor natychmiast nadaje sygnał do centralnego komputera, który sprawdza, jakie warunki postawiono zaobrazkowanemu więźniowi domowemu.

Sądy nie ograniczają się wyłącznie do wyznaczania skazanym siedzenia w domu czy w ogródku przydomowym. Elektroniczny kontroler zaprogramowany jest zgodnie z treścią wyroku. Gdy więc więźniowi pozwolono pracować, nie wolno mu się spóźniać, bo godziny jego przybycia do pracy są dokładnie rejestrowane. Żaden skok na piwko nie wchodzi więc w grę. Gdy po pracy człowiek wraca do domu, może się spóźnić najwyżej 10 minut w stosunku do ustalonego czasu. A zatem w tym wypadku zdąży już wypić piwo.

Jest oczywiście pewien margines swobody. Raz w tygodniu można robić zakupy. Wyznacza się na to całe dwie godziny. Nie wolno jednak kupować alkoholu. Nie udało mi się ustalić, jak to jest weryfikowane w centrali, ale chyba jakoś jest. Podczas weekendu wolno dwukrotnie wybrać się na spacer do lasu albo nad jezioro, w zależności od tego, co jest bliżej domu, ale i tak tylko na godzinę.

Bransoletkę nosi rocznie około 400. skazanych. Nie można jej zdjąć, bo zaraz w centrali rozlega się alarm. Jeżeli jednak więzień spróbuje tego dokonać, wówczas sądzony jest od nowa już jako recydywista, a nowy wyrok ma wyższy wymiar i trzeba go odbywać już tylko w zakładzie karnym.

Mimo że jest to chyba najbardziej humanitarny ze znanych sposobów prawdziwego karania, to jednak nie wszyscy skazani godzą się na ten oryginalny aparat ucisku. A zgoda jest w tym przypadku warunkiem *sine qua non*. 35 procent skazanych wy-



Więźnia Kumla

FOT. © KRIMINALVARDEN.SE



Więźnia Salberga

FOT. © KRIMINALVARDEN.SE



Zakład Karny w Ljustadalen

FOT. © KRIMINALVARDEN.SE

biera jednak pobyt w więzieniu. Niewykluczone, że bezpłatny wikt i opierunek jest jednak dla niektórych bardziej atrakcyjny niż sponsorowana wolność.

Pomysł to ciekawy o tyle, że niegroźnym przestępcom umożliwia się mimo wszystko pobyt z rodziną, co w przypadku posiadania małych dzieci jest na pewno znaczące. Poza tym można pracować, a także uczyć się, byleby tylko nie wypaść z harmonogramu, będącego pod ścisłą kontrolą odległej centrali.

System zdaje egzamin, o czym świadczy fakt, że odnotowano dotychczas tylko 5 procent niepowodzeń. Elektrycy zaś pracują

wciąż nad jego ulepszeniem. Chodzi bowiem o wypracowanie takiego urządzenia, aby pełną kontrolę nad skazanymi zachować nie tylko w domach. Ich obecność musi być czytelna na odległość również w pracy i w szkole oraz na weekendowych spacerach.

Jeszcze w 1995 roku dyrektor Lars Sjoestroem z ministerstwa sprawiedliwości zapewnił mnie, że system będzie ulepszany, bo tak musi być. Więzień powinien mieć pełną świadomość tego, że każdy jego krok będzie dostrzegalny. Tylko stuprocentowa kontrola daje gwarancje bezpieczeństwa.

Ciąg dalszy na s. 38 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 37

Gdy zapytałem w Norrtälje dyrektora Anderssona, co wybrałby, gdyby pozwolono mu wybierać, odparł, że musiałby długo myśleć, zanim podjąłby decyzję. Bransoletka daje namiastkę wolności, ale również wywiera ogromną presję na niby to wolnego więźnia. Człowiek dobrze zorganizowany nie miałby kłopotów z dostosowaniem się do harmonogramu postępowania w rytmie mocno ograniczonej wolności, ale który złodziej jest dobrze zorganizowany? Gdyby taki był, toby nie wpadł. Natomiast w zwykłym więzieniu ma się pełną swobodę, byleby tylko nie próbować ucieczki.

– Tutaj nawet można zmienić się na korzyść – zachwala swój przybytek dyrektor. – Był niedawno taki jeden, który zawitał do nas jako cherlak, a po dwóch latach intensywnego treningu w siłowni powrócił na łono rodziny jako atleta. Tak się zachwyił tą zmianą, że zamiast kraść, nadal ćwiczy. Przynajmniej na razie.

Wychodząc z więzienia byłem prawie przekonany, że szwedzcy rozbójnicy to bardzo krucha społeczność. Krucha fizycznie i psychicznie. Uciekać z takiego przytuliska? A gdzie im będzie lepiej? Nasi stawaliby na głowach, aby tylko spędzić tu przynajmniej kilka sezonów. To nie więzienie. To raj dla osób lubiących spędzać czas w samotności po trudach przestępczego żywota!

To jeszcze nie wszystko. Rodakom, którzy siedzieli, siedzą i będą siedzieć we własnym kraju, opowiem jeszcze jedną historię, mimo że posadzą mnie o sadyzm. Trudno, niech zazdroszczą!

W roku 1975, a więc bardzo, bardzo dawno temu, za górami, za lasami i tak dalej, a konkretnie w województwie Örebro, zobaczyłem coś, w co i tak nie każdy uwierzy. W miejscowości Båtshagen, prawie 60 kilometrów pod górkę od Ystad, wyrosło akurat więzienie przyszłości. Tak je przynajmniej wtedy nazwałem. Zawieźli mnie tam znajomi, mówiąc, że to trzeba zobaczyć na własne oczy, bo inaczej umrę jako człowiek zacofany.

Sami Szwedzi zresztą określali ten swój wynalazek jako unikalny wśród wszystkich więzień świata i mieli absolutną rację, bo wtedy nikomu w żadnym innym kraju nawet do głowy by nie przyszło, aby własnych przestępców honorować w taki sposób.

A teraz do rzeczy! Więzienie zostało zbudowane w sosnowym lesie, a tworzyły je szeregowo postawione domy z drewna. Mieszkali tu strażnicy obojga płci z więźniami również płci obojga. Żadnych murów, wieżyczek kontrolnych, drutów, siatek, krat, uzbrojonych i umundurowa-



Cela aresztu śledczego FOT. © KRIMINALVARDEN.SE



Jadalnia FOT. © KRIMINALVARDEN.SE

nych funkcjonariuszy. Zwyczajny hotel dla przestępców i tyle! Jakby tego wszystkiego było za mało, więźniowie nosili w kieszeniach klucze do swoich pokoi (słowo „cela” byłoby tu nie na miejscu). W tym, za przeproszeniem, więzieniu było tylko jedno ograniczenie. A mianowicie takie, że kobietom nie wolno przebywać w pokojach męskich i odwrotnie... po godzinie 22.

Nietrudno zgadnąć, iż więzienie spodobało mi się, tym bardziej, że niedaleko stąd rozciągało się jezioro, w którym łowiłem ryby. Pogadałem sobie trochę z zarządzającym

tym interesem dyrektorem, Erikiem Friklundem. Jeszcze wtedy nie umiałem mówić po szwedzku, ale że Friklund, jak każdy jego krajania, kształcony był w angielskim od trzeciej klasy szkoły podstawowej, ja też co nieco umiałem powiedzieć w tym języku, więc rozmowa przebiegała dość płynnie. Wyraziłem nawet chęć dobrowolnej odsiadki za grzechy przeszłe i przyszłe, byleby właśnie na terenie tego uroczyska, powiedziałem, że za darmo popracuję w ogródku, ale szef nie skorzystał z oferty. Wyjaśnił, że na terenie Szwecji istnieją jeszcze wciąż więzienia

betonowe, a ja, jako cudzoziemiec, bardziej do nich pasuję. Tutaj, w Baotshagen, siedzi się około roku, jeżeli jest się mężczyzną i około trzech miesięcy, gdy osobą skazaną jest kobieta. Erik Friklund zna życie, więzienne zaś w szczególności i wie, że na Kontynencie siedzi się znacznie dłużej za takie samo przestępstwo, do tego w tłoku, co nie ma sensu, bo więzień dziczeje, zamiast robić rachunek sumienia. I wobec tego szczęśliwcy mogą być tylko Szwedami.

Inicjatorem organizowania takich więzień w lesie i na świeżym powietrzu stał się minister sprawiedliwości Lennart Geijer, który w tym czasie wielokrotnie oświadczał na ekranie telewizora, że dotychczasowe, betonowe przechowalnie przestępców są przestarzałe.

– Powinniśmy rozbierać tamte więzienia – mówił łaskawy dla złodziei minister. – Nie możemy mścić się na ludziach według biblijnej maksymy „oko za oko, ząb za ząb”. System więzienny musi zostać zreformowany!

A ja właśnie zobaczyłem, jak to wygląda w praktyce. Młodzi więźniowie zamykają rano swoje cele na klucz i wędrują na jakieś kursy lub wręcz do szkoły, a starsi idą do pracy. Po południu można sobie pobiegać po lesie, aby kondycję utrzymać w normie, a wieczorem dobrze jest zaprosić jakąś urodziwą panienkę-więźniarkę do swojego pokoju w celu, powiedzmy, pokazania jej klasera ze świeżymi znaczkami i życie toczy się dalej.

W ramach postępującej reformy systemu kryminalnego Baotshagen mimo wszystko nie powstał w jakiejś próżni prawnej. Już w roku 1971 ustanowiono kilka ośrodków nowego typu dla więźniów. Ogólnie nosiło to nazwę *Gävle-projekt*, od nazwy miasta, gdzie wszystko się zaczęło, a gdzie faktycznie działali pomysłowi funkcjonariusze. Przestępców potraktowano jako ludzi psychicznie niedojrzałych, nie zrównoważonych, skrzywionych osobowościowo i zafundowano im psychoterapię grupową. Ten parasol ochronny nie obejmował handlarzy narkotyków jako siewców zarazy. Mieli oni najwyższe wyroki i podlegali przestarzałemu regulaminowi. Pozostałych postanowiono zregenerować.

Więźniowie awansowali do miana społeczności psychoterapeutycznej, a więzienie stało się tak naprawdę szczególnym rodzajem przymusowego sanatorium, kierowanego przez psychologów i psychiatrów. Aby zrozumieć wagę i sens takiej metody, trzeba mieć na uwadze fakt, że Szwed, w przeciwieństwie do Polaka, jest człowiekiem o wiele bardziej zdyscyplinowanym i jeżeli tylko widzi sens jakiegokolwiek inicjatywy (a wszelkie inicjatywy są tam opracowywane niezwykle dokładnie), chętnie jej się poddaje.



Mężczyzna z bransoletką na kostce w sklepie spożywczym FOT. © KRIMINALVARDEN.SE

Ten eksperyment powiódł się, bo powieść się musiał. Jeżeli przyjąć, że przeciętny przestępca to człowiek o niskim poczuciu własnej wartości, nieuporządkowany psychicznie, nie umiejący załatwiać własnych spraw, znerwicowany i zakompleksiony, to psychoterapia grupowa, trwająca stosunkowo długi czas, musiała przynosić pozytywne rezultaty. Więźniowie mieli okazję przemyśleć i przedyskutować wiele różnych metod dowartościowywania się, nabierali wiary w siebie, dostrzegali więcej alternatywnych sposobów na życie.

Jak wpłynęło to na przyszłość? Chociażby na recydywę?

Ano, przynajmniej tak, że liczba pensjonariuszy nie powiększa się. Jest ich ciągle trochę więcej niż 4 tysiące i trochę mniej niż 5 tysięcy.

Skandynawscy kuzyni z lewej strony mapy nie są aż tak łaskawi dla przestępców. Powiedziałbym nawet, że w porównaniu ze Szwedami są wręcz nie-

humanitarni! Tylko że im akurat zależy bardziej na dobrym samopoczuciu ofiar przestępstw niż na samopoczuciu bandytów. Skoro już zdecydowałem się na tournée po kryminalach, nie sposób było ominąć Danii. Chociażby dla porównania.

Trafilem do więzienia Herstedvester niedaleko Kopenhagi. O, tutaj nie rozpieszczą się przestępców. Zresztą oni sami oczekują tego najmniej. Znają swoje szanse. To mordercy, bandyci i gwałciciele. Wielu spośród nich otrzymuje wyrok, który w dosłownym tłumaczeniu brzmi „czas nieokreślony”. Coś w rodzaju naszego dożywocia, tyle że niewielu jest sędziów duńskich, którzy by byli gotowi wziąć na siebie później odpowiedzialność za określenie czasu wyroku i skrócenie czasu pokuty. Tutaj siedzi się w nieskończoność, a przynajmniej tak długo, aż komisja penitencjarna oceni, że więzień wystarczająco zniedołężniał (dosłownie!) i wobec tego można go warunkowo przewietrzyć.

Otrzymałem zapewnienie, że mogę sobie popatrzeć na osadzonych, ale tylko pod warunkiem, że któryś z nich zechce być oglądany. Dobrze i to. Trafił mi się Ruben, 27-letni młodzien o sympatycznej twarzy. Tak na pierwszy rzut oka... człowiek z ulicy, może student albo ekspedient z domu towarowego. Rubenowi wyznaczono odsiadkę na czas nieokreślony. Tenże cherubinek czterokrotnie dokonał brutalnych gwałtów z uszkodzeniem ciała ofiar łącznie.

Zapytałem, jak do tego doszło? Ano, miał taki ciąg.

Za pierwsze trzy przestępstwa sąd potraktował go łaskawie, czyli mimo wszystko po szwedzku (o co zresztą ma teraz do tego sądu pretensje, bo ta łaskawość prowokowała do nowych gwałtów), za czwartym razem podpadł na amen.

Ciąg dalszy na s. 40 ►



Båtshagen w Hinseberg k. Frovi; więzienie przez kilka lat stało puste, w 2015 roku przeznaczone zostało na potrzeby uchodźców

FOT. © HÅKAN RISBERG

► Ciąg dalszy ze s. 39

Siedział już pięć lat i nikt mu nie mówił, ile jeszcze takich pięciolatek będzie musiał odpokutować, gdy nieoczekiwanie zaproponowano mu wyjście: zostanie zwolniony pod warunkiem, że będzie przyjmował zastrzyki hormonalne likwidujące pociąg seksualny.

Była to propozycja naprawdę nie do odrzucenia.

– To jest zabieg dobrowolny – wyjaśnia. – Ale to jest dobrowolność przymusowa. Innego wyjścia nie ma.

Dawka obejmuje dwa różne preparaty: androcur – antyhormon blokujący wytwarzanie testosteronu oraz decapeptyl – środek przeciwdziałający fizjologicznemu wyprowadzaniu testosteronu z podwzgórza. Efekt jest taki, że Ruben stracił ochotę na seks. Zastrzyki pobiera już od pół roku. Specjalnych efektów ubocznych nie odczuwa. Tyle tylko że musi uważać na to, co je, bo teraz łatwiej przytyć. Korzyść z tej kuracji jest jednak taka, że Ruben otrzymuje przepustki i wychodzi sobie na spacer. Kobiety nie robią na nim wrażenia, a poza tym przepadła gdzieś agresywność, która go zawsze cechowała.

– Gdybym dostał taką kurację po pierwszym gwałcie, nie byłoby następnych, a ja nie dostałbym wyroku na czas nieokreślony – oświadcza z wyraźną dozą pretensji w głosie.

Załuże swoich czynów, zastanawia się nawet, jak mogło do nich dojść, skoro teraz nic go do kobiet nie ciągnie.

Zastrzyki nie są jedyną formą leczenia Rubena z agresji seksualnej. Poddawany

jest on również bardzo aktywnej psychoterapii, która jednak bez leku nie miałaby najmniejszego sensu. Jak twierdzi więzienny psycholog, Ruben ma szansę opuszczenia celi już za kilka miesięcy pod warunkiem, że regularnie będzie przychodził na zastrzyki. Nie będzie to jednak zbyt męcząca kuracja, bo lek działa przez dwa miesiące, a zatem częstotliwość powtórek sprowadza się do sześciu wizyt w ciągu roku. Jeżeli w przyszłości zajdą istotne zmiany w życiu Rubena, to lek zostanie odłożony i Ruben od nowa zacznie funkcjonować jako mężczyzna. Przez istotne zmiany należy rozumieć trwały związek z kobietą, która zechce dzielić z nim życie. Jednak przez cały czas pobierania antyhormonów obowiązuje Rubena również określona dawka psychoterapii, która (razem z lekami) buduje u niego nowy system wartości, wzbogaca osobowość, pomaga likwidować agresję.

Możliwości dla gwałcieli jest więc kilka. Pierwsza sprowadza się do pozostania w więzieniu przez dwadzieścia lat, a nawet dłużej. Druga – brać antyhormony przez jakiś czas, ożenić się i udowodnić komisji penitencjarnej, że to, co było, już nie wróci. Trzecia – brać antyhormony do końca życia, ponieważ w przypadku przerwania kuracji człowiek nie panuje nad sobą.

Szwedzi, którzy swój humanitarny stosunek wobec przestępców rozwinęli wręcz bajkowo, a wobec ofiar stają się coraz bardziej podejrzliwi, nie aprobują takich barbarzyńskich metod. We wrześniu 1997 roku wystąpił w telewizji psycholog więzienny Bengt Jarl i rozłożył na łopatki wszystkich, którzy go słuchali. Oświadczył

mianowicie, że za gwałty nie tyle odpowiada gwałcieli, ile jego rodzice, którzy popełniali poważne błędy wychowawcze. Opowiedział się za psychoterapią jako jedyną metodą leczenia agresji seksualnej.

– Kastracja medyczna – podkreślił ze zmarszczonymi brwiami – prowadzi do uszkodzenia osobowości.

– No właśnie! – wykrzyknęła moja gospodyni, która oglądała razem ze mną ten program. – Bandytów trzeba na rękach nosić i wtedy wyreperuje im się osobowość!

Okazało się na szczęście, że nie wszystkim zależy aż tak bardzo na dopieszczaniu gwałcieli, a niektórzy wprost opowiadają się za bezpiecznymi ulicami i bezpiecznymi żonami lub córkami. I wobec tego w Skogome pod Göteborgiem rozpoczęto w tym samym roku podobną kurację jak w Danii. Na razie ostrożnie, aby nie zrazić różnych instytucji humanitarnych, które namawiają ludzi, aby uwierzyli, że przestępca to też człowiek.

– Doceniamy znaczenie psychoterapii – powiedział występujący zaraz po psychologu-dobrodzieju komisarz policji Owe Sandberg – ale wolimy zabezpieczyć społeczeństwo na sto procent. Uważamy, że człowiek powinien raz na zawsze zamknąć w sobie pewne skłonności nie do przyjęcia w cywilizowanym świecie.

Ogólnie zatem można powiedzieć, że powiało optymizmem, co mimo wszystko nie oznacza, że lobby na rzecz przestępców skończyło się w Szwecji raz na zawsze. Ono ma nieprawdopodobną zdolność odradzania się w coraz bardziej zaskakującym kształcie.

MIROSŁAW PRANDOTA ■



Zakład Karny Skogome FOT. © KRIMINALVARDEN.SE



Herstedvester w Albertslund FOT. © LARS LAURSEN



Kalmar FOT. © KRIMINALVARDEN.SE

Więżenia w Szwecji



Gruvberget



Asptun FOT. © KRIMINALVARDEN.SE



Kristianstad



Brinkeberg FOT. © KRIMINALVARDEN.SE



Högsbo



Ystad FOT. © KRIMINALVARDEN.SE



Dwie niemieckie kartki

FOT. © PETER H.

JOANNA
■ PASZKIEWICZ-JÄGERS



Raz jeszcze podzielę się zasłyszonym prywatnie wspomnieniem. Wspominający – urodzony w 1930 roku w niewielkiej miejscowości niedaleko Lejdy, przywołał okoliczności związane z dwukrotnym kwaterowaniem w rodzinnym domu oficera Wehrmachtu.

Oficerowie zasadniczo się różnili. Pierwszego cechowała ideowość i dyscyplina. Gdy pojawiał się na tradycyjnej wieczornej rodzinnej kawie, towarzyszyli mu – biegle znający niemiecki – ojciec i najstarsza sio-

stra; matka wymawiała się nieznaną mi nazwą języka. Tematem rozmów były różnice w sposobie życia w Holandii i w Niemczech. Kwestii związanych z wojną i osobą Führera nie podejmowano nigdy.

Po pół roku oficer wysłany został na Front Wschodni. Z holenderską rodziną pożegnał się siedząc już na czarnym koniu... Do najstarszej siostry, z którą zaczęła łączyć go sympatia pisał listy. W jednym z ostatnich podał wiadomość, że odmroził obie nogi.

Drugi oficer, artysta rzeźbiarz, był już tylko cynicznym weteranem Frontu Wschodniego. Podczas głodowej zimy 1944-1945 raz na dzień wołał ze swego

pokoju: „Essen!”. Chłopiec przychodził, chwilę rozmawiali (komentarz: „Ponieważ nie mogłem mu dać odczuć, że jest wrogiem, były to moje pierwsze lekcje tak potrzebnej w życiu *self-control*”). Na odchodnym chłopiec otrzymywał porcję chleba wyniesionego przez oficera z kantyny. Znosił chleb do kuchni, a tam od razu dzieliła go matka. Smak tego chleba pozostał z nim do końca życia.

Tamtej zimy ojciec sprzedał kupiony w 1938 roku samochód – pierwszy samochód w okolicy – i zakupił znaczną ilość cebulek tulipanów (dziesięcioosobowa rodzina jadła je ugotowane z solą, jak kartofle). Kiedy opowiadałam o tym



FOT. © RA GORIELUCK, 2018

znajomemu, zirytowany przerwał: „Ojciec nie był lekarzem! Jak to się stało, że mu nie zarekwirowano samochodu?”

Chłopiec nie zdążył się pożegnać z oficerem. Ostatniego dnia wojny pojechał z ojcem do Lejdy; najmocniej i na zawsze zapamiętał kobiety z ogolonymi głowami otoczone małym tłumem. Kiedy wrócili oficera już nie było. Podobno powiedział: „To chyba koniec”, wsiadł na rower i odjechał. Wspomnienie tak się kończyło... Nie było ciągu dalszego.

Dlaczego – pytałam – w trzydziestolecie upadku Muru Berlińskiego pojawiło się tak niewiele publikacji?

Odpowiadano: „To się przecież wydarzyło tak dawno”...

No cóż, dawno, jednak podróż w czasie nadal jest możliwa. Odbylałam ją podczas kilkudniowej wycieczki do Niemiec z grupą Holendrów, razem z Libą, Morawianką.

Liba należy do – eufemistycznie niegdyś określanej – kategorii „ci, którzy pozostali na Zachodzie”. Od dziesięcioleci nie opuszcza jej poczucie winy, że obciążyla młodszego brata całą opieką nad rodzicami i skomplikowała mu karierę w wytwórni filmowej. Inwazję na Czechosłowację przeżyła w Pradze (kiedy jej mąż, który odbywał studencki staż na lotnisku zadzwonił krzycząc: „Rosjanie są tutaj!” myślała, że żartuje).

Z Libą unikamy rozmów o przeszłości, ale to bardziej zgodne z jej życzeniem niż z moim. Rozdzieliła naszą przeszłość stwierdzeniem: „Miałśmy zupełnie inne życie”, a potem przypieczętowała: „Każdy ma swoje własne wspomnienia i przy nich pozostaje”. Gdy spytałam, czy odczuwa nostalgię za życiem w Czechosłowacji, odpowiedziała: „Nie. Trzeba akceptować to, co się ma, bo inaczej jest się nieszczęśliwym”.

To ona jednak odkryła, że ukończony w 1984 roku Ahorn Seehotel Templin dostarcza nam widzenia poszerzonego o przeszłość. Ten kolos, wylaniający się surrealistycznie z leśnego kompleksu,



FOT. © HEIDL, 2016



FOT. © BZ-3857, 2018

należał do związków zawodowych i nosił imię Fryderyka Engelsa. Po kilkakrotnej zmianie profilu stał się trzygwiazdkowym hotelem wakacyjno-rodzinnym; z siedmiuset pokoi prawie połowę wyłączono z użytkowania.

Aby rozbić szarżyznę gigantycznej fasady, firma Fischer-Art pokryła dwanaście i pół tysiąca metrów kwadratowych elementami nawiązującymi do *pop-artu*.

Ciąg dalszy na s. 44 ▶



FOT. MUSEUM FÜR STADTGESCHICHTE TEMPLIN



FOT. © TRIPADVISOR

► Ciąg dalszy ze s.43

Libę i mnie raziła obcość tej fasady w harmonijnym pejzażu jeziora i lasów, natomiast jako mile znajome odebrałyśmy wewnątrz hotelu o wyposażeniu pochodzącym niemal w całości z okresu DDR.

Czekała nas grupowa wycieczka do Berlina.

Kierowca autokaru po ostrzeżeniu: „Posuwamy się na Wschód, więc będzie zimniej”, nazwał początek wycieczki wejściem w lata 70. i 80. po Wschodniej Stronie.

– TAM – wyjaśniał, ideowe założenia krańcowo różniły się od naszych. TAM budowano społeczeństwo bezklasowe, w którym wszyscy są sobie równi. Wymienił aspekty pozytywne: zapewnione stałe zatrudnienie, ujednoczone zarobki i wakacje dla wszystkich organizowane przez związki zawodowe. Tylko że... to nie były nasze związki zawodowe. Pozostawały w obrębie dyktatury; TAM wszystko się skupiało w jednym ręku.

Gdy mijaliśmy kolejne brandenburskie wsie w autokarze wybuchały śmiechy – z Wartburga dumnie ustawionego na klepisku, z dziury na wylot w mocno za-

padniętym dachu, z wielkich lat na ścianach powstałych po odpadnięciu tynku. Rozbawienie zaczęło zamierać wraz z powtarzającym się widokiem ciemnych jam w miejscach okiem stylowych niegdyś budynków. Obraz zaawansowanego procesu marnowania szczególnie przykry był dla starszych pasażerów. Wyczuwając nastrój kierowca stwierdził pojednawczo: „Jeśli u nas wszystko jest od razu odnawiane, uprzążane i porządkowane, tu jak widzimy jest inaczej”.

Wjeżdżając do Berlina stał się melancholijny: „Stolica Niemiec ma trzy miliony siedemset tysięcy mieszkańców i stale się rozrasta; Amsterdam dociąga do dziewięćset tysięcy”.

W centrum czekała go trudna jazda – kluczenie, czekanie, zawracanie. Na tamten dzień, 25 lutego 2023, zaplanowana została w Berlinie wielka demonstracja



FOT. © CARSTEN PREUSS

„Manifesto for Peace” FOT. © JUNGE WELT





FOT. © IPON, UKRAINIAN CONFLICT / REDDIT

pod Bramą Brandenburską, pozostająca w opozycji do demonstracji z dnia poprzedniego. Pierwsza, solidarna z walczącą Ukrainą upamiętniała rocznicę inwazji, druga o nazwie „Manifesto for Peace” przeciwstawiała się zwiększaniu dostaw broni dla Ukrainy i wprowadzaniu nowych sankcji wobec Rosji, apelowała natomiast o zawieszenie broni i podjęcie negocjacji pokojowych.

Pod oknami unieruchomionego autokaru sunęli podążający na demonstrację – skoncentrowani, szybcy, niewiele sobie robiący z zacinającego deszczu ze śniegiem. Lekko wychylone do przodu sylwetki

były jak komunikat: nasz cel jest ważny i osiągniemy go wspólnie. Na „Manifesto for Peace” miało nie być flag ukraińskich; i też nie było ich, a jedynie błękitne flagi pokoju z wizerunkiem gołębia o rozpostartych skrzydłach. Flagi Ukrainy widniały tylko na dachach niektórych budynków państwowych. Siły policji zostały wzmocnione ze względu na możliwe starcia grup ekstremistycznych.

Zobaczony przez okna autokaru gmach Reichstagu dostarczył Libie i mnie ponownego poczucia, że cofamy się w czasie. W obu naszych krajach, filmowej i fotograficznej dokumentacji zdobycia Reichstagu, nadawano tak ogromną siłę propagandową, że wyobraźnia podsunęła nam natychmiast obraz wbiegającej ze sztandarem na frontalne schody szturmowej grupy Czerwonoarmistów. Nieskończoną ilość razy oglądaliśmy ten zainscenizowany dokument pochodzący z 2 maja 1945.

Demonstracja pod Bramą Brandenburską już się zakończyła. Pod unieruchomionym autokarem przesuwały się teraz

grupki wracających. Wzmocnione siły policji znów były widoczne, ale kierowca poinformował, że obyło się bez incydentów. Demonstranci szli spokojnie, emanowali satysfakcją. Zatrzymałam wzrok na pięcioosobowej grupie idącej jednym równym rzędem. Ten kto szedł pośrodku z namaszczeniem niósł zwinięty transparent, solidny, przeznaczony do wielokrotnego użytku. Na jakie zdecydowali się hasło? Czy na zalecone oficjalnie: „NEGOCJUI, NIE ESKALUJ!”?

Tamten dzień, przedostatni dzień 73. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Berlinale był ostatnim dniem dwu wystaw o tytule Jerzy Skolimowski – Paintings. Niestety wielkoformatowe obrazy reżysera tylko podglądałyśmy przez szyby Instytutu Polskiego w Berlinie. Wskutek demonstracji nie został otwarty w przewidzianym czasie.

*

Za dwa dni odbyć się miała druga jednodniowa wyprawa grupowa – do miasta o nazwie Stettin, umieszczanego najwyżej jako punkt programu wycieczki do Niemiec. Zapewne byli więc tacy, którzy dopiero w autokarze dowiedzieli się, że jadą POZA NIEMCY i usłyszeli inną jeszcze nazwę tego miasta.

JOANNA PASZKIEWICZ-JÄGERS ■



FOT. © KATARZYNA MAZUR / IPB





Malarstwo Skolimowskiego w Berlinie

FOT. © KATARZYNA MAZUR

W lutym 2023 roku Jerzy Skolimowski, którego film *IO* został nominowany do Oscara w kategorii najlepszego filmu międzynarodowego, wystawił swoje obrazy w dwóch galeriach w stolicy Niemiec: galerii nüüd.berlin i Galerii Instytutu Polskiego.

– Nominacja do Oscara sprawia, że zainteresowanie artystą staje się wiralem, a jeśli chodzi o Jerzego Skolimowskiego, to mamy artystę, którego międzynarodowa kariera jest nie tylko ugruntowana, ale i powszechnie rozpoznawalna. Tym bardziej cieszę się, że międzynarodowa publiczność miała okazję zobaczyć jego drugie oblicze – malarza Skolimowskiego – podkreśla Barbara Schabowska, dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza.



Entropia, 2021

Jak przyznaje artysta, malarstwo jest tym rodzajem twórczości, który daje mu prawdziwie nieskrępowaną wolność. Oglądając jego obrazy – intrygujące, niepokojące, urzekające – możemy spotkać się z wrażliwością i wyobraźnią Skolimowskiego w sposób, który

zarówno uzupełnia, jak i umieszcza w kontekście naszą analizę jego filmowej wyobraźni.

Pierwsza wystawa prac Skolimowskiego odbyła się w 1996 roku, a Jack Nicholson jest jednym z kolekcjonerów jego prac. W wywiadach Skolimowski przyznaje, że maluje wszystkim, co wpadnie mu w ręce, a proces twórczy opisuje jako ciągłą walkę. Jego abstrakcyjne prace są często spontaniczne, a artysta bardzo wyraźnie oddziela film od malarstwa. Jego ostatnia wystawa skupiała się na współczesnych zagrożeniach, środowisku i zbliżającej się katastrofie klimatycznej.

– Rysuję od dzieciństwa, a farbami zacząłem malować już jako nastolatek. Punktem zwrotnym była jednak impulsywna decyzja o malowaniu w dużym formacie. W 1997 roku stworzyłem *Agony* – mierzył 252×126 centymetrów. Przez kilka następnych lat malowałem płyty ze sklejki tej samej wielkości, a potem przerzuciłem się



Autoportret w drzazgach, 2017



FOT. © KATARZYNA MAZUR

na płótno, stopniowo zwiększając rozmiar, prawie do wielkości ekranu filmowego: 3×5 metrów – wspomina Skolimowski.

Dzięki swojemu zaangażowaniu i umiejętnościom Jerzy Skolimowski opanował różne formy sztuki, ale przyznaje, że to właśnie malarstwo daje mu to, co dla każdego artysty najważniejsze, wszak w malarstwie wszystko jest dozwolone.

z wydarzeń towarzyszących tegorocznemu Berlinale.

*

Instytut Adama Mickiewicza jest narodową instytucją kultury powołaną w 2000 roku w celu budowania trwałego zainteresowania kulturą polską na świecie w współpracy z partnerami zagranicznymi oraz poprzez międzynarodową wymianę kulturalną w dialogu z odbiorcami, zgodnie z polską polityką zagraniczną. W ciągu ostatnich 20. lat

Instytut zrealizował projekty w ponad 70. krajach na sześciu kontynentach.

Galeria nüüd.berlin została założona w 2016 roku przez Hennera Merle'a jako przestrzeń projektów artystycznych; reprezentuje malarzy, rzeźbiarzy i fotografów, organizuje wystawy i programy pomocowe.



2017/9, 2017

Instytut Polski w Berlinie jest instytucją Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP, której zadaniem jest promocja kultury polskiej w Niemczech oraz budowanie zainteresowania wszystkimi aspektami polskiej historii i tradycji. Instytut prowadzi również Galerię i Bibliotekę Instytutu Polskiego.

ANDRZEJ SZTUMSKI, IAM ■

Górskie szczyty, 2003



– Malarstwo Jerzego jest obrazem emocji i danej chwili. Poprzez dynamiczne i intensywne gesty malarskie konstruuje epickie znaczenia. W jego obrazach jedni widzą smutek, inni nadzieję, ale wszyscy o tym pamiętają – podkreśla Marcin Fedysz z TW-ON, kurator wystawy.

Wystawa obrazów Jerzego Skolimowskiego, zorganizowana przez Instytut Adama Mickiewicza, Instytut Polski w Berlinie, Galerię Opera przy Teatrze Wielkim - Operze Narodowej w Warszawie oraz galerię nüüd.berlin, była jednym

JERZY SKOLIMOWSKI
PAINTINGS 16-25.02.2023
 Dienstag - Sonntag 13 bis 19 Uhr
 nüüd.berlin gallery Krenenstr. 18, Berlin-Mitte
 Polnisches Institut Berlin Burgstr. 27, Berlin an der Museumsinsel

Ministry of Culture and National Heritage Republic of Poland
 GALERIA OPERA
 nüüd.berlin
 POLNISCHE KUNST BERLIN

Co-financed by the Ministry of Culture and National Heritage of the Republic of Poland



62



Andrzej Bartkowski i Andrzej Hulewicz
Prezesa Grupy Mazurkas
zapraszają

Marina CALLAS

IN MEMORIAM
W 100. ROCZNICĘ
URODZIN

SŁAWOMIR PIETRAS I JEGO GOŚCIE
W 80. URODZINY

Joanna Woś_SOPRAN

Karolina Wieczorek_SOPRAN

Sylwester Kosteki_TENOR

Taras Hlushko_FORTEPIAN

17 grudnia 2023_niedziela_godz. 18.00

MCC Mazurkas Conference Centre & Hotel****

Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 177

SCENA TALENTÓW: PIOTR BALEWSKI, baryton.

PROWADZENIE: ANDRZEJ BARTKOWSKI

BEZPŁATNE BILETY WSTĘPU do odbioru od 12 grudnia, od godz. 18,00 w recepcji HOTELU MAZURKAS,
ul. Poznańska 177, Ożarów Mazowiecki. MAX. 2 BILETY/OS. ILOŚĆ BILETÓW OGRANICZONA

ORGANIZATOR: GRUPA MAZURKAS



PARTNERZY WYDARZENIA:



Moja pierwsza praca... w filmie

■ ANDRZEJ BARTKOWSKI



Praca. Według *Słownika języka polskiego* to „celowa działalność człowieka zmierzająca do wytworzenia określonych dóbr”.

O, właśnie – „dóbr”, ale jakież to szeroki wachlarz dóbr można uzyskać dzięki pracy? W przekonaniu większości ludzi na świecie pojęcie pracy wiąże się wyłącznie z koniecznością warunkującą egzystencję. Ale reszta, jednak ważna część ludzkości, ma wielką potrzebę by do tej egzystencji dorzucić ambicję, satysfakcję, radość, przygodę, szczęście, miłość, zabawę i co tam jeszcze, o... spełnienie.

Praca bywa dla ludzi katogą, ponurym szarym trudem, ale bywa też przyjemnością, radością i właśnie spełnieniem. Może być karierą dla gwiazd sztuki, sportu czy władzy. W próbie moich wspomnień trudno pominąć wątek pracy. Myślę, że każdy posiada w życiorysie moc interesujących opowieści z młodzieńczych lat dotyczących pierwszej pracy. Dla wprawnego scenarzysty takie opowieści mogłyby stanowić inspirację a ja uważam się tu za wyjątkowego szczęściarza, bo zarówno pierwsza praca, ale i następne, krótsze czy dłuższe, były w każdym przypadku dla mnie przygodą.

Kiedy byłem dzieckiem, tuż po wojnie, trwał stalinizm. Myślę, że, mimo upływu czasu, dzisiejszej młodzieży nie trzeba wyjaśniać. Było wtedy wszystkim bardzo ciężko żyć. Również mojej matce, wdowie z dwojgiem małych dzieci o czym już kilka razy wspominałem. Ale, mimo tej powojennej biedy ani u nas w rodzinie, ani nigdzie w moim otoczeniu nie był mi znany przypadek konieczności pracy dzieci w celu utrzymania rodziny. Z pewnością tak bywało, ale mnie, los oszczędził takich sytuacji.

W moim życiorysie praca pojawiła się jednak dość wcześnie i nieoczekiwanie.

Był rok 1961. Miałem wtedy szesnaście lat i właśnie odebrałem świadectwo ukończenia dziesiątej klasy liceum. Trochę przedwcześnie, bo zaczynałem szkołę jako sześciolatek. Janusz Kucharski, wtedy nowo upieczony mąż mojej starszej siostry Lili, czyli szwagier, choć przez całe życie nie mogę się oswoić z tym



Andrzej Bartkowski, 1963 FOT. ARCHIWUM AUTORA

słowem to jednak był mi autentycznym szwagrem i załatwił mi pracę... asystenta operatora przy produkcji prawdziwego i wielkobudżetowego filmu pt. *Atak*.

W poprzednie wakacje, już jako piętnastolatek wypuszczałem się w Polskę autostopem, a teraz, Boże... praca w filmie. O tym, że mogę zarobić, ani w tym momencie, ani przez następne tygodnie, przysięgam, nie pomyślałem nawet na chwilę. Zresztą w propozycji Janusza, temat płacy był nieporuszony. Do głowy by mi nawet nie przyszło, by o to pytać. Traktowałem to tylko jako wspaniałą okazję do unikalnych wakacji. W końcu coś zarobiłem, ale z pewnością było to niedużo. Ważne, że pracowałem... w filmie. Boże, jak ja później szpanowałem.

W ciągu dwóch dni, bez ceregie-li, z nieopierzonego uczniaka liceum w Izbicy Kujawskiej stałem się nagle asystentem prawdziwego i bardzo wtedy znanego operatora filmowego Witolda Leśniewicza. Wtedy zarówno operator jak i asystent to były słowa słabo przeze mnie kojarzone. Mój szwagier był wtedy kierownikiem produkcji w Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego „Czołówka”. Moje więc nagle zatrudnienie bezsprzecznie dziś nazwane byłoby nepotyzmem, jeśli jeszcze nie podlegałoby kilku oskarżeniom, chociażby o zatrudnieniu nieletnich. Mam nadzieję, że wchodzi tu w grę przedawnienie.

Ciąg dalszy na s. 50 ►

► Ciąg dalszy ze s. 49

Na wszelki wypadek informuję służby CBA, jeśli ich szczątki w nowej odsłonie politycznej jeszcze istnieją, że mój szwagier, który nadawałby się tutaj na oskarżonego, niestety, już nie żyje, a jeśli o mnie chodzi, to informuję, że jestem w wieku, który nie gwarantuje długoletniej odsiadki. A i w razie czego, nie przyznam się i będę się bronił metodą ministerialnej „soboniowej” mantry.

Wsiadłem więc w pociąg i jak szybko się dało, po otrzymaniu świadectwa ukończenia dziesiątej klasy w czerwcu 1961 pojechałem do Warszawy na Aleję Lotników do Wojskowej Wytwórni Filmowej „Czołówka”. Krótka odprawa, dwugodzinna szkoła filmowa, większość sprzętu już załadowana i w drogę. Ma być realizowany film pod tytułem *Atak*, o wojsku i dla wojska. Kierunek: Zielona Góra, a dokładnie miasto Żagań. Mieszkaliśmy potem oczywiście w hotelu, ale moim „domem” staje się od teraz samochód „Lublin”, w formie tzw. „operatorki”, z całym sprzętem filmowym, kamerami, kasetami z taśmą filmową, statywami, akumulatorami, odczynnikami chemicznymi itp. Taki „Lublin” był wtedy dobrze znany wszystkim filmowcom. Szaro-bura ciężarówka nazywana też „budą”, która towarzyszyła wtedy każdej ekipie filmowej.

Taki „Lublin” to kawał historii transportu w Polsce. Produkcja ruszyła w 1951 roku, oczywiście na bratniej licencji ZSRR. Podobno wyprodukowano w różnych wersjach około 20 tysięcy egzemplarzy, co, niby niedużo, ale wtedy dało się w Polsce zauważyć te „Lubliny” wszędzie.

Wracam do mojego „Lublina”. Gdyby istniała wtedy mała kamerka, jak to dziś możliwe i mogła zarejestrować co się wtedy w tej budzie działo przez lipiec i sierpień. Scenarzyści Hollywoodu mogliby czerpać garściami, a podejrzewam, że garści by im zabrakło. Starczyłoby materiału na melodramat, film gangsterski i porno i to na kilkusezonowe seriale. Na razie jedziemy całą noc. W budzie dwanaście osób raczej trzeciej kategorii w ekipie. Taki pion oświetleniowy, akustyczny, „wózkowy” no i... asystencko-operatorski. Bardzo dużo wódki pod wyciągane sukcesywnie kanapki, salcesony i kaszanki braci filmowców przy zapamiętanej przeze mnie małej poddachowej żaróweczce budy „Lublina”. Wtedy, dla mnie, który jeszcze nie znał i nie zamierzał poznać uroku tegoż napoju, było to doświadczenie szczególne.

W tej warczącej, trzeszczącej i podskakującej budzie „Lublina”, na bardzo dziurawych ówczesnych drogach, podawane były sobie, przez całą noc, z rąk do

rąk, omijające mnie butelki, bo byłem wtedy za młody, by docenić co tracę. Tę pyszną atmosferę mam w trwałej pamięci. Była dla mnie wiele znaczącym wstępem do świata pracy, który pozwolił mi na znalezienie prawdziwego, polskiego klucza do sukcesu. Trochę usypiając, nad ranem, chłopaki z ekipy skierowali dyskurs na



mnie, alkoholowego odmieńca, ale, muszę przyznać, że miło mi było, kiedy wyczułem akceptację mojej niezłomnej obrony przed licznymi kolejkami i przyjazny, acz mało zrozumiały bełkot, któremu już wtedy, nad ranem, towarzyszył ciekawy aromat,

przyjąłem jako przyjęcie do „ferajny”. Uszanowali mój brak doświadczenia w tej, jakże ważnej dziedzinie życia zawodowego i towarzyskiego bez nadmiernego parcia na edukację młodzieży w obranym przez nich kierunku. Zresztą, na szczęście, bo jak tylko dojechaliśmy, praktycznie bez snu, natychmiast poddano mnie bardzo intensywnemu przygotowaniu do zawodu filmowca, bo jak się wkrótce okazało czekała mnie ciężka harówka. Przez cały dzień byłem intensywnie szkolony przez człowieka, który mocno mnie rozkochał w tym co mam robić i jaką satysfakcję z tego czerpać. Satysfakcję, tak... Temu człowiekowi do dziś jestem wdzięczny.

Ekipa filmu liczyła, o ile pamiętam przynajmniej pięćdziesiąt osób i wszyscy mieli coś do załatwienia w „operatorce”, czyli w budzie Lublina, ale w dzień, kiedy był tzw. plan. Jednak w nocy, kiedy mieszkańcy Żagania spali, to warszawscy filmowcy, po trudach dnia, planu i poligonu jakby budzili się i zaczęli niemilknąc do rana imprezowanie.

Praca w filmie jako asystent operatora, 1962

FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA BARTKOWSKIEGO





Gdańsk, 1963 FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA BĄRTKOWSKIEGO

Działo się to w wynajętym dla nich na wyłączność hotelu w centrum miasta, a ja, asystent operatora, stawałem się jedynym użytkownikiem naszego „Lublina” i do trzeciej w nocy wywoływałem próbki z nakręconego materiału. Miałem „w obróbce” kasety kamery Arriflex, każda po 60 metrów taśmy filmowej 35 mm, czyli 2 min. materiału filmowego. Z każdej kasety należało wywołać próbki w kuletach z wywoływaczem i utrwalaczem, materiał dokładnie obejrzeć i opisać oraz przygotować do wysyłki do laboratorium w Warszawie. Ta praca powierzona była mnie, szesnastolatkowi, podczas kiedy cała ekipa filmowa balangowała jak tylko można sobie wyobrazić najpiękniejszą balangę na „ziemiach odzyskanych” w bądź co bądź artystycznym, filmowym wykonaniu.

To był urok szalonych, wczesnych lat sześćdziesiątych. Jak sobie dziś pomyślę to nie mogę uwierzyć. Gdybym miał wtedy, no powiedzmy... cztery lata więcej, z pewnością moje zdziwienie by nie istniało, bo byłbym w środku tego wesołego kieratu. Zaraz powiem coś o realizacji filmu, ale nadmieniam, że koszt realizacji takich dwóch minut nagranych materiału był kolosalny. Och, gdybym się potknął i otworzył taką kasety nie w ciemni. Nie chcę nawet o tym pomyśleć. Na szczęście, pochwalę się, że nigdy mi się to nie wydarzyło i zawsze tę cenną światłoczułą taśmę potrafiłem uchronić przed światłem.

W dalszej części życia, niestety, miewałem chwile niemałej słabości i „z poleganiem na mnie jak na Zawiszy” doradzałbym sceptycyzm.

Wspominając jednak tę moją pierwszą w życiu pracę nie mogę uwierzyć w dar losu. Film, jak pisałem wcześniej, czarował mnie dotąd tylko w kinie „Polonia” w mojej Izby Kujawskiej. Któż mógłby mieć taką okazję, by mając szesnaście lat móc wpleść się w realizację prawdziwego filmu, w wir sfingowanej wielkiej wojny, bitwy z udziałem setek czołgów, haubic, kilometrów tranzei, przynajmniej kilkuset a może i kilku tysięcy żołnierzy, bo kto by ich policzył. Codziennie na potrzeby filmu cały ten arsenał stawał do dyspozycji reżysera, operatora i kierownika produkcji. No i oczywiście sztabu dowódców wojskowych z kilkoma generałami i wyższymi oficerami, bo film miał służyć Wojsku Polskiemu, a i z pewnością, biorąc pod uwagę jego wymiar, całemu Układowi Warszawskiemu istniejącemu wówczas od raptem pięciu lat.

Teraz, prawie 63 lata później, słyszę grzmot całej takiej maszynierii wojennej w realu, w rozpoczętej w lutym 2022 roku, niewyobrażalnej wojnie na Ukrainie, rozpętanej przez Rosję. Czuję proch, boję się i nie mogę wprost uwierzyć, że to nie jest, nomen omen, ...film. Niestety, to wojna. To nie film. To niewyobrażalny dramat milionów ludzi spowodowany szaleństwem Rosjan. Skąd w ich przywódcy i w nich samych zrodziło się tyle potwornego zła, żeby masowo mor-

dować ludzi? Rozdzierający duszę dramat jaki się toczy w tej chwili na Ukrainie to nie tylko ten huk i hałas wojennego oręża. To straszny ból każdego z milionów Ukraińców, z którymi ja osobiście cierpię, pomagam im jak mogę, ale wiem, że ten mój udział we wsparciu ich w tej potwornej tragedii, niestety, jest... ziarnkiem piasku. W ten sposób cierpię, jestem przekonany, miliony ludzi dobrej woli na świecie. Przykład następny – Gaza, dwa miliony ludzi umiera. Wiem, wiem, że 7 października, ale... jak zaradzić? Czy znajdziemy, oprócz czołgów i rakiet, sposób na przyjaźń i miłość między ludźmi? Choćby, tolerancję?

Dwa miesiące w tym huk, strzelanie, wybuchach, krzątanie maszynierii wojennej realizującej precyzyjny filmowy, wprawdzie tylko instruktaż dla armii, ale dla mnie, szesnastolatka to był sygnał grozy, znak, że jest zło. Całe życie nie mogę pojąć, dlaczego ludzie mogą być tak okrutni dla innych.

Plan nie milkł przez cały dzień, nawet na kilka minut. Przerwy w kręceniu filmu nie były przerwami na tej ogromnej przestrzeni poligonu, gdzie cały czas trwało pozorowanie tytułowego ataku. Kiedy kamera nie pracowała, trwało przygotowanie do dziesiątek następnych scen i ten huk haubic, czołgowych luf i zapach prochu jest we mnie do dziś i już przez ponad sześćdziesiąt lat czyni mnie niemalże maniakałym pacyfistą.

Ciąg dalszy na s. 52 ▶



W Zakopanem, 1963

FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA BARTKOWSKIEGO

► Ciąg dalszy ze s. 51

Ta świadomość tego „ataku” lub konieczności obrony przed „atakami” od tamtego czasu jest we mnie obecna, tym bardziej, że urodziłem się, kiedy II wojna światowa jeszcze się nie zakończyła i nasiąknięty jestem wojennymi opowieściami matki, która wojnę przeżyła w Warszawie.

Poligon między Żaganiem a Żarami jest jednym z najstarszych i największych terenów ćwiczeń wojskowych, a dziś szkolą się tam armie sojusznicze NATO.

Byłem tam w 1961 roku, w samym środku i to jak nie byle kto. Byłem jedynym w tym całym piekle, oprócz operatora, mającym dostęp do kamery. Mojej ukochanej kamery, na którą chuchałem i dmuchałem, jej obiektywy czyściłem miękkimi pędzelkami. To dla niej, tej mojej kamery Arriflex, był gotowany ten cały przeogromny plan. To dla niej ten tysiąc żołnierzy, te setki wybuchów, salwy haubic, ryki czołgów i helikopterów. A później to ja, z wnętrza tej kamery wyplątywałem jej złotą treść, taśmę z kaset i doskonale wiedziałem, że to ja, teraz, ten cały filmowy plan mam w swoich rękach, szesnastolatka z Izbicy Kujawskiej. Pakowałem każdy z tych 60-metrowych krążków taśmy w czarny papier w tym grzmocie, kurzu i huku i z największą ostrożnością i nabożeństwem wydmuchiwałem każdy najmniejszy pyłek. Czułem tę moc zaczarowaną w jeszcze niewywołanej emulsji perforowanej taśmy filmowej.

Czekałem na ponowne jej spotkanie wieczorem, kiedy w ciemni budy, operatorki „Lublina” każdą kasetę musiałem znów odpakować, odciąć kilkunastocentymetrowy kawałek filmu, wywołać w kwasach

próbkę by się przekonać i potwierdzić, że zawiera ona w tej swojej emulsji trudne do zrozumienia moc, treść, piękno i siłę. A nawet zapach i jakiś czar, któremu należy się pokłonić. Kiedy na wywoływanych przeze mnie w ciemni końcówkach każdej szpuli taśmy ukazywały się w negatywie fragmenty kręconych batalistycznych scen chciało mi się płakać i krzyczeć z radości. Ten niezauważalny asystent operatora, jakiś Grzesiek – a ja wtedy, w tej ciemności operatorki, sam przed sobą, ale byłem... ktoś. Dziś porównałbym to uczucie z zasłużoną owacją dla debiutującego artysty po koncercie.

Jakaż to była dla mnie szkoła. Ten epizod mojego życia zadecydował o moich zainteresowaniach, o szacunku i etosie pracy, o pożądaniu przygody, o odpowiedzialności czy wreszcie o chęci, ale tam chęci, żądzy samodzielnej kreacji. Coś w życiu zrobić, żebym mógł przypisać to sobie, że to ja zrobiłem i ktoś to uznał. Ta myśl zrodziła się u mnie właśnie wtedy. Pamiętam, jak zależało mi na przyjaznym gościu mojego operatora i jaką satysfakcję miałem, kiedy w tym kurzu i łomocie poklepał mnie czasem po plecach i powiedział „brawo Grzesiek”, bo moja ksywka z operatorki trafiła i do niego. Ale tak naprawdę nie czułem się wtedy takim kozakiem. Byłem, pełnym kompleksów szczawikiem. Chłopakiem wyrwanym z Izbicy Kujawskiej w roku 1961, który za sprawą dobrze umocowanego zawodowo „szwagra” znalazł się w ekipie filmowej. Ciągle, do końca tych moich unikalnych wakacji myślałem, że to sen. I tak naprawdę do dziś nie mogę w to uwierzyć, ale szwagrowi jestem głęboko wdzięczny za tę wtedy podaną mi ze sceny rękę.

Późniejsze moje życie pozwoliło mi na uczestnictwo jako asystent operatora albo statysta w wielu planach filmowych, łącznie z np. *Popiołami*, ale ten wojskowy film *Atak* był dla mnie lotem w kosmos. Wszelkimi sposobami próbuję do tego filmu dotrzeć, ale niestety jest on najprawdopodobniej tajny i chyba słusznie. Nie mogę tu nie wspomnieć o jeszcze jednym epizodzie, który mi się przytrafił w tamte moje pracowite wakacje. Mianowicie, wyprawa całej warszawskiej ekipy filmowej z Żagania do oddalonej prawie o 50 km Zielonej Góry na spotkanie z... pierwszym kosmonautą Jurijem Gagarinem. Było to 22 lipca 1961 roku, a więc 63 lata temu.

Cóż to było za święto? Tłumy ludzi witały przejeżdżającą przez miasto kolumnę czarnych limuzyn. A na czele tej kolumny sunął odkryty, błyszczący srebrem i czernią ZiE 110 z najbardziej wtedy znanym człowiekiem na świecie. Mieliliśmy jakieś specjalne przepustki filmowe i dzięki temu wkrótce potem znaleźliśmy się na stadionie w bardzo bliskiej odległości od Gagarina. Wtedy zaczęła się tzw. „gagarinomania”, która opanowała całą Polskę a myślę, że także cały świat. Największe gwiazdy Hollywood czy sportu nie miały większej popularności. No, ale być osobiście w tamtym czasie na rzut beretem od Gagarina to było coś. Wracając wieczorem znowu filmowcy dla uczczenia tego zdarzenia otworzyli parę butelek (no, może więcej) i wiozący nas autokar „SAN” o mało nie rozleciał się od najgłośniejszych jakie kiedykolwiek słyszałem śpiewów Nad brzegiem morza, przy brzegu morza, na brzegu morza... Z racji moich wtedy szesnastu lat i tym razem alkoholu nie spróbowałem, ale w działalności artystycznej uczestniczyłem i do dziś jestem fanem tej wartościowej pieśni.

Ileż we mnie wspomnień z tamtych dwóch miesięcy. Pamiętam, że kiedy wróciłem we wrześniu do jedenastej klasy nie mogłem się naopowiadać kolegom licznie zgromadzonym w licealnym kiblu. Ledwo się wtedy widzieliśmy w gęstym dymie papierosowym, który mi wtedy i później nie przeszkadzał choć nigdy nie paliłem. Szpanowałem wtedy moją wojskową kurtkę z napisem na rękawie „Wojskowa Wytwórnia Filmowa – Czołówka” i czarnym beretem czołgistów, no i przyciemnionymi okularami, którymi czarował wówczas całą Polskę Zbigniew Cybulski. Nieco później miałem możliwość wielokrotnie przyglądać się z bliska Zbyszkowi Cybulskiemu na planie filmowym.

Niestety, po powrocie do jedenastej klasy nie odczułem wtedy większego zainteresowania mną wśród moich koleżanek. Byłem trochę zawiedziony, ale publikę męską

w licealnym ustępie miałem zapewnioną i opowiadałem a opowiadałem nie zdejmując tego czarnego beretu czołgistów.

Wróć jeszcze do tego mojego planu filmowego w Żaganiu, w lato 1961 roku. Jak rzekłem była to praca ciągła, po szesnaście godzin na dobę, łącznie z niedzielami, bo o wolnych sobotach to wtedy nikt nie słyszał. A jednak, zdarzyło się, że w sierpniu jedna z niedziel była pusta, a i sobota, taka jakoś od południa. Wyprosiłem u operatora pozwolenie na nieobecność. Mam zanotowane w kalendarzyku, że dał mi 27 godzin wolnego. Muszę się przyznać, że byłem bardzo związany z matką. Z obozu harcerskiego trzeba mnie było sprowadzać, bo tęskniłem, płakałem, cierpiałem. Teraz miałem już szesnaście lat, pracowałem i niby nie miałem czasu na tęsknotę, ale był to mój pierwszy tak długi pobyt poza domem i bez... mamy. Och, jak, mimo natłoku pracy, dały o sobie znać okolice gardła, ta pustka gdzieś w górnej części ciała, dziura w duszy, jakiś ból w piersiach, w plecach, w środku no... nie wiem w czym jeszcze. To znaczy wiem, wiem, że gdyby pojawiła się matka to już by to wszystko ustąpiło. Stary koń, niby pracownik filmu... a jednak.

Byłem tam pośród zadań, obowiązków i odpowiedzialności sam. Nawet w nocy, kiedy zasuwalem w operatorce. Oprócz niewątpliwie budujących, ale rzadkich poklepań po plecach z komentarzem operatora „brawo Grzesiek” nikt nie miał nawet czasu pomyśleć by zauważyć, że... jestem. I ta nieprzeparta chęć, to pożądanie spotkania matki wtedy trafiło na te 27 godzin wolnego. Wiedziałem o tym od tygodnia i w kolejne noce chodziłem na stację kolejową w Żaganiu by studiować rozkład jazdy. Matka była w tym czasie w sanatorium w Łądku Zdroju. W najlepszej konfiguracji lokalnymi (osobowymi) pociągami było sześć przesiadek a z powrotem pięć. Jak ja się wtedy wykształciłem w posługiwaniu rozkładem jazdy pociągów. To mi się później bardzo przydało. Mimo, że nieraz na przesiadkę miałem kilka minut to zawsze zdążyłem, choć na niektórych stacjach trzeba było czekać dwie godziny.

Wyjechałem z Żagania po południu a dotarłem do Łądku Zdroju o godzinie 5. rano. W sanatorium obudzono matkę. Spotkaliśmy się przed budynkiem w pustce parku. Nigdy nie zapomnę jej łez, dotyku jej dłoni na moim policzku i powtarzanemu bez końca „synulku”, „kochany synulku”. Usiedliśmy na ławce.

Opowiadałem o tym moim filmowym świecie, w który matka chyba mi wtedy nie uwierzyła i wpatrując się we mnie jak w obraz w mówiła mi, nie bez racji, że jestem bardzo zmęczony i dobrze byłoby

jakbym położył się na piętnaście minut koło ławki i się zdrzemnął. Zasnąłem na trawie, a na ławce, trzymając mnie za rękę siedziała matka. Obudziłem się po... kilku godzinach. Spojrzeliśmy wtedy na zegarek i spostrzeżliśmy, że już jest niedużo czasu do mojego pociągu. Pierwszego, bo potem jeszcze pięć przesiadek. W nocy dotarłem do Żagania. Zdążyłem, bo rano musiałem być już gotów z moimi kamerami. To była chyba najważniejsza niedziela mojego życia. Te krótkie kilka godzin na jawie czy na śpiąco, ale z... matką. Jakże wtedy wytęsknioną, kochaną matką.

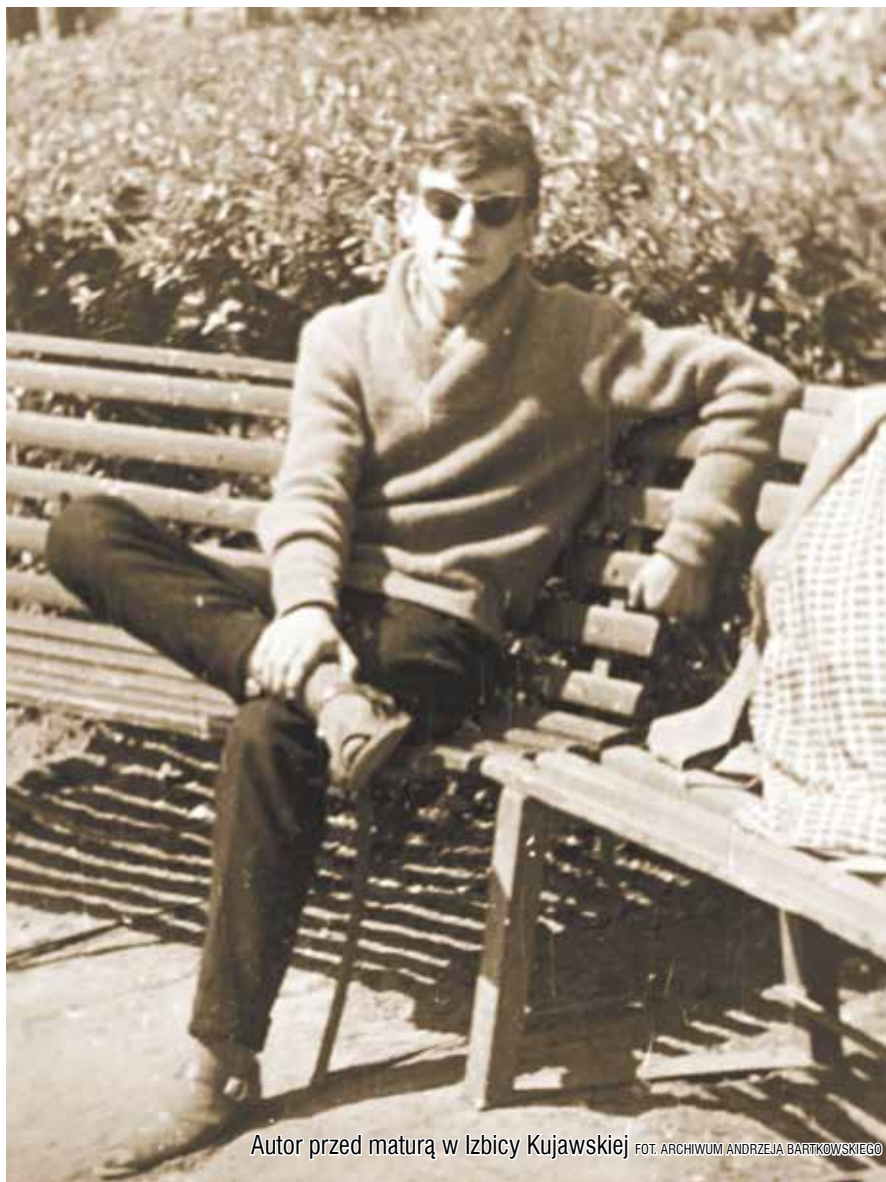
Niedługo po tym zobaczyłem film *Ballada o żołnierzu* w reżyserii Grigorija Czuchraja. Miałem moją prywatną pretensję do reżysera, że splagiatował moją historię, ale niestety jak się dowiedziałem film był zrealizowany dwa lata wcześniej, ale w Izbicy Kujawskiej ukazał się dopiero w roku 1962, czyli rok po opisaną przeze mnie sytuacji.

Do tego życia filmowego wróciłem za niecały rok. Natychmiast po maturze w 1962

roku zaczął się przepiękny 14-miesięczny okres mojego życia w atmosferze produkcji filmów, o urokach Polski, przeznaczonych dla telewizji zagranicznych. Tytuły, to np. *Kraków nocą*, *Jazz i piwnice*, *We-sele góralskie w Zakopanem*, *Festiwal Sopot*, *Tratwę przez Mazury*, *Puszcza Białowieska*, mogą świadczyć o natężeniu doznań. To były filmy fabularyzowane zawsze z udziałem wtedy młodych aktorów, wtedy debiutujących, a których nazwiska dzisiaj są nazwiskami gwiazd jak: Anna Seniuk, Jan Nowicki, Ewa Demarczyk i cały zespół legendarnej „Piwnicy pod baranami”, z którym spędziliśmy wspólnie dwa tygodnie, w prawdziwej gościnnej i sąsiedzkiej (*vis-à-vis* w Rynku) „Piwnicy pod jaszczurami”, bo trafiliśmy na jeden z okresów, kiedy wczesna „Piwnica” uznana z pewnością za groźnego dla PRL-u dysydenta była wysiedlana ze swojej siedziby. Pracowaliśmy tam dzień i noc, ale był to dla mnie wspaniały czas.

Praca w filmie, och!

ANDRZEJ BARTKOWSKI ■



Autor przed maturą w Izbicy Kujawskiej FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA BARTKOWSKIEGO

Polonez na liście UNESCO



Polonez w wykonaniu Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze” FOT. © MICHAŁ DEMBIŃSKI

■ IRENEUSZ ST. BRUSKI



Na Liście reprezentatywnej niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości UNESCO znalazł się jeden z najstarszych i najbardziej popularnych polskich tańców – polonez.

Wieszcz narodowy Adam Mickiewicz na kartach naszej polskiej epopei *Pana Tadeusza* skreślił:

Poloneza czas zacząć. – Podkomorzy rusza

*I z lekka zarzuciwszy wyloty kontusza,
I wąsa podkręcając, podał rękę Zosi
I skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi.*

Za Podkomorzym szereg w parę się gromadzi,

*Dano hasło, zaczęto taniec – on pro-
wadzi. [...]*

*Ustępują mu z drogi – i zmieniawszy szyki,
Puszczają się znów za nim.*

Brzmią zewsząd okrzyki:

„Ach, to może ostatni! Patrzenie, patrzenie młodzi,

*Może ostatni, co tak poloneza wodzi!”
(Księga XII, fragm.)*

Polonez jest charakterystycznym elementem polskiej kultury. „Co więcej, odzwierciedla, zarówno w warstwie muzycznej, jak i w ruchu czy zachowaniu tancerzy, wiele naszych cech narodowych – stwierdza Jan Łosakiewicz, tancerz, choreograf oraz dyrektor Teatru Tańca Uniwersytetu Warszawskiego «Warszawianka». – Jest to duma zarówno narodowa, ale także

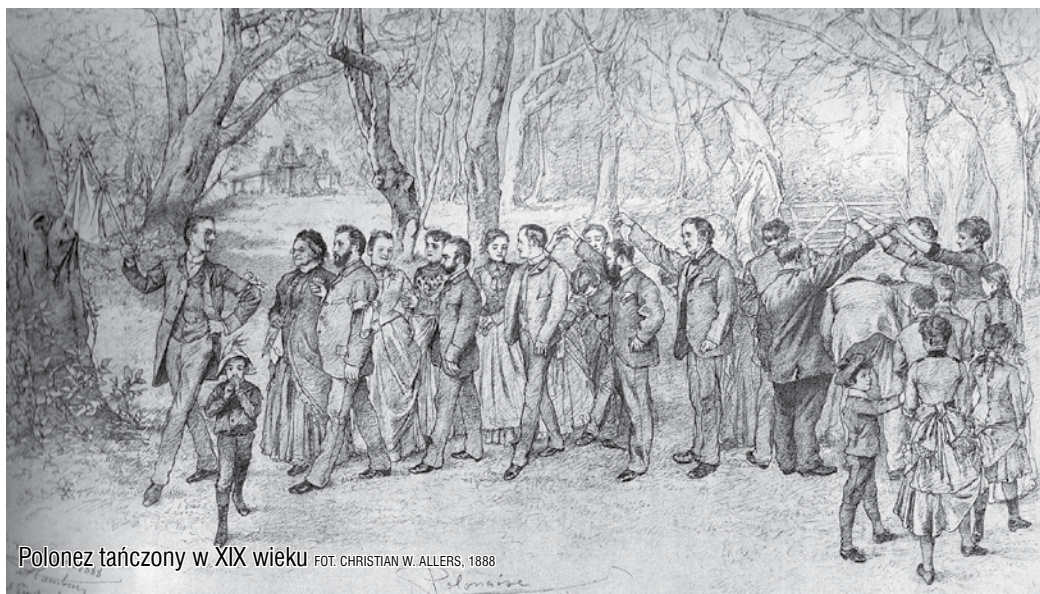
i duma jednostki. Polonez oddaje również szarmanckość i opiekuńczość. Tancerz adoruje swoją partnerkę, ale stara się też pokazać ją światu, podzielić z innymi jej pięknem, kunsztem i urodą”.

Polonez był znany na terenie całej Polski i tańczony przez różne warstwy społeczne, które uważały go za część swojego dziedzictwa kulturowego. Taniec ten był nieodłącznym elementem królewskiego ceremoniału, uroczystości i balów magnackich, zwyczajów i zabaw szlacheckich, towarzyszył uroczystym spotkaniom w re-sursach i mieszczańskich salonach, był także elementem weselnej obyczajowości chłopskiej. Polonezy znajdowały swoje miejsce w dziełach operowych, utworach muzycznych, literaturze i przekazach ustnych. Stanowiły element dumy narodowej, którym szczycono się przed przedstawicie-

lami innych narodowości, a także wyrazem tożsamości stanowej, którą m.in. w tańcu przekazywano następnym pokoleniom.

Nazwa „polonez” zapożyczona została z języka francuskiego – *polonaise* („polski”). W dawnej Polsce, w zależności od regionu kraju, w którym był tańczony, występował pod różnymi nazwami, takimi jak: „taniec polski”, „chodzony”, „pieszy”, „łażony”, „wolny”, „powolny”, „powolej”, „okrągły”, „starodawny”, „staroświecki”, „chmielowy”. Tańcom chodzonym przypisuje się także określenia występujące w XVI- i XVII-wiecznej literaturze: „geśli”, „świeczkowy”, „wielki”, sugerując jednocześnie, że miały one rytmikę cztermiarową.

– Muzykolodzy do dziś się sprzecają, jak narodził się ten taniec. Czy na wsi, czy w mieście? Polonez popularny wśród szlachty był na pewno w XVIII wieku,



Polonez tańczony w XIX wieku FOT. CHRISTIAN W. ALLERS. 1888



Teofil Kwiatkowski, *Polonez Chopina – Bal w Hôtel Lambert w Paryżu*, 1859

świadczył o szacunku i randze balu. August Mocny wprowadził na przykład zasadę, według której wszystkie bale musiały się zaczynać właśnie polonezem – stwierdzi Witold Broda z Kapeli Brodów.

„Źródła mówią o tańcach chodzonych, znanych pod różnymi nazwami już w XVI wieku, ale nie ma pewności, czy to, co w ten sposób nazywano, przypominało dzisiejszego poloneza, czy było bardziej czymś na podobieństwo mazura – dopowiada muzykolog Mariusz Gradowski. – Dopiero w XVII i XVIII stuleciu polonez pojawia się w spisach, zbiorach, a co najważniejsze, stał się on wówczas bardzo popularny”.

– Ta popularność była w istocie wielka. W 1. połowie XVIII wieku w całej Europie tańczyło się ten taniec. Najwięksi kompozytorzy, jak Georg Philipp Telemann czy Jan Sebastian Bach, komponowali w stylu polskim – przypomina Witold Broda. Mariusz Gradowski natomiast zwraca uwagę na kompozytorską „atrakcyjność” polone-

za: „Jego rytmika szalenie się wówczas podobała. Dlatego zobaczymy polonezowe zapiski w twórczości prawdziwych ówczesnych gigantów”.

W XIX wieku, jak zauważa Bożena Kociolkowska, prezes Fundacji na rzecz Sztuki Tańca, „wszystkie publiczne bale zaczynały się polonezem a kończyły nad białym ranem mazurem. Polacy wszędzie gdzie są na świecie tańczą go na różnych uroczystych spotkaniach, bo taniec ten jest naszym dziedzictwem kulturowym i służy integracji polskiego społeczeństwa”.

Polonez to taniec grupy o podniosłym, a jednocześnie radosnym charakterze, w którym gracji ruchów towarzyszą dostojne kroki. Metrum 3/4, tempo umiarkowane,

powolne. Charakterystyczny dla poloneza jest powtarzający się schemat rytmiczny,

ósemkowy, z dwiema szesnastkami na „i” pierwszej miary. Grupa tańcząca poloneza może liczyć od kilku do nawet kilkuset osób. Uczestnicy tańczą w parach, które jedna za drugą maszerują w rytmie, tworząc korowód.

Taniec ten należy do elementów składających się na idiom polskiej kultury dzięki m.in. swojej popularności i kilkunastowiekowej

(związanej tak z kulturą wsi, jak i dworu) tradycji. Współtwórcami tej tradycji byli tacy kompozytorzy, jak Michał Kleofas Ogiński, Karol Kurpiński, Stanisław Moniuszko, Henryk Wieniawski, Ignacy Jan Paderewski, a nade wszystko Fryderyk Chopin.

Polonez odegrał istotną rolę w czasach, kiedy zachowanie polskości było zagrożone. Polskie tańce narodowe stanowiły przez lata jeden z fundamentów pamięci i tożsamości Polaków, zwłaszcza w czasach gdy Ojczyzna była pozbawiona państwowości i wolności, którzy wiernie i dumnie trwali przy zdobycach własnej kultury. Bez niezliczonych jej elementów niemożliwe byłoby przetrwanie narodu polskiego.

Każda epoka wносиła coś nowego do jego rozwoju, a forma tańca ewoluowała będąc dostosowywaną do preferencji następnych pokoleń. Dziś polonez jest tańcem, którym młodzież licealna chętnie manifestuje osiągnięcie progu dojrzałości podczas balów studniówkowych i maturalnych. Polonez często rozpoczyna uroczyste bale, a w niektórych środowiskach towarzyszy także weselom.



Korneli Szlegel, *Polonez pod gołym niebem*, XIX w.

► Ciąg dalszy na s. 56

Jerzy Duda-Gracz, *Polonez – Fantazja As-dur op. 61*

FOT. DIGIGRAPHIE NA PAPIERZE, 2002/2021



► Ciąg dalszy ze s. 55

Wspólnoty lokalne chętnie sięgają po ten taniec chcąc uczcić szczególnie uroczyste święta. Często jest też wykonywany tam, gdzie Polacy chcą poczuć się wspólnotą skupioną wokół istotnych idei i spraw społecznych.

Warto przypomnieć o związkach poloneza z Polskim Radiem. Pierwsze takty *Poloneza A-dur* Fryderyka Chopina rozpoczęły nadawanie programu rozgłośni Polskiego Radia w kwietniu 1926 roku. Do dziś jest to sygnał radiowej Jedynki i miejmy nadzieję, iż współczesni „reformatorzy” mediów nie zniszczą tej pięknej tradycji.

Polonez znalazł również swoje miejsce w innych sztukach, jak film czy malarstwo. Wskazuje na ten fakt Elżbieta

Mendakiewicz w liście poparcia, który w imieniu Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej w Bytomiu skierowała do UNESCO. Píše w nim m.in.: „Andrzej Wajda w adaptacji filmowej *Pana Tadeusza* dzieła Adama Mickiewicza, *Polonezem* w choreografii Michała Jarczyka, zatańczony przez Zespół Pieśni i Tańca «Mazowsze» do wyjątkowej muzyki Wojciecha Kilara, łączy przeszłość z przyszłością, kształtując świadomość naszego społeczeństwa”. Natomiast przywołując polonez jako temat malarski, odwołuje się do dzieł takich autorów jak Teofil Kwiatkowski (*Polonez Chopina – Bal w Hôtel Lambert w Paryżu*, 1859), Zofia Stryjeńska (*Polonez z cyklu Tańce Polskie*, 1927), czy Jerzy Duda-Gracz (m.in. *Polonez Nr 2 c-moll op. 40* czy *Polonez – Fantazja As-dur op. 61* w ramach cyklu *Chopinowi*, 2002).

Myśl wpisania poloneza na listę UNESCO towarzyszyła środowiskom tanecznym od lat. Prowadzone były w tym zakresie rozmowy nawet jeszcze przed ratyfikacją przez Polskę Konwencji UNESCO 2003 w sprawie ochrony niematerialnego dziedzictwa kulturowego – podkreśla Joanna Cicha-Kuczyńska, radca z Departamentu Ochrony Zabytków w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

– Warunkiem koniecznym do ubiegania się o wpis na listę jest wpisanie elementu do krajowego rejestru niematerialnego dziedzictwa kulturowego danego kraju. W przypadku Polski rejestr ten nosi nazwę *Krajowa lista niematerialnego dziedzictwa kulturowego*, a prowadzony jest przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Obecnie na tej liście znajduje się 85 elementów. Polonez wraz

Jerzy Duda-Gracz, *Polonez Nr 2 c-moll op. 40* FOT. DIGIGRAPHIE NA PAPIERZE, 2002/2021Zofia Stryjeńska, *Polonez z teki Tańce polskie*, rotograwiura wielobarwna, papier, 1927



Rękopis Poloneza As-dur op. 53 Fryderyka Chopina FOT.DP



Jan Piotr Norblin, *Polonez*, koniec XVIII w. FOT.DP

z innymi polskimi tańcami narodowymi (mazur, kujawiak, oberek, krakowiak) został wpisany do krajowego inwentarza w październiku 2015 roku, a jako odrębny element w sierpniu 2019.

Prace nad wnioskiem do UNESCO trwały dwa lata; został złożony w Sekretariacie Konwencji 31 marca 2022 roku. Różne środowiska skierowały listy poparcia, które załączono do wniosku. W gronie sygnatariuszy listu znalazły się: Balet Cracovia Danza, Zespół Folklorystyczny „Kostrzanie”, Zespół Folklorystyczny „Szamotyły”, Zespół Ludowy „Ożarowiaczy”, Zespół Pieśni i Tańca „Lublin”, Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej, Zespół Pieśni i Tańca „Silesianie” Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, Zespół Pieśni i Tańca „Sokołowianie”, Zespół Pieśni i Tańca Uniwersytetu Warszawskiego „Warszawianka”, Zespół Tańca „Gołowianie”, Zespół Tańca Ludowego „Promyki” z Wieliszewa, Zespół Tańca Ludowego „Poligrodzianie”, Międzyszkolny Ludowy Zespół Pieśni i Tańca „Krakowiak”, Dziecięcy Zespół Folklorystyczny „Wielkopole” . Ponadto listy poparcia złożono w imieniu: Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca, Stowarzyszenia – Polska Sekcja Międzynarodowej Rady Stowarzyszeń Folklorystycznych, Festiwali i Sztuki Ludowej CIOFF, Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Ludomira Różyckiego w Bytomiu, Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Feliksa Parnella w Łodzi, Miejskiego Ośrodka Kultury w Józefowie, a także uczniowie ostatnich klas warszawskich szkół: II Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Batorego, LXX Liceum Ogólnokształcącego im. Aleksandra Kamińskiego, I Społecznego Liceum Ogólnokształcącego im. Maharadży Jama Saheba Digvijajsinhji

oraz społeczności Szkoły Podstawowej nr 16 im. Tony Halika i Przedszkola nr 401 w Warszawie.

Ogłoszenie wpisu polskiego tańca na listę UNESCO nastąpiło 5 grudnia 2023 roku podczas 18. sesji Komitetu Międzypaństwowego ds. Ochrony Niematerialnego Dziedzictwa, która odbyła się w Kasane, w Botswanie. W konsekwencji polonez stał się szóstą polską tradycją wpisaną na tę listę; w poprzednich latach wpisem wy-

różnione zostały: szopkarstwo krakowskie (2018), kultura bartnicza (2020), dywany kwiatowe na procesje Bożego Ciała (2021), sokolnictwo (2021) i flisactwo (2022).

Wpis na listę UNESCO to nie tylko ukazanie światu bogactwa polskiej tradycji, ale niezwykle cenny środek ochrony i zwiększenia poszanowania tego niematerialnego dziedzictwa kulturowego Polski, Europy, ludzkości.

IRENEUSZ ST. BRUSKI ■



Polonez kontuszowy w wykonaniu artystów ZLPiT „Mazowsze” FOT. © PIOTR PASIECZNY

□ W 2023 roku obchodzimy 125. rocznicę urodzin Feliksa Parnella (1898-1980) – wybitnego tancerza, choreografa, pedagoga, twórcy baletu łódzkiego, który 66 lat temu przyjechał do Łodzi i stworzył od podstaw balet Opery Łódzkiej. W swojej twórczości posługiwał się różnymi technikami tańca, tworzył pełnospektaklowe balety, miniatury baletowe, choreografie do oper i operetek. Inspiracje artystyczne czerpał z różnych źródeł, w szczególności z folkloru polskiego.

W hołdzie Parnellowi

■ ALEKSANDRA STANISŁAWSKA



W Teatrze Wielkim w Łodzi, 11 października, odbył się koncert jubileuszowy, dedykowany Feliksowi Parnellowi. Ten niezwykły artysta, wybitny polski tancerz, choreograf i pedagog, twórca baletu łódzkiego – urodził się 13 grudnia, dokładnie 125 lat temu w Warszawie.

Koncert nosił tytuł *W hołdzie Parnellowi*, a jego inicjatorem była Ogólnokształcąca Szkoła Baletowa im. Feliksa Parnella w Łodzi, która do współpracy zaprosiła balet Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Ha-dyny w Koszęcinie oraz balet Teatru Wielkiego w Łodzi.

Koncert składał się z dwóch części. W pierwszej zaprezentowano zrekonstruowane miniatury Feliksa Parnella przeplatane fragmentami filmów dokumentalnych *Wieczór baletów Parnella* w reżyserii Jerzego Woźniaka oraz *Feliks Parnell* w reżyserii Andrzeja Bednarka. Wyjątkową atrakcją były archiwalne nagrania z lat 30. XX wieku przedstawiające tańczącego Parnella. Drugą część koncertu wypełniły układy choreograficzne

zadedykowane Mistrzowi. Wykonali je uczniowie łódzkiej Szkoły Baletowej oraz artyści wspomnianych zespołów.

Podczas koncertu widzom przybliżono sylwetkę artystyczną Feliksa Parnella. Wspaniałego człowieka, dla którego sztuka była wartością nadrzędną. Jak czytamy w jego *Pamiętnikach*. *Moje życie w sztuce tańca* – Terpsychora była dla niego wielką miłością, wiarą i nadzieją, a *credo*, którym kierował się przez całe swoje artystyczne życie brzmiało: „Kto zdradza sztukę na

rzecz osobistych korzyści i koniunktury przestaje być artystą”.

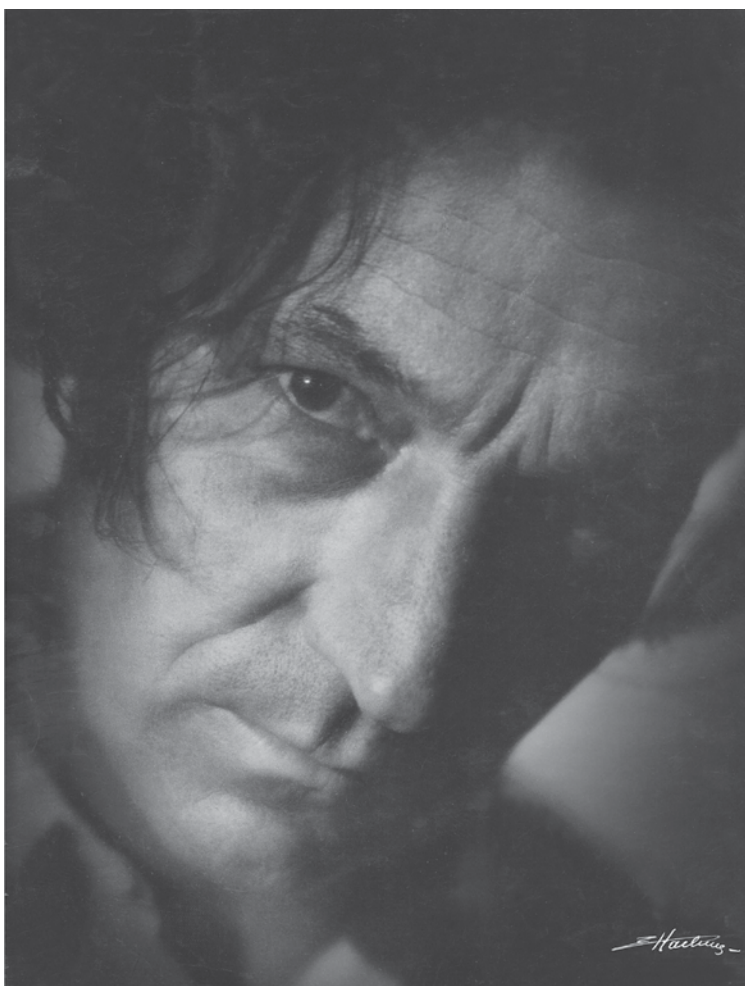
Feliks Parnell łączył w sobie talent choreograficzny z indywidualnością tancerzową. Jego kreacje postaci scenicznych na długo pozostawały w pamięci widzów. Tworzył choreografie dla kabaretu, rewii, operetki, opery, dla zespołów baletowych.

pracował w Teatrze Wielkim w Warszawie. Założył własny zespół „Balet Polski Parnella”, z którym odbył liczne tournée po kraju i Europie, między innymi na zaproszenie Sergiusza Lifara, wystąpił z zespołem w Operze Komicznej w Paryżu. „Balet Polski Parnella” był jednym z najciekawszych zjawisk w historii polskiego baletu. W 1936 roku zdobył I nagrodę na Olimpiadzie Tanecznej w Berlinie za miniatury *Lajkonik krakowski*, *Wesele łowickie*, *Dożynki* i *Umarł Maciek, umarł...*

Po II wojnie światowej Parnell współpracował z wieloma teatrami w Polsce, a ostatnim etapem jego drogi artystycznej, dzięki ówczesnej dyrektor Opery Łódzkiej Saby Nowickiej, stała się Łódź. To ona powierzyła Parnellowi zadanie utworzenia baletu w tym przemysłowym mieście. Z właściwym sobie rozmachem i energią, mimo trudnych warunków lokalowych, Feliks Parnell, w krótkim czasie stworzył młody zespół tancerzy. Po kilku miesiącach pracy zespół łódzki wyjechał na czteromiesięczne tournée do Francji i Anglii. Pod koniec lat 60. Opera Łódzka otrzymała nową siedzibę – Teatr Wielki, ale Feliksa Parnella przeniesiono na

emeryturę. W 1979 roku doceniając pracę artysty na rzecz miasta uhonorowano Parnella nagrodą Miasta Łodzi.

Organizując balet w Łodzi Feliks Parnell, uruchomił również „Ognisko baletowe” przy Operze, ponieważ jak twierdził: „Bez młodego narybku nie może nie tylko rozwijać się, lecz nawet istnieć żaden balet z prawdziwego zdarzenia”. Nie była to jeszcze istniejąca dziś łódzka Szkoła Baletowa. Ta powstała dopiero w 1975 roku, ale od 35. lat dumnie nosi jego imię. ■



FOT. © EDWARD HARTWIG



W hołdzie Parnellowi, cz. I, chor. Aleksandra Stanisławska, tańczą uczennice klas II-IX FOT. © EWA RYSZKOWSKA



Balet Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”,
Polonez, muz. Wojciech Kilar,
chor. Hanna Chojnacka FOT. © ZPIT „ŚLĄSK”



Balet Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”,
Jak się baba roztańczyła na drewnianej sali,
muz. Roman Izykowski FOT. © ZPIT „ŚLĄSK”



W hołdzie Parnellowi, cz. II, chor. Aleksandra Stanisławska, tańczy Helena Kowalska (w roli Rusalki)
FOT. © EWA RYSZKOWSKA



W hołdzie Parnellowi, Prolog, chor. Izabela Zawadzka, tańczy Sebastian Olczyk (w roli Feliksa Parnella)
FOT. © EWA RYSZKOWSKA



Java, chor. Feliks Parnell, tańczą Olga Nowak i Hubert Radkiewicz
FOT. © EWA RYSZKOWSKA



Balet Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, *Tańce górali podhalańskich*,
opr. muzyczne Stanisław Hadyna, chor. Elwira Kamińska FOT. © ZPIT „ŚLĄSK”



W hołdzie Parnellowi, cz. III, chor. Izabela Zawadzka, tańczą uczennice kl. VI-VIII FOT. © EWA RYSZKOWSKA

Dziadek do orzechów



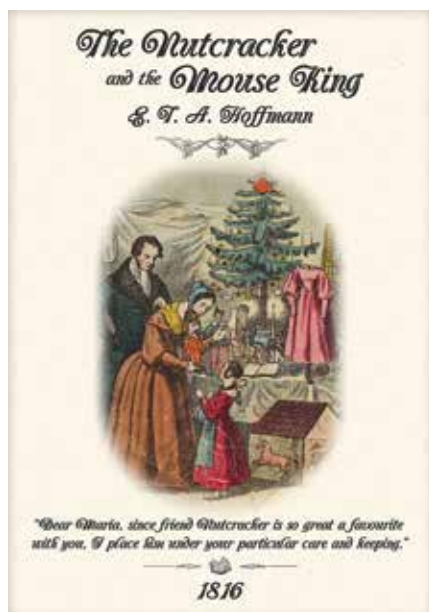
FOT. © SEBASTIEN MATHE / OPERA NATIONAL DE PARIS, 2023

Wbieżącym roku, za pośrednictwem portalu KinoMaestro.pl, będziemy mogli obejrzeć retransmisję baletu *Dziadek do orzechów* w wykonaniu zespołu Baletu Opery Narodowej w Paryżu, który również 19 grudnia będzie w wielu kinach na całym świecie transmitowany na żywo.

To ważne wydarzenie i powrót do twórczości Czajkowskiego, który dzięki rządzącym, tak jak wszystko co „rosyjskie” rok temu znalazło się na indeksie. Wszystkie teatry w Polsce wykreśliły ze swoich repertuarów również *Dziadka do orzechów*. Jednak jak się okazuje w grudniu '23 i w styczniu '24 ma zostać wystawiony na scenie Filharmonii Gorzowskiej przez artystów Royal Lviv Ballet. Jak widać, nie każdego dotyczy zakaz.

Ale wróćmy do paryskiej inscenizacji... w klasycznej choreografii Rudolfa Nuriejewa (1938-1993), jednego z najwybitniejszych tancerzy XX stulecia, który niedługo po swojej ucieczce z ZSRR został dyrektorem zespołu baletowego Opery

Paryskiej (1983-1989). Stworzył tam wiele baletów, które wystawiane są do dziś, nie tylko w Paryżu. Nuriejew swoją wersję *Dziadka do orzechów* oparł na klasycznym układzie Mariusa Petipy i Lwa Iwanowa,



która miała premierę w Paryskiej Operze Narodowej w 1985 roku i ciągle jest wystawiana z wielkim powodzeniem, bawiąc i wzruszając kolejne pokolenia widzów.

W wielu krajach nie ma okresu Bożego Narodzenia bez gwiazdkowego spektaklu *Dziadka do orzechów*. Choć prapremiera tego arcydzieła odbyła się w petersburskim Teatrze Maryjskim w dniu wspomnienia Świętego Mikołaja, 6 grudnia 1892 roku (wg kalendarza juliańskiego), to tradycja gwiazdkowa towarzysząca temu baletowi powstała niemal pół wieku później, w Stanach Zjednoczonych. Choć dziś, inaczej niż za czasów Czajkowskiego, tytuł ten jest kierowany głównie do młodszych widzów, to nadal pozostaje jednym z najpoważniejszych arcydzieł klasycznego baletu oraz symbolem zimowej, świątecznej atmosfery.

Libretto oparto na opowiadaniu autorstwa Ernsta Theodora Amadeusa Hoffmanna (1776-1822), niemieckiego poety doby romantyzmu. Nosi ono tytuł *Dziadek do orzechów* i *Król myszy* i ukazuje baśniową historię małej Klary, która dostaje pod choinkę zabawkę – dziadka do orzechów, dzięki któremu wkracza w odrealniony świat baśni; w podróż, w której – jak to w baśni – wszystko może się zdarzyć.

To „baśń – jak skreśliła w *Przewodniku baletowym* Irena Turska – przedstawiająca w formie XIX-wiecznego *divertissement* świat dziecięcych zabaw i marzeń. Różnorodne tańce są luźno związane z rozwojem akcji. Zresztą akcja ta jest raczej wątła. Jej miejsce zajmuje plan choreograficzny, którego tanecznym punktem kulminacyjnym jest *grand pas de deux* w II akcie, nie mające nic wspólnego z przygodami Klary, która jest jedynie biernym widzem wydarzeń”.

Piotr Czajkowski (1840-1893) napisał do tego baletu przepiękną muzykę, o niezrównanym liryzmie, skrzącą się łatwo wpadającymi w ucho tematami i oryginalną



Dorothee Gilbert w roli Klary FOT. © AGATHE POUPENY / ONP, 2023



Dorothee Gilbert i Guillaume Diop w *Dziadku do orzechów* FOT. © AGATHE POUPENY / ONP, 2023



FOT. © SERGIUSZ HENTYKOWICZ / ONP, 2023



Dziadek do orzechów, Dorothee Gilbert (Klary) i Guillaume Diop (Książę) FOT. © AGATHE POUPENY / ONP, 2023

orkiestracją (harmonika szklana naśladowająca padający śnieg). Dodatkowym atrakcją jest udział dziecięcego chóru Śnieżynek, w który – w zapowiadającym spektaklu – wcieliła się najmłodsza adeptka pięknej sztuki tańca z Paryskiej Szkoły Baletowej.

Zatem zanim dyrektorzy przejrzą na oczy i dopuszczą „aresztowanego” *Dziadka do orzechów* na sceny polskich teatrów, musimy zadowolić się retransmisją za pośrednictwem mediów i X Muzy.

Spektakl zostanie zarejestrowany 19 grudnia 2023 roku w gmachu opery przy placu Bastylli (Opéra Bastille). Na scenie wystąpią Étoiles, Premiers Danseurs i Corps de Ballet Narodowej Opery Paryskiej. W roli Klary zobaczymy Dorothee Gilbert – tancerkę Baletu Opery Paryskiej od roku 2000; siedem lat później, po spektaklu *Dziadka do orzechów*, w którym po raz pierwszy tańczyła rolę Klary i otrzymała tytuł Étoile – najwyższy w Baletcie Opery Narodowej w Paryżu (odpowiednik „Prima Ballerina” w języku włoskim, czy „Pierwsza solistka” w języku polskim). W roli Dziadka/Księcia ujrzymy Guillaume’a Diopa – francuskiego tancerza baletowego, który w 2018 roku dołączył do Baletu Opery Paryskiej, a w bieżącym

roku otrzymał również tytuł – Danseur Étoile, stając się pierwszą czarnoskółą osobą, która osiągnęła tę najwyższą pozycję w dziejach paryskiego zespołu.

Orkiestra Opery Paryskiej wystąpi pod batutą Andrei Quinn. Ta wybitna brytyjska dyrygent specjalizująca się w balecie, była m.in. dyrektorem muzycznym Royal Ballet, New York City Ballet, Norrlands Operan

i London Philharmonic Youth Orchestra, a także dyrygentem gościnnym wielu zespołów baletowych na świecie, jak Balet Opery Paryskiej, Holenderski Balet Narodowy, Królewski Balet Szwedzki, Norweski Balet Narodowy i Los Angeles Ballet.

Czeka nas zatem ponad dwugodzinna uczta zarówno dla oka, jak i ucha!

ANDRZEJ SZTUMSKI ■

KINOMAESTRO.PL ZAPRASZA DO OPERY PARYSKIEJ

Dziadek do orzechów

BALET CZAJKOWSKIEGO W LEGENDARNEJ CHOREOGRAFII NURIEJEW

Choreografia
Rudolf Nurijew
na podstawie libretta
Mariusa Petipy i Lwa Iwanowa

Wyreżyser
Pierwsza tancerka, solista,
koryfeje i zespół baletowy
Paryskiej Opery Narodowej
Dirygent
Andrea Quinn

DATA I BILETY ZNAJDUJESZ NA
KINOMAESTRO.PL

EM
OPERA
DE PARIS

Czy w niebie tańczą? cz.III

FOT. © CANDID SHOTS

Jesień odchodzi otaczając nas kolorową aurą. Przychodzimy i odchodzimy. Całe życie dążymy do końca, aż spadnie ta ostatnia kartka...

Pamięć o zmarłych jest obowiązkiem nas wszystkich. Wspominamy tych, którzy odeszli, a w szczególności tych, którzy pozostawili po sobie coś trwałego, coś co służy rozwojowi następnym pokoleniom.

Ze szczególnym wzruszeniem wspominamy ludzi sztuki tańca, którzy pozostawili drogowskazy, według których współcześni podążają, przyczyniając się do dalszego rozwoju tej pięknej sztuki. Nie powinniśmy o nich zapominać i nie tylko w tych szczególnych listopadowych dniach. Kwiaty i lampki, które w tym czasie zapalimy na ich grobach, niech będą symbolem pamięci o ich dokonaniach ziemskich.



Halina Szmolcówna (1892-1939) – tancerka, pedagog. Ukończyła warszawską szkołę baletową. W 1911 roku wyjechała za granicę tańcząc w renomowanych zespołach baletowych USA, Anglii, Australii.

W roku 1919 powróciła do Warszawy. Jako primabalerina tańczyła w Teatrze Wielkim. W 1939 roku podczas niemieckiego nalotu lotniczego w Warszawie na moście Poniatowskiego, zmarła od poniesionych ran.



Irena Szymańska (1899-1981) – tancerka, pedagog. Ukończyła warszawską szkołę baletową. Jako I solistka Teatru Wielkiego tańczyła wiele znaczących ról. Od 1934 roku do wybuchu

wojny prowadziła własną Szkołę Tańca Artystycznego i Rytmiki. W latach: 1951-1956 była pedagogiem Państwowej Średniej Szkoły Baletowej w Warszawie. Wychowała wielu utalentowanych artystów baletu.



Tacjana Wysocka (1894-1970) – pedagog, choreograf. Założycielka szkoły baletowej w Warszawie oraz w Sosnowcu, z której powstała pierwsza powojenna szkoła baletowa w Bytomiu.

W 1947 roku rozpoczęła działalność publicystyczną i recenzencką. Była stypendystką rządu francuskiego Instytutu Estetyki przy Sorbonie. Autorka książki *Dzieje baletu*.

Piotr Zajlich (1884-1948) – baletmistrz, choreograf, pedagog. Jeden z najwybitniejszych twórców baletu polskiego w okresie międzywojennym. Solista Teatru Wielkiego w Warszawie,



tancerz Baletów Rosyjskich, tancerz i choreograf zespołu Anny Pawłowej. Baletmistrz Baletu Warszawskiego, dyrektor szkoły baletowej. Był wybitnym pedagogiem. Przyczynił się

do wychowania kolejnego pokolenia tancerzy i baletmistrzów.



Barbara Karczmarewicz (1910-1998) – tancerka, pedagog. Ukończyła warszawską szkołę baletową przy Teatrze Wielkim, w którym później tańczyła jako I solistka. Była

czołową baleriną Teatru Wielkiego w Poznaniu. Jako pedagog wychowała wielu utalentowanych tancerzy. Była baleriną

o wysokich walorach artystycznych, co podkreślali choreografowie z nią współpracujący.



Henryk Tomaszewski (1919-2001) – tancerz, mim, aktor, choreograf, reżyser. Ukończył studia aktorskie w Krakowie. Był tancerzem Baletu Parnella, solistą Opery we Wrocławiu. Założyciel Wrocławskiego Teatru Pantomimy. Laureat II nagrody w konkursie Pantomimy w ramach V światowego Festiwalu Studentów i Młodzieży. Poprzez swoją twórczość jego Teatr był znany na całym świecie.



Stanisław Miszczyk (1910-1976) – tancerz, choreograf, solista Teatru Polskiego w Katowicach, teatrów miejskich we Lwowie, Teatru Wielkiego w Warszawie, Baletu Polskiego.

Kierownik baletu Opery w Bytomiu, Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, Szczecinie i Łodzi. Kierownik baletu i choreograf Teatru Wielkiego w Warszawie. Jako choreograf zrealizował wiele baletów w Polsce i zagranicą.



Tadeusz Zlamal (1932-2018) – tancerz, malarz. Solista Opery w Warszawie, Opery Bałtyckiej, Stora Teatern w Geteborgu, gdzie tańczył główne

role. Malował obrazy w różnej technice o tematyce baletowej, które były prezentowane na wielu wystawach w Warszawie i Gdańsku podczas Festiwalu Dance of the World, na Łódzkich Spotkaniach Baletowych, w Paryżu, Brukseli i wielu krajach Europy, gdzie znalazły wielkie uznanie.



Zbigniew Kiliński (1919-1993) – tancerz, choreograf, pedagog. Ukończył szkołę baletową w Warszawie. Solista Baletu Parnella, I solista w Polskim Baletcie Reprezentacyjnym, utworzonym przez Leona Wójcikowskiego. W Teatrze Wielkim w Warszawie pracował jako tancerz i choreograf oraz jako choreograf w Zespole Pieśni i Tańca „Mazowsze”, kierownik artystyczny Państwowej Średniej Szkoły Baletowej w Warszawie.



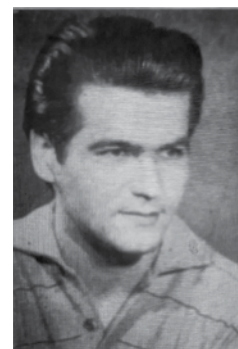
Jerzy Kapliński (1909-2003) – tancerz, pedagog, choreograf, mim, malarz. Po wyzwoleniu zakłada zespół baletowy w Krakowie, w którym tańczy soliści, którzy przeżyli pozogę wojenną.

Zespół zyskał wielkie uznanie. Tańczył w Baletcie Parnella, w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Kierownik baletu w Operze Śląskiej, choreograf Operetki Warszawskiej oraz Zespołu Pieśni i Tańca Warszawa. Zasłynął z choreografii pięknych miniatur baletowych.



Jerzy Gogół (1922-1996) – tancerz, choreograf, pedagog. Ukończył warszawską Szkołę baletową. Pracował z Janem Cieplińskim i Stanisławem Miszczykiem. Tancerz Teatru Wielkiego w Warszawie.

Ukończył studia na Wydziale Choreograficznym w moskiewskim GITIS-ie. Jako choreograf pracował w Operze Śląskiej i Poznańskiej, kierownik i baletmistrz w Operze Wrocławskiej. Był kierownikiem artystycznym w warszawskiej szkole baletowej.



Zygmunt Jasman (1933-1996) – tancerz, pedagog. Ukończył szkołę baletową w Gdańsku. I solista Opery i Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku, Pedagog Państwowej Szkoły Baletowej w Gdańsku. Tańczył partie solo-

we w filmach i programach Telewizji Polskiej. Pracował z Janiną Jarzynówną-Sobczak w najbardziej twórczym okresie choreograficznym tej artystki. Tańczył z niezapomnianą Alicją Boniuzsko współczesne choreografie.

BOŻENA KOCIOŁKOWSKA ■



Część I i II tego wspomnieniowego cyklu w poprzednich wydaniach „Ostoi”:
cz. I – nr 4/2021, s. 76n;
cz. II – nr 3-4/2022, s. 74n.

FOT. © BERND SCHEURER



Pochowany jak trzeba

Odświeżenie nagrobka dokonali członek rodziny – Marek Świżek, pełnomocnik prezesa Rady Ministrów – Wojciech Labuda, wicewojewoda lubelski – Robert Gmitruczuk, wójt gminy Chodel – Przemysław Kowalski oraz przedstawiciel Instytutu Pamięi Narodowej. Poświęcenia dokonał biskup lubelski Adam Bab, który wcześniej przewodniczył Mszy św. odprawionej w intencji zastrzelonego żołnierza Armii Krajowej. FOT. © TADEUSZ SAMONEK

Pięć lat temu zbezczeszczone w Chodlu, miasteczku na Lubelszczyźnie, doczesne szczątki żołnierza Karola Chlebickiego, obrońcy Warszawy we wrześniu '39 roku, a potem partyzanta Kedywu AK „Zapory”, awansowanego na dowódcę leśnego oddziału, zabitego przez Niemców w październiku 1943 roku.

Przez lata mogiła „Mściwego”, bo taki przyjął pseudonim, była czczona. Towarzysze broni, ludzie pamiętający młodego żołnierza, harcerze, uczniowie składali kwiaty, palili znicze, organizowano apele.

Ale pazerność i brak wstydu jednej osoby z rodziny, która koniecznie chciała w tym grobie spocząć, „bo pla-

ciła cmentarną opłatę”, za zgodą ówczesnych miejscowych władz – „pana (na województwie), wójta i plebana” doprowadziła do zbrodni pamięci. Grabarz, a zarazem miejscowy kościelny, pogłębił grób, wrzucił kości do wora i przykrył warstwą cementu. Zrobił miejsce. Mówił, że tak mu kazano. Władza lokalna, wojewódzka, ministerialna, policyjna, prokuratorska i sądowicza nie reagowała na protesty przez pięć lat.

Opisałem to jesienią 2021 roku w raporcie *Dwukroć wyklęty* zamieszczonym w „Ostoi” (nr 4/2021, s. 78-79). Potem przez dwa lata jeszcze trwała walka o naprawienie niegodziwości prowadzona

nieustępliwie przez kuzyna żołnierza pana Marka Świżka wspomaganego przez uczciwych krewnych i mieszkańców, którzy nigdy nie pogodzili się z dewastacją grobu. Było to przez długi czas walenie głową o mur o b o j ę t n o - ś c i i k r ę t a c t w a. Uczestniczyłem w tym. Mam steretę dokumentów kompromitujących ludzi podłych i tchórzliwych.



Wreszcie 11 października 2023 roku uroczyście pochowano powtórnie żołnierza w tym samym grobie. Licznie przybyli mieszkańcy Chodła, gminy i powiatu.

Patriotyczne miejscowe nauczycielki przygotowały i odbyły ważną lekcję wychowawczą zapewniając obecność kilkudziesięciu uczniów z tutejszych szkół. Była uroczysta Msza w przepięknym wielkim miejscowym kościele. Obecni byli dostojnicy Kurii, dowództwo wojskowego garnizonu, przedstawiciele władzy wojewódzkiej i lokalnej, terytorialsi, strażacy i leśnicy.

Odczytany został list od premiera rządu. Były przemówienia ku czci, salwa honorowa oddziału wojska, kwiaty i znicze. Pośmiertnie Karol Chlebicki został odznaczony przez Prezydenta Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Odsłonięto nowy pomnik nagrobny. Oprawa muzyczna w kościele i na cmentarzu była na wysokim poziomie.

Zamknięty został niechlubny rozdział, ale nie jestem jednak pewien czy wszyscy w miasteczku i gminie zrozumieli podłość czynu, który miał tu miejsce przed pięciu laty. Może z czasem to nastąpi.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI ■



FOT. © TADEUSZ SAMONEK



Na cześć „Mściwego” salwę honorową oddali żołnierze 19. Lubelskiej Brygady Zmechanizowanej FOT. © TADEUSZ SAMONEK



Na grobie delegacje złożyły wieńce i zapaliły znicze FOT. © TADEUSZ SAMONEK

Stanął po stronie Polski

Tak szybko odchodzą... – powtarzamy często za księdzem poetą. Ci starsi, często chorujący przez ostatnie lata życia są już mało znani, choć kiedyś ich nazwiska brzmiały głośno, bo byli aktywni i wpływowi.

Dziś walki pałacowe są coraz częstsze i niestety bolesne. Co rusz wybuchają nowe, coraz więcej też nowych i coraz więcej eksmitowanych. Wybory, walka o wpływy, a przede wszystkim oczywiście o pieniądze. Smutne to. Czy po roku 1989 było inaczej? Chyba jednak tak. Otworzyła się wówczas długo wyczekiwana szansa na suwerenność, na pozbycie służalczo uzależnionych. Niestety nie do końca tak się stało. Tak więc teraz warto przypominać ludzi szlachetnych i wierzących przez całe lata w sens zmian, gdy odchodzą.

Maciej Iłowiecki

Wiceszef Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Maciej Iłowiecki w trudnym nielegalnym ośmioletnim okresie zaboru władzy przez rodzimą juntę – był takim człowiekiem na pewno. Zmarł niedawno, właściwie w zapomnieniu, wspomniany tylko kilkoma nekrologami.

Iłowiecki był przez kilkadziesiąt lat bardzo poczytnym dziennikarzem popularyzującym, tłumaczącym sprawy nauki i nie tylko. Był pisarzem i społecznikiem. Lubianym powszechnie, bo po prostu był dobrze wychowanym, wykształconym i empatycznym człowiekiem. Łagodził obyczaje. Przystępnie tłumaczył zawilgości wiedzy prawdziwej i przybliżał rozumienie świata.

Poznałem go w 1961 roku jako student i początkujący reporter. Choć był o kilka lat starszym, uznawanym dziennikarzem, nie odmówił rozmowy, dyskusji z młodym.



FOT. © G. JAKUBOWSKI



FOT. © PDPA PROJEKT

Co tydzień w poczytnej wówczas „Polityce” drukował Iłowiecki felieton na ostatniej stronie, gdzie można było również czytać Waldorffa. Równocześnie wtedy pisali reportaże Kąkolewski, Kapuściński, były artykuły-felietony Aleksandra Małachowskiego, Karola Małcużyńskiego i Bohdana Tomaszewskiego i innych tuzów żurnalistyki. Iłowiecki też był w pierwszej lidze.

Gdy 13 grudnia czołgi wjechały na ulice Zarząd Główny SDP składał się z takich dziennikarzy jak Stefan Bratkowski, Maciej Iłowiecki, Maciej Wierzyński, Maciej Szumowski. Stowarzyszenie choć zdelegalizowane – przetrwało. Odzyskało ukradziony majątek i trwa... Kierownictwo zagrożone wówczas aresztowaniem ukrywało się, ale artykuły dziennikarzy działających w podziemiu ukazywały się, wydawano nawet kasety z radiowymi nagraniami. Były to komentarze, reportaże, eseje a nawet wiersze.

Trwało to dłużej niż do czasu, gdy władza odwołała oficjalnie stan wojenny. Ludzie „Solidarności” do kolaboracji nie przystąpili aż do roku 1989. Działali w całej Polsce podziemne oddziały dziennikarskie SDP, było nielegalnie, ale etycznie i ciekawie. W Warszawie autorytetami byli piszący zawodowo i aktywni poprzez kontakty osobiste i tajne spotkania właśnie Bratkowski, Iłowiecki, Kalabiński i Maziariski.

Wiesław Niewęglowski

Jednym z miejsc spotkań było Duszpasterstwo Środowisk Twórczych. Jego oddziały aktywne były w całej Polsce. I tu na wielkie uznanie i pamięć zasługuje inicjator tych poczynań, człowiek niesłychanej energii ks. prałat dr Wiesław Niewęglowski. Jakaż to była niezwykła energia, niezwykła empatia i osobisty urok. Ksiądz prałat, animator budowy kościoła środowiskowego na Placu Teatralnym,

FOT. © Z. KACZMAREK



cieszył się zaufaniem artystów i szeroko pojmowanych twórców kultury.

Ksiądz Wiesław też odszedł niedawno. Żegnany był skromnie. A przecież to właśnie on najpierw, gdy wybuchł stan wojenny, organizował spotkania w wieży kościoła Świętej Anny. Potem władza kościelna przeniosła go na Nowe Miasto do kościoła Najświętszej Marii Panny na skarpie warszawskiej. Wreszcie aktywny w okresie budowy świątyni środowiska twórczego na Placu *vis-à-vis* Teatru Wielkiego działał i przyciągał ludzi.

To on gromadził rzesze najbardziej popularnych aktorów i reżyserów teatralnych i filmowych, wybitnych muzyków – kompozytorów, śpiewaków i instrumentalistów, malarzy, rzeźbiarzy, grafików, scenografów, pisarzy, poetów i dziennikarzy. Na Msze organizowane przez lata w kościołach duszpasterstwa przychodziły setki ludzi ze środowisk artystycznych. Odprawiał je ks. Niewęglowski i współpracujący z nim kapłani. Na spotkaniach, panelach i zebrań dyskusyjnych odbywających się regularnie w kościołach i przykościelnych kaplicach, salach spotkań były tłumy.

Tak było. O tym należy pamiętać. W kościele na Nowym Mieście i w innych również, w podziemiach, utworzono magazyny z przywożonymi z całej Europy wielkimi tirami paczkami z żywnością, lekarstwami, środkami czystości i ubraniami, obuwem. W kościele ks. Wiesława Niewęglowskiego w przekazanym mu częściowo właśnie dla potrzeb duszpasterstwa także były magazyny ogromne, pamiętające jeszcze czasy, gdy mieścił się tu szpital Powstania Warszawskiego. Przyjeżdżało tirami bardzo dużo darów. Trzeba to było wyładowywać segregować i przekazywać dalej. Tym wszystkim dyrygował również ks. Niewęglowski. Oczywiście miał wielu pomocników. Byłem wraz z śp. Markiem Pawłowiczem odpowiedzialny za rozwożenie paczek na Mokotowie. Kierowały nami osoby pamiętające jeszcze Powstanie Warszawskie. To były w zasadzie nie polecenia a rozkazy, które wydawały starsze panie.

Ks. Wiesław cieszył się zaufaniem ludzi i władz kościelnych. Są dziesiątki zdjęć ze spotkań z przedstawicielami Episkopatu, a także z Ojcem Świętym. Są dokumenty, książki i pamiętkowe albumy. Można łatwo zobaczyć kto działał, kto znajdował ważną duchową pomoc. Kościół był wtedy ważnym miejscem. Spotykając się podtrzymywaliśmy wolę by trwać i wytrwać przez długie lata. Oczywiście na zachowanych zdjęciach łatwo jest rozpoznawać popularnych wtedy aktorów. Ale są tam i inni. Warto do tych wydawnictw zajrzeć, przypomnieć je – choćby wizyty w Watykanie i Ziemi Świętej. Nasz Papież był wtedy dla ludzi skrzywdzonych na wyciągnięcie ręki. Właśnie dzięki pośrednictwu m.in. duszpasterstw środowisk twórczych. Warszawskie też służyło ważną, konkretną bardzo pomocą. Ksiądz Niewęglowski zgromadził wokół siebie wielu ludzi – w tym dziennikarzy.

Halina Cenglowa

Jedną z bardzo aktywnych w duszpasterstwie warszawskim, negatywnie zweryfikowaną przez komisję ds. selekcji ludzi, orzekającą kto może pracować jako dziennikarz a kto nie – była nasza koleżanka Halina Cenglowa, publicystka i redaktorka prasowa z wieloletnim stażem. Halina zmarła w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia. Codziennie z Mokotowa na Nowe Miasto jeździła przez kilka lat pomagając – oczywiście społecznie – jak wszyscy ks. Niewęglowskiemu.

Pełniła rolę dyrektorki biura, sekretarki, opiekunki i pocieszycielki ludzi wymagających pomocy. Organizowała spotkania, ustawicznie telefonowała, informowała, zabiegała o pieniądze i organizowała grupowe wyjazdy na Jasną Górę i zagranicę. Była bardzo lubiana. Przychodziły do niej żony internowanych, koledzy i koleżanki szukający pomocy prawnej, doradztwa zdrowotnego i pocieszenia. Była wśród kilkunastu energicznych pań, kobiet cieszącym się wielkim autorytetem w środowisku. A pomagać trzeba było bardzo wielu rodzinom. Tylko na Mokotowie mieliśmy z Markiem Pawłowiczem listę kilkudziesięciu rodzin. I to wszystko długo trwało. Bardzo długo. Mijały miesiące a nawet lata. Od 13 grudnia 1981 roku aż po okres okrągłego stołu, po wiosnę 1989, i wreszcie radosny dzień 4 czerwca, gdy wydawało się, że „Solidarność” i ludzie prawi odnieśli definitywnie pierwsze wielkie zwycięstwo. Wydawało się. Jak było potem – wiemy.

Cześć pamięci tym wszystkim, którzy już odeszli i niestety często teraz odchodzą, a wtedy stanęli po stronie Polski. Wiedzieli, gdzie jest racja stanu i gdzie ich miejsce. Wiedzieli. Nikt im nie musiał tłumaczyć, gdzie jest dobro a gdzie zło. Stawali po stronie dobra. Teraz też wielu ludzi się nad tym zastanawia. I wielu na szczęście dochodzi do takich samych wniosków.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI ■

Pełni smutku zawiadamiamy, że 26 grudnia 2023 roku
zmarła nasza ukochana Mama, Babunia i Prababcia



Halina Cenglowa

Dziennikarka

Msza święta żałobna odbędzie się
w piątek 29 grudnia 2023 roku o godzinie 9.30,
w Kościele Świętego Szczepana przy ul. Św. Szczepana 1
(przy ulicy Narbutta), w Warszawie,
po której nastąpi ceremonia pogrzebowa
na cmentarzu w Wilanowie.

Joasia i Michał, Ania i Kevin z Malinką i Magdusią,

Flora i Wim z Clarą i Jasiem, Oliwia i Janek z Antosiem i Joasią

W tył zwrot

Uzarania dziejów człowiek rozumny sformułował trzy zasady, do których podążał: dobroć, prawda i piękno. Z nimi utożsamiał Pana Boga, a z ich przeciwieństwami szatana.

Z postulatu dobroci wzięła się moralność, a ta z kolei dała początek prawu. „Błędy i wypaczenia” w tej dziedzinie mają długą historię. Kaduk był niechlubnym przykładem naginania prawa. Unia Europejska powinna wystawić mu pomnik tuż obok postumentu Marksa.

Prawda jest warunkiem koniecznym rozwoju nauki. Naginanie jej prowadzi zawsze do błędu poznawczego i końca jej rozwoju w każdej dziedzinie. Za czasów Związku Sowieckiego była niejaka tow. Lepieszynska, która „udowodniła”, że potrafi ożywić

materię nieożywioną. Obecne, nieprzebrane rzesze „profesorów” nie muszą już niczego udowadniać, wystarczy im sam tytuł do nobilitacji. Postępu w nauce dokonują jeszcze amatorzy, pasjonaci, jeśli udaje im się obejść profesorskie blokady.

Najlepiej mają „artyści”. Porzucenie piękna na rzecz brzydoty zdaje się być oczywistą oczywistością. W malarstwie prekursorem tegoż był Picasso. Chciał sobie pewnie zakpić z głupich Francuzów, którzy kpiny nie zrozumieli i tak powstał Kubizm. Teraz piękno jest wypierane z każdej ze sztuk. Ładny kadr filmowy, to chyba raczej niedopatrzenie, a może chodzi o kontrast? Brzydka aktorka mamrocząca coś pod nosem, na tle pięknego krajobrazu może wydawać się jeszcze szpetniejsza.

Czy jako ludzkość jesteśmy w odwrocie od tych trzech zasad? Nie martwmy się. Przyjdzie sztuczna inteligencja i pozamiata po nas cały ten świat, w którym już dla ludzi miejsca nie będzie.

Z celi do Brukseli

Z celi do Brukseli i z Brukseli do celi, bo... *Pero! Pero!* bilans musi być na zero. Tak można najkrócej ująć mafijny układ zwany Unią Europejską. Immunitet chroni przestępcę i nikogo to nie gorszy (?). Branie łapówek od zaprzyjaźnionych gangsterów, to przywilej, żeby nie powiedzieć, że niekiedy obowiązek deputowanych. Co innego „zbrodnia”, jaką jest kliknięcie w nieprawomyślny link w Internecie. Taki „mord na praworządności” musi być przykładowo ukarany!

Partia rusko-pruska, po dojściu do władzy, obiecuje pozamykać w więzieniach wszystkich, a przynajmniej niektórych porządnych ludzi, pracujących na dobro Polski. Niemiecki owczarek został tu przysłany, by pilnował stada baranów i z tego zadania się wywiązał. Reszta od niego nie zależy. On ma tylko doprowadzić stado na rzeź.

Dawno temu, europejczy przybysze odkryli w Afryce plemię, które nie zdawało sobie sprawy z zależności między stosunkiem płciowym a narodzinami dziecka. Wyborcy głoszący przeciw

Prawu i Sprawiedliwości nie zauważyli, że każda inna opcja prowadzi do unicestwienia polskiej państwowości. Niektórzy publicyści taki brak spostrzegawczości próbują poniewczasie nadrabiać tysiącem słów. Mleko się rozlało i trzeba znaleźć nowy sposób na ocalenie, bowiem „nasi” demokratyczni wybrańcy zrobią wszystko, czego zażąda od nich Berlin w porozumieniu z Moskwą. Dla nich interes Polski nie istnieje.

Na zakończenie coś weselszego. Jak już mowa o odkrywaniu innych kultur, to miałam przyjemność uczestniczyć w spotkaniu z obieżyświatem promującym swoją książkę o różnych cywilizacjach. Na marginesie wspomniał, że pewnego dnia, na tajwańskim festiwalu zrobił szesnaście tysięcy zdjęć, z których wybrał najlepsze.

Jak widać, słowo „wybory” różne miewa znaczenie. Mnie wybranie najlepszych trzech zdjęć Kevina spośród szesnastu zajmuje niekiedy dużo czasu. Wybór z szesnastu tysięcy, to jak przysłowiowe szukanie ziarna w stogu siana. Po co to komu? Jak sobie radzić z taką kłęską urodzaju? Takie rozmyślenia, to nie dla Brukseli, ale może dla osadzonego w celi?

Artyści

Kiedy dowiedziałam się, że Nagrodę Nobla otrzymała książka pt. *Septologia*, a powodem splendoru, jakiego doznała publikacja, był brak kropek na 1 200 stronach. Pomyślałam sobie... hm, a gdybym tak zebrała do kupy to, co napisałam i pozbawiła kropek? U Nobla szans bym raczej nie miała, ale u Guinnessa – kto wie?

Pisanie, a nawet publikowanie książek nigdy wcześniej nie było tak tanie. Nagradzanie ich też nic prawie nie kosztuje, można więc nagradzać te najbardziej „słusznie ideologicznie”, albo „artystycznie”, bo i tak tego nikt nie zakwestionuje, bo nikt ich nie czyta.

Produkcja filmowa potaniała także, ale nie na tyle, żeby obyć się bez mecenatu państwa. Tu niestety, poprzedni rząd, nasz – prawicowy, sprawę oddał walkowerem. Minister Gliški zajął

się wyłącznie muzealnictwem, bo taką działalnością nikomu nie wchodził w drogę. Przeciwnie, nasi potencjalni agresorzy z Zachodu i ze Wschodu mogli się nawet czuć zadowoleni, że w razie napaści będą wiedzieli gdzie i co mogą zrabować.

„Artystom” kina i teatru lepiej było się nie narażać, bo a nóż poskarżą się jeszcze centrali w Brukseli. Co szkodzi cierpliwie znosić połajanki za niewystarczające milionowe dotacje „robione na głowę artystce”? Na teatrze, czy kinie nikt się przecież nie zna. A jeśli chodzi o seriale, to wystarczy opublikować opinię jednej, czy drugiej pani z magla (jeśli jeszcze ktoś pamięta, co to był magiel, co się tam robiło i o czym rozmawiało).

Jedynymi serialami na poziomie, wyprodukowanymi w XXI wieku, mogą poszczycić się Ukraińcy. Najwyraźniej rządzący tam oligarchowie nie są zainteresowani „dorównywaniu Zachodowi”. A może ten Zachód mają w kieszeni? Ot, tacy artyści biznesu.

MAŁGORZATA TODD ■



Mam Teatr



No, może z tym posiadaniem teatru na własność, o czym marzyłam, to z mojej strony gruba przesada. Nawet mój „Internetowy kabaret” (www.mtodd.pl) spektakli nie wystawia, bo i tak sejmu ostatniej kadencji, z jego antypolskim poczuciem humoru, nie przebiję.

Wróćmy jednak do prawdziwego teatru. Zostałam zaproszona na spektakl pt. *Randka w Bistro*. Wybrałam się głównie z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że niedaleko, a po drugie – telewizja serwuje prawie wyłącznie dialogi głupich z jeszcze głępszymi, co jest śmiertelnie nudne i obraźliwe dla inteligencji. Poszłam z przeświadczeniem, że skoro w polskich serialach aktorstwo stoi na zenująco niskim poziomie, to czego można się spodziewać po jakimś tam teatryku, o którego istnieniu wcześniej nawet nie słyszałam.

W miarę oglądania przedstawienia moje zdumienie i zachwyt rosły. Takiego maj-

Randka w Bistro w Kinie Elektronik... To była randka mocno niekameralna. Dlaczego? Bo cała sala Bistro niemalże pękała w szwach. Gratulujemy świetnego spektaklu, a aktorom: Marzannie Graff, Aleksandrowi Mikołajczakowi i Julii Pękalskiej naprawdę rewelacyjnego występu i niezwykle barwnych kreacji zagranych postaci. Było intrygująco i mega zabawnie, a zakończenie okazało się zaskakujące i absolutnie genialne. FOT. © FB/UDZOLIBORZ

stersztyku na scenie nie widziałam od lat. Kiedy aktorzy zwracali się do nieistniejącej pani Wandy, gdzieś na widowni, to niemal słyszałam jej riposty, które oczywiście nie padały, ale jakoś istniały. Po zakończeniu trudno mi było uwierzyć, że pani Marzanna Graff wcieliła się aż w pięć ról! Wszystkie zagrała znakomicie, podobnie jak jej sceniczny partner Aleksander Mikołajczak. Twórcom i aktorom z Mam Teatr należy się wielkie uznanie! *Chapeau bas!* Okazuje się, że sztuka teatralna jeszcze żyje, chociaż znalezienie dobrej, jak szukanie życia w kosmosie.

MAŁGORZATA TODD ■

□ **Mam Teatr** to teatr prywatny o charakterze autorskim działający od 2 czerwca 2005 roku. Założony został przez Aleksandra Mikołajczaka – aktora oraz Marzannę Graff – aktorkę i scenarzystkę.

Zespół kształtował się w trakcie tworzenia kolejnych spektakli i wzajemnego sprawdzania się przy wspólnej pracy. Obecnie ekipę współpracującą z Mam Teatr tworzą m.in. reżyserzy: Karol Stępkowski, Barbara Wiśniewska, Krzysztof Kaczmarek, Aldona Jankowska i Dorota Bierkowska; aktorska współpraca: Kasha Kaczmarek, Kasia Wincza, Julia Pękalska, Julian Kulpiński, Sammer Bartczak, Dorota Banasiak, Dominika Laura Ziółkowski, Anna Golab; muzyka: Danuta Błażejczyk, Bartek Piasecki, Damian Chmielewski i Aleksandra Potrykus; grafika: Karol Kierzyńska; kostiumy i akcesoria: Jolanta Wysocka, Dora Terpitz i Barbara Zyskowska; organizacja poza Polską: Jerzy Krysiak, Janina Hiziak, Tomasz Bujakowski i Maryla Kuźmicka; media społecznościowe: Katarzyna Nawrocka.

Mam Teatr posiada w repertuarze autorskie spektakle dramatyczne (*Działka* i *Błękitny Express*), komediowe (*Czas na Miłość*, *Pomoc sąsiedzka*, *Podwieczorek życia*, *Trudno uwierzyć*, *Poślubieni Pogubieni*, *Pozamiatane*, *Randka w Bistro*) i widowiska dla dzieci (*Zamieszanie* i *Zagubiony Mikołaj*). Realizuje również autorskie słuchowiska i audio-bajki. Spektakle grywane są w całej Polsce i na świecie; na stałe Mam Teatr współpracuje z Promem Kultury na Saskiej Kępie oraz scenami w Melbourne, Adelajdzie, Sydney i Perth.

AS ■



FOT. © URZĄD DZIELNICZY ŻOLIBÓRZ

Co powinniśmy wiedzieć o Zielonej Granicy?

FOT. © GIORGIO ZUCCHIATTI / LA BIENNALE DI VENEZIA, ASAC 2023

ELŻBIETA

■ KRÓLIKOWSKA-AVIS



Tylko w ciągu dwóch dni (13-14 września 2023) na włoską wyspę Lampedusa 110. łodziami przyплыło z Afryki 8 tysięcy imigrantów, o 2 tysiące więcej niż wynosi liczba jej stałych mieszkańców. Na hiszpańskie Wyspy Kanaryjskie – 2 400. Francja wprowadziła kontrolę na granicy z Włochami, a Niemcy zamknęły program dobrowolnej solidarności.

W tym samym czasie podczas 80. Festiwalu w Wenecji Agnieszka Holland za swój film *Zielona granica* na temat nielegalnych imigrantów z Białorusi do Polski otrzymała nagrodę Jury. Rozpoczął się triumfalny cykl pokazów na spędach filmowych w Nowym Jorku, Chicago, Rio de Janeiro i Zurichu. Obraz Holland jest jeszcze jednym dowodem rozjeżdżania się sztuki i kina, jego niewiarygodności i skrajnego upolitycznienia.

Przez 35 lat byłam krytykiem filmowym, pracującym dla tygodnika „Film” i miesięcznika „Kino”, czyli najlepszych. I było o czym pisać. Dziś kino, to z jednej strony hollywoodzkie „gry komputerowe” do lat 15., z drugiej – pretensjonalne, upolitycznione i nudne dramy, których nie da się oglądać. Proces ten trwa od około 25-30. lat; już w latach 90. obserwowało się tzw. dramaty społeczne, rozgrywane się w „białych” wtedy osiedlach komunalnych, obrazki z życia klasy robotniczej, której przedstawiciele nie przepracowali w życiu ani dnia, bo po co? Ówczesny margines gatunkowy rozrósł się, okrępeł, stał się „kolorowy” – Francuzi, Brytyjczycy,

Włosi, Niemcy dziś chętnie prezentują problemy swoich imigrantów – i zapelnili ekrany multipleksów i kin studyjnych. Podobnie z festiwalami. Pamiętam konwentykłe w Cannes, Wenecji czy w Londynie, „święta kina”, manifestacje sztuki, ale takiej, która nie traciła z oczu życia. Dziś i produkcja filmowa, i festiwale ostro skrzyły na lewo i stały się jeszcze jedną platformą lewicowej propagandy. I tak dziesięć lat temu zmieniałam zawód. Aby dziś zajmować się krytyką filmową, trzeba być albo idiotą, albo lewakiem.

Agnieszka Holland należy do filmowego establishmentu, z wszystkimi jego modami, szaleństwami i politycznymi zawirowaniami. Podczas odbierania nagrody Jury Festiwalu w Wenecji, kiedyś „witryny arcydzieł”, gładziła coś o obowiązku zrobienia tego filmu, bo „od 2014 roku blisko 60 tysięcy ludzi zginęło, próbując przedostać się do Europy. Sytuacja, przedstawiona w tym filmie – ciągnęła dalej – wciąż trwa. Ludzie ukrywają się w lesie, pozbawieni godności, praw człowieka, bezpieczeństwa. Nie dlatego, że nie mamy środków, aby im pomóc, ale dlatego, że nie chcemy tego robić”. Naturalnie, „są ludzie, którzy pomagają, w Europie i w Polsce”, i tu złożyła należne podziękowania „aktywistom”, a także organizacjom, o których nikt nie widział, ani nikt nie słyszał. Być może chodziło o tych dwóch aktywistów, którzy ganiłi się ze Strażą Graniczną po łąkach i polach, w nadziei „uratowania życia i godności” żołnierzom wojny hybrydowej Łukaszenki, sprowadzonych pod polsko-białoruską granicę?

Po tej wypowiedzi Holland czekałam tylko na wypuszczenie w niebo białych gołębi

pokoju i zbórkę pieniędzy na „aktywistów, pomagającym imigrantom odzyskać ich godność”, w liczbie trzech. W tej serii błagi i mijania się z prawdą nie padło ani słowo o akcjach tajnych służb rosyjskich i białoruskich, o pomocy dyktatorowi Łukaszence w sprowadzaniu ludzi z odległych krajów, wyposażaniu ich w narzędzia do cięcia drutu i bijatyki z polską Strażą Graniczną. A przecież film *Zielona Granica* został zrealizowany, kiedy już było wiadomo o „operacji Słuzka”, wszyscy wiedzieli, że jest to część wojny hybrydowej Rosji, w wykonaniu służb białoruskich; prowokacja, która miała doprowadzić – jeszcze przed napaścią Rosji na Ukrainę – do destabilizacji Polski, a – jeśli się uda – także innych krajów Unii Europejskiej.

Pani reżyser, a podobno i dziennikarze obecni na Festiwalu w Wenecji, ronili łzy nad „imigrantami”, próbującymi przedostać się do Strefy Schengen. A jak zostali przedstawieni mieszkańcy Podlasia? Przestraszeni wałęsającymi się grupami Afgańczyków czy Somalijszyków, napadającymi ludzi, kradnącymi żywność, odzież, dochodziło także do gwałtów? Jak zwykle Agnieszka Holland pokazuje swoich rodaków jako prymitywną tłuszcę, w której oczach widać żądzę krwi. Dokładnie jak polscy chłopci z powieści *Malowany ptak* Jerzego Kosińskiego, to ten sam trop, ta sama sztanca. Bardzo mi się podobał tytuł felietonu bodaj z „Do Rzeczy”, pokazujący całą absurdalność relacji: lokalsi – imigranci z Zielonej granicy – *Sadyści szaleją na Podlasiu*. Kafka, Beckett i Ionesco razem wzięci!

Któryś z konserwatywnych dziennikarzy pytał: „Czy Agnieszka Holland nie rozumie,

że kłamstwo ma swoje konsekwencje? Sponiewieranie obrońców polskich granic musi budzić oburzenie”. Otóż owszem, rozumie, tyle tylko, że gra w zupełnie inną grę. Ta pani reżyser od dekad robi to, przeciw czemu jako młoda osoba w 1968 roku, za czasów sowieckiej inwazji na Czechosłowację, protestowała – „filmy pod publiczność”. Tyle, że publiczka jest swoista. To lewicowe międzynarodowe festiwale, postępowe wielkie hollywoodzkie studia, progresywne media polskie i zagraniczne, wreszcie tzw. polska opozycja. To do niej Agnieszka Holland zwraca się i przemawia, potem te swoje akty strzeliste powtarza w „Newsweeku”, „Le Monde”, „Sueddeutsche Zeitung”, a krytycy filmowi w recenzjach jak świat długi i szeroki.

Ciekawe, w Internecie ocena *Zielonej granicy* wynosiła 2,5 punktów na 10 możliwych, a wypowiedziało się ponad 11 tysięcy odbiorców. Jeszcze przedwcześniej, robiąc dokumentację do tekstu, te oceny na Filmwebie widziałam, dziś już ich nie ma. Są za to recenzje Tomasza Raczka i Karoliny Korwin Piotrowskiej, którzy nie ukrywają swoich poglądów. Cenzura działa. Odkąd Agnieszka Holland znalazła się za granicą, jej filmy – być może prócz *Placu Waszyngtona*, *Calkowitego zaćmienia*, *Obywatela Jonesa* i *Tajemniczego ogrodu* czyli nie dotyczących Polski czy Kościoła – były antypolskie i antykościelne. Szyte na miarę jej widowni, światowej liberalnej lewicy.

Hollywood, CNN, BBC, „Guardian”, „Washington Post” to jej klientela. A PISF, który często współfinansował jej obrazy, to przecież także część entuzjastów tego kina. Tak więc, prócz tych nielicznych wyjątków, jest to twórczość antypolska – jak *Gorzkie żniwa* czy *Pokot* oraz antykościelna jak *Zabić księdza* czy *Trzeci cud*. Nawet dramat *Zabić księdza*, który opowiada o śmierci bł. księdza Jerzego Popiełuszki udało jej się przedstawić tak, jakby był

to konflikt moralny między duchownym katolickim a pracownikiem bezpieczeństwa. Co trzeba mieć w głowie i sercu, żeby zrealizować podobny film? *Trzeci cud* prezentuje Franka, księdza z Chicago, nazywanego „zabójcą cudów”, który z ramienia Kościoła sprawdza doniesienia o takich niezwykłych wydarzeniach. Za to w *Szarlatan*, który nawiązuje do tematu „niezwykłych zdolności Jana Mikolaszka, poddanych próbie w państwie totalitarnym”, sympatia pani reżyser jest najwidoczniej po jego stronie!

Z serii manifestacji niechęci do Polski i Polaków – *Pokot* i *Gorzkie żniwa* – wydają się najobrzydliwsze. Pierwszy pokazuje bohaterkę, oczywiście astrolog i wegetariankę, która – jak stwierdziła autorka książki, na której Holland oparła swój film, Olga Tokarczuk – „starsza kobieta walczy z patriarchalnym światem”. A ja myślę, że obie panie znowu walczą w tym filmie z Polakami i katolicyzmem. No i *Gorzkie żniwa*, gdzie Żydówka ucieka z transportu do obozu koncentracyjnego, ratuje ją polski chłop, który zmusza ją do uległości, torturuje etc., etc.

Od kilku dekad znana i zdolna pani reżyser atakuje polskość i prawdę, szczerze nienawidząc swojego kraju, który dał jej szansę na karierę, oraz rodaków. Twierdzi, być może nie bez powodu, „jestem córką łączniczki Powstania Warszawskiego i wnuczką ofiar Holokaustu”, ale bardzo rzadko wspomina o ojcu, znanym komunistycznym dziennikarzu, lata całe wspierającym reżim, który „popelniał błąd” i został przez ten reżim zniszczony. Ciekawe, że Agnieszka Holland podczas Praskiej Wiosny występowała przeciw „wojskom sprzymierzonym”, okupującym Pragę. Potem była zwolenniczką „kina moralnego niepokoju” w polskim kinie, trochę przeciw twórczości Wajdy, stan wojenny zastał ją bodaj w Paryżu, i już została na Zachodzie. I rozpoczęło się jej ideologiczne i zawodowe dojrzewanie.

Ciekawe, podobny proces odbył Radosław Sikorski, konserwatysta, kiedy poznał swoją żonę, prominentną postać dziennikarskiego establishmentu Wschodniego Wybrzeża. Przecież jeszcze w 1993 i 1995 roku w Londynie braliśmy udział w kampanii parlamentarnej i prezydenckiej na rzecz środowiska antykomunistów! A potem przeżył iluminacje i naprawił swój błąd młodości.

Agnieszka Holland nigdy konserwatystką nie była, ale w 1968 roku w czeskiej Pradze stała za ludźmi przeciw komunistycznemu reżimowi, a teraz to środowisko lewicowo-liberalne z komunistycznym rodowodem, wspiera.

Cóż, są tacy reżyserzy, którzy robią światowe kariery podpierając się ideologią. Nie tylko w Polsce – patrz: Agnieszka Holland, Małgorzata Szumowska, Wojciech Smarzowski i paru innych. W Wielkiej Brytanii to m.in. komunista Ken Loach i Mike Leigh, w Hiszpanii ciężko pracujący na rzecz środowisk LGBT Pedro Almodovar i wielu innych. Ich społeczne dramy z osiedli coucilowskich czy też mętne i średnio śmieszne „komedie gejowskie” promowane są przez media i lansowane na festiwalach, Cannes, Wenecja, Toronto i oczywiście *Sundance* Roberta Redforda. Dokładnie jak *Zielona granica* Agnieszki Holland. I kółko się zamyka.

Na koniec, czy minister Ziobro przesadził, mówiąc, że w III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy, pokazujące Polaków jako bandytów i morderców, i że dziś mają od tego Agnieszkę Holland? A jak pokazuje Polaków *Pokot*, *Gorzkie żniwa* czy *Zielona granica* Agnieszki Holland? Matka – łączniczka w Powstaniu Warszawskim? Pani Agnieszko, powinna się pani wstydzić. Oczywiście, gdyby lewica знаła wstyd.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS ■





FOT. © ALEXANDRA PALACE, LONDON

Darter też człowiek...

„*Niezależnie od tego, jak dobrymi darterami jesteście, każdy zgodzi się ze stwierdzeniem, że jest to dyscyplina odpowiednia dla każdego.*

Edward Pukin



LECH L. PRZYCHODZKI

Na Pomorzu Gdańskim i Warmii Edward Pukin zyskał popularność powieściowym tryptykiem, na który złożyły się: *Kanalie*, *Lęgowisko zła* i *Piaskownica*. Opowieść przypomina niedawne czasy, kiedy prywatyzowane firmy przejmowały z kolei lokalne mafie, na północy RP polsko-rosyjskie (Obwód Kaliningradzki), powiązane ściśle z tzw.

wymiarem sprawiedliwości. Niekiedy też z centralami służb (*Piaskownica*). W starciu z nimi bohaterowie nie mają szans, acz walczą. Jedyne, co im wkrótce pozostaje, to próba odsłonięcia kulis rodzimego biznesu poprzez twórczość prozatorską, bo na razie jeszcze za „fikcję literacką” żaden Wysoki Sąd autorów nie zamyka. A lokalni czytelnicy Pukina zazwyczaj bez pudła rozpoznają postacie realnych prezesów, prokuratorów, komisarzy...

Do biurokratycznych oficjeli pisarz wciąż szczęścia nie ma. Nie tak dawno (2022) prezydent Gdańska, Aleksandra Dulikiewicz wyrzuciła bowiem macierzysty oddział ZLP Edwarda Pukina z zajmowanych od półwiecza pomieszczeń przy Mariackiej. Do dialogu oko w oko: przedstawiciel ZLP – p. Dulikiewicz nigdy nie doszło. „Rozmawiano” przez osoby trzecie. Miejsce wszak wymarzone na potrzeby biznesu – a pisarze? Miasto Gdańsk lubi kulturę, choć niekoniecznie akurat polską... I to byłby temat na czwarty tom cyklu elbląskiego prozaika.

A jednak Pukin zaskoczył i czytelników, i krytykę. Kolejna książka opowiada bowiem o... sporcie (*Awangarda darterskiej Polski*, Wydawnictwo Ridero, Elbląg 2023, ss. 234). „Wyobrażacie sobie sytuację, w której na scenie zawodnik odpala papierosa, bierze łyk piwa i zabiera się do rzutu? Ja – tak, bo właśnie tak wyglądały lata 80. w darcie. [...] Wynika to z genezy samego sportu, jak i całej pubowej otoczki. [...] Aby wyzbyć się pubowego wizerunku i PDC i WDF już dawno zakazały spożywania alkoholu na scenie. Zawodnicy mają dostęp jedynie do wody mineralnej. Mają jednak swobodę co do spożywania alkoholu tuż przed samym meczem i w trakcie przerw” (s. 135).

Autor nie kryje, iż jest czynnym darterem i chciałby swoją publikacją pomóc tym środowiskom w Polsce, które skutecznie unikają czapy księgowych, działaczy i sponsorów (choć ci ostatni zawsze mogą się przydać).

Początki darta to prawdopodobnie średniowieczne zawody brytyjskich łuczników, strzelających najpierw do dna przewróconej beczki po winie, potem do „plastrów” ściętych pni drzew. Słoję pełniły role podziałek. Ale i drzewa były różne (głównie wiąz i topola) i poszczególne regiony wprowadzały swoje rozkłady punktowe. Strzały stały się krótsze, potem zaś całkowicie wyparły je lotki.

„Osobą, której zawdzięczamy obecny rozkład punktowy na polach tarczy był stolarz Brian Gamlin, który pod koniec XIX wieku najprawdopodobniej trudnił się pracą showmana w objazdowym cyrku. [...] Kolejnym ważnym wynalazkiem w świecie darta były papierowe, zaginane piórka, które opatentowali Amerykanie. Mniej więcej w tym samym czasie oficjalnie zaakceptowano numerację, wymyśloną przez niezjącego już wtedy Gamlina.



Gra w rzutki w londyńskim pubie, 1974 FOT. © KLAUS D. PETER / WIEHL

Standaryzacji uległa też odległość pomiędzy tarczą a linią rzutu, która początkowo była równa długości trzech skrzynek piwa Hockney & Sons, a kiedy producent zmienił rozmiar produkowanych skrzyń, odległość odmierzało się poprzez ustawienie koło siebie czterech takich opakowań” (s. 32-33).

Do Europy kontynentalnej dart trafił podczas I wojny – angielscy, a potem i inni żołnierze rekompensowali nim sobie traumę frontu.

Popularność dyscypliny faluje, acz traktowana jest już ona jak wszystkie inne. Alkohol na razie pozostał, inne wspomagacze już nie. „Testy na obecność narkotyków są w darcie obowiązkowe od 2006 roku. Wytyczne, przyjęte przez darterskie federacje, bazują na regulacjach Światowej Agencji Antydopingowej i liście substancji przez nią zakazanych. Pierwszym zawodnikiem, który nie przeszedł testu na obecność narkotyków, był Robbie Green – Anglik, który w 2006 roku doszedł do ćwierćfinału UK Open. [...] Organem odpowiedzialnym za przeprowadzenie kontroli jest DRA. Darts Regulation Authority nadzoruje zachowanie zawodników, nakłada kary finansowe oraz zawiesza w grze i odpowiada za ich egzekwowanie” (s. 133n).

W zamierzeniu Pukina powstać miał rodzaj rocznika/almanachu ściśle środowiskowego. W miarę jednak rozwoju dialogu (to nie władze Gdańska, darterzy ze sobą rozmawiają) z zawodnikami, autor włączył do powstającej książki nie tylko ich zdjęcia i krótkie biogramy oraz wyniki ostatnich zawodów wyższego darterskiego szczebla, ale też opowieści i anegdoty sportowców. Miejscami mamy do czynienia ze zgoła literacką narracją.

Elbląski, acz z Książa rodem, pisarz i zawodnik potrafi zainteresować nie związanego z darcem czytelnika choćby specyfiką... schorzeń darterów.

„Zawodowi sportowcy często borykają się ze schorzeniami, które nie są znane



szerszej publiczności. Jednym z nich jest „dartitis”, czyli choroba pojawiająca się wśród zawodników grających w darta, na którą aktualnie nie ma żadnego potwierzonego sposobu leczenia. Dartitis zniszczył już kilka świetnie zapowiadających się karier. Tajemnicze schorzenie potrafi dopaść zarówno amatorów, jak i byłych mistrzów świata. Według lekarzy dartitis to przypadłość o podłożu psychologicznym, związana z dystonią, a więc chorobą układu nerwowego, prowadzącą do mimowolnego wykonywania nienaturalnych ruchów. W przypadku darterów mowa o zaburzeniach ruchowych, które powodują m.in. skurcze mięśni oraz silne drżenie. Mówiąc nieco prostszym językiem, chodzi o utratę kontroli nad rzucaną lotką, a w cięższych przypadkach, o całkowitą niemoc przy próbie jej wypuszczenia w stronę tarczy” (s. 139n).

Ze stron książki przebija stosunek Pukina do zmian w ulubionej dyscyplinie: „awangarda to [...] tendencja do zmiany istniejącego stanu, to także poszukiwanie nowych trendów, nie zawsze opartych na dotychczasowych principiach, to możliwość stworzenia niekonwencjonalnej podstawy organizacyjnej i powołania takiej struktury, w której odnajdą się,

jako forpocza nowego darta [...]. Po dłuższym zastoju, w odniesieniu do dyscypliny pączkującej w Polsce, jaką stał się dart – nastąpiło swoiste, twórczo totalne... ożywienie. I, co zastanawiające, nie jest ono «dziełem» wiodącej organizacji w kraju – Polskiej Organizacji Darta – a wręcz odwrotnie, wynika z ruchów oddolnych, które tworzą się w kraju na własną rękę. Jak na razie różne środowiska darterskie poszukują najlepszych dla siebie rozwiązań, które – jak można domniemywać – wcześniej czy później wpłyną na ogół systemu organizacyjnego w polskim darcie. Na razie trwa (w czasie, gdy piszę tę publikację) wolna amerykanka i zasada «każdy sobie rzepkę skrobie»” (s. 7).

Możliwe, ale im więcej propozycji, tym większe pole do działania. Z tymczasowego chaosu sami darterzy wyłonią taką formułę sportu, która pogodzi różne trendy.

Gdyż jak dotąd ważniejsze w polskim darcie są nie zarabiane miliony (których nie ma) a nawiązywane przyjaźnie i możliwość bezpośredniego, nie poprzez Internet, kontaktu z „innymi”. Ten kierunek rozwoju dyscypliny pisarz wyraźnie preferuje. Choć, czy świat słucha zdania humanistów?

LECH L. PRZYCHODZKI ■



Brązowa drużyna ostatnich mistrzostw Polski w darcie

FOT. ARCHIWUM EDWARDA PUKINA



Puchar dla darterów z Elbląga, Żnin 2021; na pierwszym planie autor książki

FOT. ARCHIWUM EDWARDA PUKINA



Są przywileje, ale są i obowiązki marszałka

FOT. © PIOTR TRACZ / KANCELARIA SEJMU RP

ELŻBIETA
KRÓLIKOWSKA-AVIS



Obok znanego porzekadła „jak nie wiesz, co powiedzieć, mów prawdę”, jest inne, równie sensowne: nie wiesz jak postąpić, postępuj zgodnie z prawem. Niestety, nowy Sejm oraz Senat nie skorzystali z tej okazji i sala plenarna wygląda jak spotkanie gangu z Harlemu i uczniów z porządnej *high school* z dolnego Manhattanu.

Z jednej strony próby porozumienia się w imię wspólnego dobra okolicy, z drugiej – krzyki, groźby, próby zastraszenia. Dwie kultury, dwa języki, kompromis i rewanżyzm, myślenie kategoriami dobra narodowego i partyjniactwa. Kilka lat temu mieliśmy w Sejmie program kabaretowy „Pucz” – dziś *reality show*: „Z seminarium przez Wiertniczą na Wiejską”, jest wesoło. Ale wciąż aktualne pozostaje pytanie: gdzie w tym wszystkim miejsce na interes państwa i obywateli, Polski i Polaków?

Najpierw to nieszczęsne wystąpienie nowego, choć rotacyjnego, marszałka Sejmu, *spitting image*, zwierciadlane odbicie osobowości samego Szymona Hołowni: niedojrzały emocjonalnie publicysta i ponad miarę ambitny narcyz. Czekałam tylko, kiedy roześmieje się perliście lub zacznie tonąć we łzach. Najbardziej zdumiało mnie nie to, że gubił się w gąszczu sejmowych

przepisów, ale to, że on naprawdę nie zdaje sobie sprawy ze związków przyczynowo-skutkowych swojego postępowania oraz z braku koherencji między słowami i czynami. Czyli, że mówiąc prosto, „słowa sobie, a czyny sobie”. Z jednej strony, przekaz werbalny: „od dziś Sejm działa w inny sposób, naszym najważniejszym imperatywem będzie demokracja i Konstytucja”. A zaraz potem fakty – głosowanie za utraceniem kandydatki PiS, Elżbiety Witek, do Sejmu oraz Marka Pęka do Senatu – choć to powinien być automat.

Współudział w narodzinach złego precedensu, czyli pomoc w rajdzie Włodzimierza Karpińskiego „z celi do Brukseli”, bo to przecież Hołownia podpisał dokumentację pozwalającą na zwolnienie z aresztu podejrzanego o korupcję polityka. To w obecności nowego, a niepozobieranego marszałka koalicja domaga się rządzenia przy pomocy nie ustaw, lecz uchwał, czyli demolki istniejącego prawa, Borys Budka zapowiedział reformę wymiaru sprawiedliwości od „usunięcia trzech sędziów – dublerów”, a Nowa, ha, ha! Lewica, „ścigania z urzędu za mowę nienawiści wobec osób ze środowiska LGBT”, choć wszyscy wiedzą, że największą grupą targetową hejterów są dziś katolicy oraz posłowie i senatorowie PiS.

No i już anegdotyczne sejmowe „zamrażarka” i „barierki”. Przecież bariery zostały postawione po pierwsze, po to, aby zapew-

nić spokój pracy parlamentu przed chuliganami z KOD czy chuligankami ze Strajku Kobiet. Jednak, co najważniejsze, takie barierki powinny zostać zainstalowane dookoła obiektu lata temu i pozostawione w spokoju. Bo nie ma w państwach demokratycznych – gdzie wolność marszów i ulicznych zgromadzeń – parlamentu, gdzie nie byłoby barierek, które chroniłyby przed wdzieraniem się rozwścieżonego często tłumu na teren kompleksu. W brytyjskim Westminster Palace jest to nieuzbrojona i uzbrojona – od ataku islamskiego terrorysty na funkcjonariusza kilka lat temu – policja, kamery CCTV, *badges*, czyli identyfikatory, zezwalające gościom wchodzić do konkretnego sektora, ustrojstwo, które na wypadek ataku blokuje wjazd do budynku – podobne widziałam przed ambasadą amerykańską w Warszawie – no i mnóstwo barierek!

Komunikowanie z dumą „likwidujemy barierki, bo jesteśmy parlamentem demokratycznym i otwartym na ludzi”, jest świadectwem ignorancji, jakiejś niedojrzałości i infantylizmu, no i narazaniem kilku tysięcy ludzi, pracujących na Wiejskiej, na ryzyko. A „zamrażarka”? Nie znam takiego tempa legislacji, aby niepotrzebna była „zamrażarka”, czyli miejsce, gdzie przechowuje się projekty ustaw czy petycje obywatelskie! Po pierwsze, to niemożliwe, aby przeciągnąć przez Sejm taką liczbę projektów, jaką się produkuje dziennie,

a po drugie, jest jeszcze coś, co nazywa się „a good timing”, właściwa pora na procedowanie konkretnej ustawy. Bywa, że Sejm debatuje nad propozycją, ta zostaje przekazana z powrotem do komisji, potem łąduje w „zamrażarce” i czeka na swój czas.

A tymczasem mamy demonstracyjny triumfalizm wygłodniałych władzy i pieniędzy polityków opozycji, zachwyconego swoją elokwencją – co nie oznacza ani mądrości, ani inteligencji – marszałka, rozchodzenie się deklaracji przedwyborczych oraz czynów powyborczych, oraz – to *signum temporis* dzisiejszych czasów – wraca PO i Lewica, wracają aferzyści. Hasłem tej kadencji może być „z celi do Brukseli” Włodzimierza Karpińskiego, albo, za przeproszeniem, „z ziemi włoskiej do polskiej” Giertycha, nie zapominajmy o Grodzkim, Gawłowskim i Czarzastym – niechlubnym bohaterze „afery Rywina” – który, jeśli mu się uda przeczekać dwa lata, będzie mógł z wysokości fotela marszałkowskiego pouczać Zbigniewa Ziobrę, który w 2001 roku udowodnił mu udział w jednej z największych afer korupcyjnych III Rzeczypospolitej, co to jest prawo.

A teraz, w trosce o polskie życie parlamentarne, społeczne, kilka porad eksperckich, które być może otworzą świeżo upieczonemu marszałkowi oczy na jego powinności. Spójrzmy na demokracje anglosaskie i polityków, którzy kandydują do Izby Gmin czy Izby Reprezentantów. To nie mogą być ludzie, nad którymi ciężą zarzuty prokuratorskie! Tacy delikwenci powinni być przez władze partii, którą zamierzają reprezentować, zatrzymani na etapie startowym! Chodzi o wiarygodność partii dla jej elektoratu. Bo który świadomy swoich praw i interesów wyborca będzie chciał

głosować na kandydata, po którego sięga właśnie ręka prawa? Jedynie wyborca KO, Trzeciej Drogi oraz Nowej Lewicy, który jeszcze nie wie, że to władza jest dla obywateli, a nie obywatele dla rozbisurmanionej władzy, której oni mają wybaczać wszystkie kłamstwa i występki.

Podobnie dzieje się w Izbie Gmin, kiedy poseł podczas pełnienia mandatu, złamie prawo lub dobre obyczaje. Władze ugrupowania, *whip* – jednoosobowa komisja etyki partyjnej, Mr Speaker, czyli marszałek izby niższej, reagują zaraz po ujawnieniu, zwykle przez media, naruszeń prawa. Nikt nie broni delikwenta, zwykle on sam zawiesza swój mandat, lub zostaje go pozbawiony, aż do wyjaśnienia sytuacji. Nikt nie twierdzi „poczekajmy do wyroku sądu”, bo sprawa może trwać latami – jak Grodzkiego, Giertycha czy Gawłowskiego – a w parlamencie nie ma miejsca nawet dla potencjalnych kryminalistów!

W Wielkiej Brytanii tak było w przypadku Jonathana Aitkena (korupcja), słynnego pisarza i posła Jeffrey Archera, Petera Mandelsona (korupcja), Tima Yeo (związek pozamałżeński) oraz 39. posłów, oskarżonych o nieprawidłowości w wydawaniu funduszy poselskich w 2009 roku. Kiedy sprawa została nagłośniona, liderzy partyjni konserwatystów, laburzystów i liberalnych demokratów zawarli z podejrzanymi umowę – albo rezygnujesz z członkostwa partii dziś, albo nie stajesz do wyborów parlamentarnych za pół roku. Parlament, to miejsce dla najlepszych!

Nowy pan marszałek wciąż wspomina o oczyszczeniu i demokratyzacji Sejmu, więc dlaczego pozwala na obrażanie posłów Prawa i Sprawiedliwości?! Te wszystkie: „pisowskiego raka trzeba wyczyścić

do końca”, „pisowska szarańcza”, „nic nie rozumiesz, baranie”... Przecież na terenie sali sejmowej posłów dyscyplinuje marszałek, który ma pod ręką stosowne przepisy i sięga po nie, kiedy należy. Na pewno takie są. W Izbie Gmin, kiedy dochodzi do uchynienia przepisów, Mr Speaker ostrzega: „proszę wycofać te słowa”, i jeżeli tak się stanie, sprawa się kończy. Jeśli nie, jest drugi etap: „do do it”, „zrób to”, i ostatni etap: „musisz to zrobić”. Jeśli poseł nie przeprosi za przewinienie, zostaje z miejsca zawieszony, do skutku. Od razu! Nie czeka się miesiącami, aż komisja ds. etyki zbierze się i zadecyduje, że... nic się nie stało. Jeśli pan marszałek istotnie zamierza pozostawić po sobie jakiś dobry ślad, na co czeka? Konstytucja jest, przepisy wewnętrzne Sejmu są, kindersztuba? No, tu mamy problem – często po kolejnym skandalicznym wystąpieniu posła KO, Trzeciej Drogi czy Nowej Lewicy zadają sobie pytanie: gdzie, w jakim domu oni się wychowywali?!

Jeszcze jedna ważna sprawa, Mr Speaker czyli gospodarz Izby Gmin sam także nie pozostaje ponad prawem. Istnieją procedury, które regulują jego zachowanie podczas obrad. Przede wszystkim, na czas sprawowania funkcji – jako gospodarz Izby, na której obraduje kilka ugrupowań – musi zrezygnować z członkostwa swojej partii. A potem bardzo dba, żeby nie zostać posądzonym o stronniczość! I jeśli, tak jak w przypadku Michaela Martina, dojdzie do zaniedbania procedur, przeprasza, i odchodzi. Czy pan marszałek Hołownia zawiesił swoje członkostwo w Trzeciej Drodze? Właśnie. Jak Pan widzi, jeszcze wiele wiedzy musi Pan sobie przyswoić, żeby rozpocząć tyle już razy zapowiadaną reformę Sejmu.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS ■



FOT. © LUKASZ BŁASIKIEWICZ / KANCELARIA SEJMU RP

25-lecie Towarzystwa im. Hipolita Cegielskiego

Towarzystwo im. Hipolita Cegielskiego doskonale wypełnia swoją misję, kierując się zasadą iż praca organiczna stanowi podstawę rozwoju działalności kulturalnej, gospodarczej, edukacyjnej, a także i duchowej polskiego społeczeństwa – słowa te widnieją na medalu Senatu RP, który 26 września br. na ręce dr. Mariana Króla, prezydenta THC, wręczył senator Adam Szejnfeld. Wydarzenie odbyło się podczas Wielkiej Gali Koncertowej 25-lecia Towarzystwa im. Hipolita Cegielskiego, a jego muzycznym ukoronowaniem było prawykonanie kantaty *Kalejdoskop źródła* z muzyką Aliny Kubik i słowami Dominika Górnego.

Podczas Gali zaprezentowano muzykę filmową, patriotyczną i poważną. Wśród wykonawców znaleźli się m.in. Marzenna Michałowska – sopran, Przemysław Waskowski – tenor, Wojciech Kowalski – baryton, Maciej Boberek – bas, Klaudia Gałka – saksofon sopranowy i Franciszek Puk – saksofon altowy. Zaśpiewał także Chór męski „Arion”. Artystom towarzyszyła Orkiestra Kameralna Państwowej Szkoły Muzycznej II st. „Poznańskie Smyczki” pod dyrekcją Doriana Pawelczaka. Chór i orkiestrę przygotował maestro Jacek Pawelczak. Artystyczną kłamrą Gali stały się: *Hymn Polski* i pieśń *Labor Omnia Vincit* – hymn Towarzystwa im. Hipolita Cegielskiego.

Artystów oklaskiwali Wielkopolanie, senatorowie oraz goście zza granicy, m.in. przedstawiciele Polonii z Australii i Kanady. Wśród licznych uczestników uroczystości znajdowali się członkowie i sympatycy Towarzystwa, w tym przedstawiciele władz samorządowych oraz środowisk kulturalnych, kombatanckich i wyróżnionych działaczy pracy organicznej. Nie zabrakło również ważnego dla Wielkopolski – Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918-1919, na czele z Wawrzyńcem Wierzejewskim, prezesem Oddziału Wielkopolskiego.



FOT. © HIERONIM DYMALSKI

Organizatorami Gali była Akademia Muzyczna im. Ignacego J. Paderewskiego w Poznaniu i Towarzystwo im. Hipolita Cegielskiego. Patronat honorowy nad

Towarzystwo im. Henryka Cegielskiego, powstałe 4 grudnia 1998 roku w Poznaniu, w swoim programie i działaniu odwołuje się do postaci znakomitego prekursora cywilizacyjnego awansu Wielkopolski i Polski, Hipolita Cegielskiego (1813-1868). Towarzystwo jest obywatelską organizacją środowiskową, skupiająca w swych szeregach naukowców, przedstawicieli sfery gospodarczej, ludzi kultury, sztuki i mediów; reprezentujących wspólne wartości patriotyczne, poszanowania tradycji narodowych, wartości moralne, wartości pracy organicznej.

Kontynuując idee swego Patrona – Towarzystwo działa w najszerszym zakresie na rzecz utrwalania i rozwijania współczesnego pozytywizmu wzbogacając jego treść o nowe pojęcia i kreując nowy wzorzec społeczeństwa obywatelskiego. Ważnym nurtem działalności Towarzystwa jest popularyzowanie lokalnych inicjatyw gospodarczych, społecznych, edukacyjnych i proekologicznych. Wspólnie z podmiotami gospodarczymi, takimi jak izby gospodarcze, zrzeszenia, związki, fundacje, stowarzyszenia, samorządy, banki itp., realizuje projekty pro społeczne, konkursy oraz promocję ludzi i ich dokonań.

Wyrazem tego jest przyznawanie przez Towarzystwo Hipolita Cegielskiego statetek Złotego Hipolita oraz Honorowego Hipolita, a także medali: „Labor Omnia Vincit” i „Verba Docent – Exempla Trahunt” oraz Medalii Młodego Pozytywisty. Towarzystwo organizuje również Konsumenckie Konkursy Jakości Produktów i Usług o certyfikat godła „Najlepsze w Polsce – The Best in Poland”.

IRENEUSZ ST. BRUSKI, THC ■



FOT. © RYSZARD GALOWSKI

obchodami objęli: Prymas Polski Arcybiskup Gnieźnieński, Arcybiskup Metropolita Poznański, Wojewoda Wielkopolski, Marszałek Województwa Wielkopolskiego, Starosta Powiatu Poznańskiego i Prezydent Miasta Poznania. Czasopismo „Ostoja. Sztuka • Literatura • Społeczeństwo” objęło wydarzenie patronatem medialnym.



FOT. © RYSZARD GALOWSKI

Zawirowania na finiszu roku, z nadzieją na lepsze

Czasów się nie wybiera, w nich się po prostu żyje. Nadal trwała i krwawiła swą przewlekłością wojna na Ukrainie a przybiera na sile kolejne zarzewie poważnego konfliktu zbrojnego na Bliskim Wschodzie. Litwa i Polska, usiłując powstrzymać dalszy napływ nielegalnych uchodźców, pozostawały nadal w sferze stałych prowokacji na granicy z Białorusią, natomiast z Kremla płynęły pogroźki skierowane do naszych krajów.

W Polsce jak nigdy brutalnie przebiegała kampania wyborcza do parlamentu. O ile 600 tysięcy rodaków zamieszkałych za granicą oddało swój głos podczas głosowania, to Polacy na Litwie, mogący posiadać jedynie obywatelstwo tego kraju, nie uczestniczyli w tych wyborach. To nie oznacza, że nie mieli oni własnego zdania na ich temat. Nie da się ukryć, większość z nich była mocno zaniepokojona taką sytuacją w Macierzy – jak niektórzy patetycznie i nieco po staropolsku zwą Polskę – życzyła i nadal jej życzy szybkiej normalizacji, w trudnej ogólnie sytuacji geopolitycznej na wschodnich rubieżach Unii Europejskiej.

Politycy litewscy już w trakcie tej kampanii wyborczej w Polsce oświadczyli, że niezależnie od tego, kto się znajdzie w nowym rządzie, kurs polityczny, idący na dalsze zbliżenie Litwy z jej zachodnim sąsiadem, będzie konsekwentnie kontynuowany. Trzeba raz jeszcze przypomnieć, iż w obliczu zagrożeń w regionie relacje polsko-litewskie jak nigdy się zacieśniły, co oczywiście nie wyklucza kwestii, które pozostają do załatwienia, głównie w odniesieniu do mniejszości polskiej na Litwie.

Do problemów minionego roku należy dodać inflację, wynikającą z przesłanek tudzież obiektywnych, co i z niewłaściwego zarządzania, nieskuteczności mechanizmów antyinflacyjnych. Odczuliśmy to już mocno na własnej skórze, odkładając wiele planów na czas nieokreślony, uszczupliły się znacznie nasze oszczędności życia.

Na ten stan niewątpliwie wpływa ogólna sytuacja w Europie oraz na świecie, a i w perspektywie należy się liczyć z większymi kosztami prowadzonych wojen, przeznaczaniem coraz większych budżetów na uzbrojenie i własną obronę, z migracją spowodowaną też coraz bardziej odczuwalnymi zmianami klimatycznymi. Czy w roku 2024 możemy się spodziewać poprawy sytuacji?

Pozostaje nadzieja i wiara zakrawająca na cud. Nie ma wyjścia – łatwo nie będzie, pozostaje nastawić się nie tylko na wzmoczoną pracę z zaciskaniem pasa, ale i na własną cierpliwość, na konsolidację społeczną, która połączy podzielonych obywateli. Jednakże czy tego wszystkiego wystarczy bez skutecznych

reform, mechanizmów pozwalających nam przetrwać? Zarówno na Litwie, jak i w Polsce.

Powstaje pytanie: jak w takich uwarunkowaniach będzie funkcjonować zaplecze społeczne, także nauka, kultura? O ile przedsięwzięcia kulturalne w skali państwowej z pewnością będą się odbywać, o ile imprezy masowe dadzą też sobie radę, szczególnie te zarabiające na sobie, to znacznie trudniej może być z bardziej niszowymi działaniami, szczególnie lokalnie i z dala od wielkomiejskich centrów.

Po tym jak podczas XXX Międzynarodowego Festiwalu Poezji *Maj nad Wilią* zapowiedziałem zakończenie tego interdyscyplinarnego przedsięwzięcia, pojawiły się różne głosy i komentarze. Również i takie, iż Festiwal wyczerpał się w swej formule.

To nie jest tak: spotkania miały swoje bardzo różne hasła, które określały skład zaproszonych gości i tematy działań, a więc i program, realizowano nowe pomysły w coraz większym sprzężeniu z muzyką, teatrem i filmem, malarstwem i fotografią. Decydowało to właśnie o obliczu festiwalu, którego celem pozostawało dążenie do owej „półki górnej”.

Owsem, część programu umiejscowiona była świadomie i tradycyjnie w ważnych obiektach pamięci o spuściznie polskiej w Wilnie, w takich jak Dom-Muzeum Adama Mickiewicza, przed laty w Celi Konrada, a potem kiedy jej zabrakło, przy dawnym Klasztorze Bazylianów. To pozwoliło wytworzyć niezwykłą atmosferę podczas festiwalu, którą doceniali miejscowi ich uczestnicy i w szczególności goście z Polski oraz innych krajów, niemal ze wszystkich kontynentów.

Sfinalizowanie *Majów w Wilnie* ma inne przyczyny. Obserwator polskiego życia kulturalnego zapewne dobrze wie, jak wielkie ma ono nasycenie w Wilnie, również jeśli chodzi o „eksport kulturalny” z Polski. Któż tu nie występował, dosłownie niemal codziennie coś się działo! Artyści czują się po prostu w obowiązku wystąpić w Wilnie... Ostatnio się nawet żartuje, że trzeba pokonać wiele kilometrów i przyjechać do Wilna, żeby się dostać na jakiś koncert, zobaczyć sztukę. I jest to bardzo wspaniałe i pozytywne zjawisko, ale niekiedy wytwarza się sytuacja, że bywa trudno... o uczestnika bądź widza.

Tymczasem w poszczególnych zakątkach Wileńszczyzny polski krajobraz kulturalny bywa inny. Szczególnie kiedy chodzi o wydarzenia o charakterze bardziej zaangażowanym i niszowym, ze słowem polskim na czele, które przecież najbardziej kształtuje świadomość,



ze współczesną i „żywą” poezją, z innymi dziedzinami sztuki, które mogą ginąć w masowości. Chodzi też o ich stronę praktyczną, niejako „namacalną” – o działania takie jak warsztaty, konkursy, debaty i dyskusje, o rozmowy z doświadczonymi animatorami kultury, uznanymi twórcami. Chodzi o szukanie dróg większej i stałej współpracy z miejscowymi twórcami oraz specjalistami od literatury i kultury.

Są to zagadnienia istotnej wagi, które mogą przyczynić się do umocnienia statusu polszczyzny na terenach podwileńskich, do kształtowania gustów artystycznych naszej inteligencji. Rozmawialiśmy właśnie o tym podczas ostatniego Festiwalu. Spróbujemy zaistnieć z *Majem nad Wilią* jako znaną i wypróbowaną marką w terenie, dodając do tej nazwy słowo „plus”. Na początek w miejscowości dość odległej od Wilna, bo aż ponad 70 kilometrów. Mam na myśli Ejszyszki i okolice. Zmieni się nie tylko formuła festiwalu, lecz i jego geografia.

Rok 2024 będzie szczególnie dla „Znad Wilii”. 35 lat temu zaproponowałem taki tytuł dla powstającego czasopisma w realiach upadającego systemu i atmosferze wrzenia niepodległościowego, na „pustym miejscu” – część czasopism na Litwie po prostu zmieniła dotychczasowe tytuły. W nadtytule dwutygodnika dałymi wtedy słowa „Litwo, ojczyzno moja”, następnie – „Za naszą i waszą wolność”. Przebyta została długa droga, podczas której towarzyszyłem periodykowi – nie ma ani jednego numeru bez moich artykułów, felietonów (pisanych też pod pseudonimem Tomasz Bończa), ale też i bez informacji tworzonych na roboczo. Do obecnej numeracji kwartalnika dodać należy 253 numery czasopisma jako dwutygodnika i przez pewien czas tygodnika.

Tytuł dobrze się przyjął, przy redakcji powstała rozgłośnia radiowa, polska galeria artystyczna, wydawnictwo. Byliśmy pionierami wielu nowatorskich działań. Iluż wspaniałych czytelników, znakomitych osobistości było wokół czasopisma! Jest to materiał na niejedną książkę. Wstępując w ten rok, mam nadzieję, że zamkniemy go symbolicznym akcentem – setnym numerem kwartalnika.

Będzie to czas refleksji – zapraszam Państwa do podzielenia się swoimi uwagami, a może i wspomnieniami związanymi z czasopismem, do dyskusji nad stanem kultury Polaków na Litwie, możliwościami prezentowania ich dokonań naukowych i twórczych, słowem – do tworzenia kroniki naszej współczesnej obecności.

ROMUALD MIECZKOWSKI ■

□ Jedni robią to za pieniądze, inni dla kariery, wielu – z zaciętrzewienia i głupoty. Rosja Władimira Putina kładzie się do łóżka z przedstawicielami elit politycznych, wyrafinowanymi intelektualistami i biznesem równie chętnie, jak z przerażoną zmianami klimatycznymi młodzieżą i zwykłymi bandziorami spod znaku komunizmu czy nazizmu. Kacper Płażyński patrzy na rosyjskie wpływy na Zachodzie z nowej perspektywy. Zamiast rozglądać się po ekstremistycznych obrzeżach, skupia wzrok na centrum, nie oszczędzając ludzi uznawanych do niedawna za nietykalnych. Skrupulatna, odkrywająca wiele nieznanego szerzej u nas powiązań

i mechanizmów analiza służy także odpowiedzi na pytanie, jak prowadzić polską politykę, by była ona jednocześnie skuteczna i etyczna. Taka, za jaką opowiadali się śp. Lech Kaczyński i Maciej Płażyński; zupełnie inna zaś, niż ta uprawiana przez Angelę Merkel czy Donalda Tuska.

Książka Kacpra Płażyńskiego – gdańszczanina, absolwenta Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego, adwokata, od 2019 roku posła na Sejm RP – pt. *Wszystkie pionki Putina* to znakomity raport o wszystkich uwiedzionych, uzależnionych, skorumpowanych, a także „użytecznych idiotach” rosyjskich służb i polityków.

O rosyjskim lobbingu

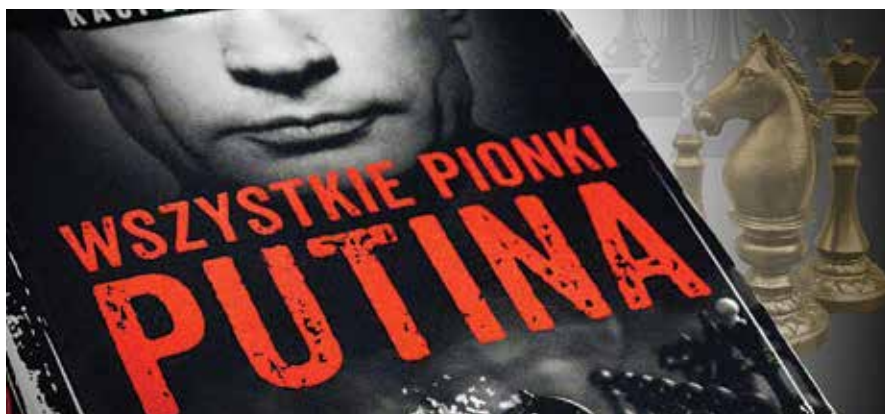
■ KACPER PŁAŻYŃSKI



Nie planowałem pisać żadnej książki. Młody ojciec ma na głowie zupełnie inne sprawy, coraz bardziej pochłaniała mnie też odpowiedzialna praca w Sejmie. To podczas rozmów przy Wiejskiej po szturmie Moskali na Ukrainę wpadłem na pomysł, żeby przyrzec się rosyjskim wpływom w Europie, szczególnie w kontekście obecnego stanu instytucji unijnych i Unii Europejskiej jako takiej. Zaczęłem zbierać materiały do raportu, który chciałem ogłosić jesienią 2022 roku. Zaplanowałem także posiedzenie prowadzonej przeze mnie komisji ds. Unii Europejskiej z udziałem polskich i zachodnich specjalistów od lobbingu, zwalczania obcych wpływów i instytucjonalnej przejrzystości.

Spotkanie komisji się odbyło, eksperci powiedzieli wiele ciekawych rzeczy, pokazaliśmy, że polski Sejm może być – tak jak polski rząd – liderem debaty o przyszłości Unii w kontekście dramatycznych zmian wywołanych rosyjską agresją. Raport z różnych przyczyn nie został jednak oficjalnie przedstawiony. Nie chciałem wyrzucić do kosza efektów wielu godzin pracy, poświęciłem więc – za namową żony i przyjaciół – kilka razy więcej godzin, by przygotować coś, co można było od biedy nazwać książką. Z tym tekstem przyszedłem do Tadeusza Zyska. Pan prezes i jego współpracownicy z wydawnictwa zrobili dużo, żeby mógł on trafić na księgarskie półki. Jestem im za to wdzięczny.

Tekst, który znalazł się w książce, zachował sporo elementów pierwotnego materiału. Staralem się scharakteryzować metody – kłamstwo, przekupstwo, prowokacje – jakimi Rosjanie posługują się w swojej nieustającej wojnie przeciwko



światu; pisałem o tym, czym zajmuję się w pracy, czyli fatalnej kondycji Unii Europejskiej, która staje się coraz bardziej bezradna wobec kremlowskiej agresji. Bez gruntownej reformy Wspólnoty nie pomogą nam nawet heroiczne wysiłki naszych ludzi w Brukseli, z wybitną znawczynią reguł rosyjskiej gry przeciwko Europie, minister Anną Fotygą na czele. Wziąłem na warsztat rolę mediów, przede wszystkim tych największych i uważanych za wiarygodne, jak publikujący wstępniaki Putina „Financial Times” czy zawiadywana przez putinowców niemiecka telewizja publiczna (tuż przed oddaniem książki wydawnictwu matka chrzestna Nord Stream 2, premier Meklemburgii Manuela Schwesig, weszła do zarządu telewizji ZDF). Przyjrzałem się działaniom ekologów, którzy, z głupoty lub dla pieniędzy, służą Rosji, torpedując lub przeciwnie – promując poszczególne inwestycje. Próbowałem dociec, dlaczego tak wielu intelektualistów, szczególnie tych liberalnych i lewicowych, uwiarygodniało kremlowski reżim, uczestnicząc w spotkaniach Klubu Wałdajskiego.

Nie unikałem tematów trudnych, a takim na pewno jest dla nas, konserwatystów związanych z obozem Zjednoczonej Prawicy, prorosyjska postawa węgierskiego Fideszu czy części amerykańskich republikanów. Staram się wzorować na ludziach

i politykach, których podziwiam – moim śp. Tacie i śp. Prezydencie Lechu Kaczyńskim. Mogę być stuprocentowo pewny, że podobnie jak ja – a odwrotnie niż Orbán czy rodzimi „realiści” z Konfederacji – uważaliby oni, iż wojna Ukrainy jest naszą wojną, Ukraińcy umierają także po to, żeby nie musieli umierać Polacy, a ich wspieranie jest nie tyle moralnym obowiązkiem, co polską racją stanu, polskim interesem. Imperium Zła trzeba pokonać i rozbić (choć wizja upadku Moskwy przeraża, o czym piszę w jednym z rozdziałów, George’a Sorosa i liberalno-lewicową spółkę), jednocześnie układając relacje z Kijowem w duchu pragmatyzmu.

Musimy doprowadzić do końca sprawę ukraińskich przeprosin za ludobójstwo wołyńskie, a także twardo zabiegać o polski udział w odbudowie Ukrainy. Powinniśmy tworzyć – także za pomocą pieniędzy na granty – propolskie środowiska polityczne w Kijowie. Niemcy mają Kliczkę, Poroszenkę, przeciągają na swoją stronę Zelenskiego. Należy cierpliwie budować przeciwwagę dla niemieckich wpływów, będących zagrożeniem dla Polski, ale i samej Ukrainy, bo Berlin zawsze orientuje się na Moskwę. Powinniśmy traktować Kijów bez sentymentów i na chłodno – zarówno kiedy musi się on do Warszawy zbliżać (jak w pierwszych



FOT. © WROTAADZIEI.ORG

Bankiet

■ ZBIGNIEW SAJNÓG



Niedawno, brałem udział w pewnym zdarzeniu bankietowo-naukowym. Po kilku godzinach, gdy wśród rozmowy troska o stan Rzeczypospolitej zbiegła się z geopolitycznym zapalem, ktoś boleśnie westchnął: jakież to Polska ma katastrofalnie złe położenie geopolityczne! Rozmówca owej tak poruszonej osoby nieco rozwinął tło i stwierdzenie to poparł, owszem i utwierdził.

Do owego momentu odgrywałem na tym bankiecie rolę jakby Wyspiańskiego w Bronowicach – ale tu obudziłem się i podniosłem by zaprotestować: doprawdy dość już tego niebezpiecznego utyskiwania!

Sięgnąwszy do *Starego Testamentu* ktoś mógłby powiedzieć, że Izrael miał fatalne położenie geopolityczne, wokół wzrastających straszliwych potęg ówczesnego świata, na drodze ich interesów, imperialnych dążeń i żądz. Naród taki pośród nich niewielki. Ale czytamy przecież, czytamy – kiedy Izrael żył w dobrobycie, kiedy pokonywał i przeganiał wrogów? A kiedy na Izrael spadały klęski, jakże straszne klęski – rzeź, grabież, zniszczenie i niewola! Wciąż jeszcze mówimy, że Polacy są narodem chrześcijańskim – no to przecież czytamy *Pisma Święte!* Gdzie szukamy odpowiedzi i ratunku? U filozofów? W organizacjach międzynarodowych? Wyszac u klamek światowych potęg? Ludzie – nie ma geopolityki bez Boga!

Zobaczmy co powiedział św. Paweł w Atenach, na Areopagu: „Bóg, który stworzył świat i wszystko na nim, Ten, który jest Panem nieba i ziemi, nie mieszka w świątyniach zbudowanych ręką. Ani nie jest czczony rękoma ludzkimi tak, jakby czegoś potrzebował, ponieważ sam daje wszystkim życie i oddech, i wszystko. I z jednej krwi uczynił wszystkie narody ludzkie, żeby mieszkały na całej powierzchni ziemi, określwszy czasy wcześniej wyznaczone i zamierzone granice ich zamieszkania; żeby szukali Pana, czy go nie znajdą po omacku, chociaż nie jest daleko od nikogo z nas. Bo w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy, jak też i powiedzieli niektórzy z waszych poetów: «I my bowiem jesteśmy z jego rodu»” (Dz 17,24-28; wg przekładu *Biblii gdańskiej**).

Więc doprawdy dosyć już tego utyskiwania! Niebezpiecznego także i w tym, że kieruje do bezwładu myśli, do melancholii i do myślenia w kategoriach fatum. O nie!

Polacy uważają się wciąż jeszcze za naród chrześcijański, zechcę więc przypomnieć,

że będąc od jakże dawna w nawracających strasznych terminach powinni nie wypuszczać ze swoich rąk *Pisma Świętego*. Nie myślmy, że jakaś idea, filozofia, czy jakiś sprytny „gryplan” będą odpowiedzią na naszą sytuację!

Nawet i po ludzku, w ludzkim rozpoznaniu owo położenie Polski na skrzyżowaniu szlaków, na granicy kultur i cywilizacji (kultura północy/kultura południa, Azja/cywilizacja zachodnia) może być przecież znakomitym handicapem, dając możliwość niezwykłych profitów z samego choćby tranzytu i da, ale i oczywiście znacznych możliwości politycznych, jakie zwykle ma jęczyczek u wagi – sam w sobie niewspółmiernie ważący, ale mogący odgrywać rolę kluczową. Tak, nawet w ludzkim rozpoznaniu, w rozpoznaniu tego świata, Polska nie ma położenia katastrofalnie złego.

No, ale nawet ludzie to dostrzegający, niestety chętnie zastygają w myśli: cóż możemy wobec takiej siły złego, nieustannie agresywnych sąsiadów, ich przemożnych wpływów? Sąsiadów, którzy ciągle używają wobec nas różnych form swojej siły, nie dają nam wzrosnąć, nie dają nam złapać oddechu, stanąć na nogach?

Tylko, że przecież żyjemy w czasach gdzie działa wróg jeszcze potężniejszy, w tym sensie, że już nie koncert mocarstw a moce globalne. I ta świadomość, ta dopiero mogłaby spychać w poczucie bezsensu i beznadziei! Ale doprawdy mając nawet wyraźny obraz owej sytuacji nie upadajmy, nie oddawajmy walkowerem, bo pamiętajmy dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych – o tym codziennie pamiętajmy, na to miejmy wzgląd nie dajmy się odwieść od prawdy. Zachęcam i proszę sięgajcie po *Biblię*, czytajcie, pomódlcie się o zrozumienie, o Boże prowadzenie.

Twoje życie może być piękne, może być wielkie, może mieć sens; sens wykraczający poza ten świat, poza wszystko co być może sobie teraz wyobrażasz, poza możliwości ludzkich umysłów, sięgający w wieczność. ■

* Przekład *Pisma Świętego* na język polski dokonany przez braci czeskich i kalwinistów. Druk przekładu rozpoczęto w roku 1630; pełny tekst ukazał się 18 listopada 1632 roku w drukarni Hünefelda w Gdańsku (stad przyjęta później nazwa). *Biblia gdańska* pozostawała głównym przekładem używanym przez polskich ewangelików i ewangelicznych chrześcijan do 1975 roku, to jest do wydania *Biblii warszawskiej*. *Biblia gdańska* przeszła w ciągu wieków kilka rewizji; ostatnią w 2019 roku – przystosowując ją do wymogów współczesnego języka polskiego.

miesiącach wojny), jak i wtedy, gdy ciąży ku Niemcom, co oznacza działanie wbrew Polsce (jak to się dzieje mniej więcej od wiosny 2023 roku). Prawda jest bowiem dość prosta: rosyjskie wojsko zatrzymywane w Donbasie to lepiej niż na Bugu; każda wroga Rosji Ukraina jest lepsza niż Rosja rozciągająca się pod Przemysł. I po to przede wszystkim jest nam potrzebne państwo ukraińskie. Ale jest też plan maksimum. Otóż nasza przyszłość będzie znacznie bezpieczniejsza, jeśli Polska, Litwa, Ukraina, a być może także nowa, wolna Białoruś nawiążą na poważnie do wspólnego dziedzictwa I Rzeczypospolitej.

Pisanie o bieżących wydarzeniach – omawiając rosyjskie wpływy, nie sposób abstrahować od rozwoju wypadków wojennych – wymagało podjęcia ryzyka, bo przecież rzeczywistość może wyglądać zupełnie inaczej w momencie, kiedy książka trafi do czytelników.

Gdy pracowałem nad tym tekstem, publikowane były też liczne, często przełomowe informacje, ujawniające skalę rosyjskiej penetracji Europy. W czerwcu 2023 roku Telewizja Polska rozpoczęła emisję serialu *Reset*, w którym dr hab. Sławomir Cenckiewicz i Michał Rachoń znacznie lepiej i dokładniej niż ja przybliżają fatalną dla Polski politykę wschodnią rządu Platformy Obywatelskiej. Nową, jak zwykle rewelacyjną książkę o Rosji i jej imperialnym nienasyconiu wydał prof. Andrzej Nowak, a o końcu (oby!) „ruskiego miru” niezwykle zajmująco opowiedział Piotr Skwieciński. Opisywaną i na tych stronach operację hybrydową wobec Polski z udziałem migrantów na granicy z Białorusią przybliżyli w szczegółach Jakub Maciejewski i Maciej Pieczyński. Intelktualną, erudycyjną refleksję na temat trwającej – na Ukrainie, ale nie tylko – walce o świat zaproponował z kolei prof. Marek Cichoński. Każdy, kto weźmie do ręki moją książkę, powinien koniecznie i po te pozycje sięgnąć.

Niemal w tym tomie konkretów, faktów i cytatów, niektóre fragmenty są być może zbyt gęste, za mało potoczyste – wybaczone mi, Państwo, jestem politykiem, a nie publicystą. Z całego serca dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej publikacji i serdecznie zapraszam do lektury. ■



Kacper Płażyński, *Wszystkie pionki Putina. Rosyjski lobbing*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2023, ss. 456.

Na ratunek dzieciom w Strefie Gazy

W ostatni dzień stycznia 2024 roku w Centrum Sportu i Kultury w Garwolinie odbędzie się koncert charytatywny na ratunek dzieciom z Strefy Gazy pod hasłem *Obudźmy nadzieję*.

„Ratujmy niewinne życia” – taka myśl przyświecała Małgorzacie Frej, polskiej lekarce, pediatrze z Edynburga, autorce obrazu pod tytułem *Gentle Souls in Gaza Weep. Innocence Condemned*, który wzbudził pragnienie, by pomóc dzieciom i rodzinom doświadczającym tragedii w Strefie Gazy. Do podjęcia starań zainspirował nas również dr Samir Ismail, ordynator Oddziału Dziecięcego Szpitala Powiatowego w Garwolinie, ceniony lekarz, działający w Stowarzyszeniu Lekarzy Palestyńskich w Polsce, który z głębokim smutkiem opowiadał o aktach ludobójstwa, jakie dotyczą cywilów w jego kraju. Gabriela Kunert, organizatorka koncertu *Muzyka dla Gazy* również zaangażowała się w ten projekt służąc nieocenionym wsparciem.

– Aby działania przybrały praktyczną formę zwróciliśmy się do Lekarzy bez Granic, organizacji charytatywnej niosącej humanitarną pomoc w Strefie Gazy – miejscu okrutnego konfliktu, w którym najbardziej

cierpią dzieci. Wszystko to zaowocowało koncertem i mamy nadzieję, że spotka się z dobrym przyjęciem garwolińskiej publiczności – mówi pediatra-neonatolog Anna Żochowska, prezes Fundacji Sztafeta, która jest głównym organizatorem wydarzenia.

Koncert odbędzie się 31 stycznia o godzinie 19:00 w sali widowiskowej Centrum Sportu i Kultury. Poprzedzi go emisja trzydziestominutowego filmu fabularnego produkcji palestyńskiej *The Present* pokazującego codzienne życie w Strefie Gazy. Projekcja filmu rozpocznie się o godzinie 18:00.

Podczas koncertu *Obudźmy nadzieję* wystąpią wokaliści i muzycy. Motywem przewodnim między piosenkami będą materiały filmowe ze Strefy Gazy i świadectwa naocznych świadków wydarzeń – osób z rodzin polsko-arabskich, którzy przeżyli tragedię, stracili swoich bliskich.

Całkowity dochód ze sprzedaży biletów wesprze działania w Strefie Gazy prowadzone przez organizację medycznej pomocy humanitarnej Lekarzy bez Granic. W dniu koncertu będą również zbierane do puszek pieniądze na rzecz akcji humani-



MAŁGORZATA FREJ

tarnych Caritas Polska za pośrednictwem Caritas Diecezji Siedleckiej. Bilety w cenie 90 zł (normalny) i 70 zł (bilet ulgowy) do kupienia na www.csik.garwolin.pl oraz w sekretariacie Centrum Sportu i Kultury w Garwolinie, przy ul. Nadwodna 1.

Honorowy patronat nad wydarzeniami objęli Burmistrz Miasta Garwolina i Starosta Powiatu Garwolińskiego. Organizatorami wydarzenia są: Fundacja Sztafeta oraz Centrum Sportu i Kultury w Garwolinie we współpracy ze Stowarzyszeniem Lekarzy Palestyńskich w Polsce.

Ponadto już od 8 stycznia na głównym skwerze miasta – Skwerze Solidarności – prezentowana będzie wystawa pokazująca sytuację w Strefie Gazy.

Ty też możesz pomóc! Już dziś kup bilet – cegiełkę i dołącz do wydarzenia!

FUNDACJA SZTAFETA ■

Pomoc mieszkańcom Strefy Gazy

W Strefie Gazy w wyniku bombardowań zginęło już ponad 21 tysięcy osób, z czego 75 procent to kobiety i dzieci! Sytuacja jest krytyczna. Życie każdej osoby przebywającej w Strefie Gazy jest zagrożone zarówno przez bombardowania, jak i rozprzestrzeniające się choroby. Brakuje leków, karetek, pomocy medycznej, żywności i wody. Zamknięci, bez możliwości schronienia, bez

możliwości ucieczki, odcięci od kontaktu ze światem, w oczekiwaniu na najgorsze!

Wraz z organizacją Terre des Hommes Italia oraz Palestinian Medical Relief Society dostarczymy potrzebującym koce, materace oraz inne produkty, które ułatwią im przetrwanie zimowych miesięcy.

Pomoc tę można wesprzeć za pośrednictwem zbiórki na stronie: pmm.org.

pl/chce-pomoc#gaza lub przekazując darowiznę na numer konta Polskiej Misji Medycznej: 62 1240 2294 1111 0000 3718 5444 z dopiskiem: GAZA.

Pomóż nam dotrzeć z pomocą do Strefy Gazy, która jest pod ciągłym ostrzałem z powietrza, lądu i morza.

POLSKA MISJA MEDYCZNA ■



Oficyna wydawnicza OSTOJA Stowarzyszenia im. Witolda Hulewicza wraz z członkami Sekcji Estrady i Krytyków Teatralnych ZASP serdecznie zaprasza na

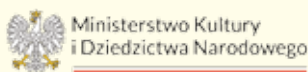
spotkanie autorskie z dr. hab. Kazimierzem Świągockim, autorem książki *Norwid i poeci Powstania Warszawskiego*,

które odbędzie się **12 stycznia 2024 roku (piątek), o godzinie 12:00** w Sali Prezydialnej Związku Artystów Scen Polskich w Warszawie (Aleje Ujazdowskie 45, II piętro).

W imieniu organizatorów

Bożena Kociłkowska (ZASP), Ireneusz St. Bruski (SWH, ZASP)

Wydanie książki dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Patronat medialny



MCC MAZURKAS
CONFERENCE CENTRE & HOTEL****

To tutaj spotyka się biznes

Doskonała lokalizacja,
3500 m² pow. konferencyjnej,
35 sal konferencyjno-bankietowych,
największa sala na 1000 osób,
158 pokoi dwuosobowych oraz wielofunkcyjny
charakter przestrzeni konferencyjno-hotelowej
czynią z MCC Mazurkas
Conference Centre & Hotel****
doskonałe miejsce do organizacji kongresów,
konferencji, bankietów, wydarzeń firmowych,
targów, szkoleń, koncertów.



WWW.MAZURKASHOTEL.PL

*360° MAZURKAS
CATERING*

WWW.MAZURKASCATERING.PL

Catering w całej Polsce



